

Krzysztof
Wójcik

**WOJNA,
KREW
I KONTRAKT**

PSY WOJEN

**OD INDOCHIN PO PAKISTAN – POLSCY NA JEMNICY
NA FRONTACH ŚWIATA**



REBIS

Krzysztof
Wójcik

PSY WOJEN

OD INDOCHIN PO PAKISTAN – POLSCY NAJEMNICY
NA FRONTACH ŚWIATA



REBIS

DOM WYDAWNICZY REBIS

Text copyright © by Krzysztof Wójcik, 2017

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2017

Redaktor
Agnieszka Horzowska

Projekt i opracowanie graficzne okładki
Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ.ART.DESIGN – www.panczakiewicz.pl

Fotografia na okładce
© Stephen Mulcahey / Arcangel

Fotografie umieszczone w książce pochodzą ze zbiorów
Ryszarda Dody, Krzysztofa Wójcika, „Szilu”, „Białego”

Wydanie I
Poznań 2017

ISBN 978-83-8062-195-4

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl, www.rebis.com.pl

Tacie Zbyszkowi

Wstęp

Wojna w Wietnamie to moje dzieciństwo. Chodziłem jeszcze do przedszkola, miałem chyba z pięć lat, gdy pierwszy raz usłyszałem o bitwach w Indochinach.

Kiedy rodzice nie mogli się mną zajmować, zostawiali mnie u dziadków. Babcia wieczorem leżała na kanapie i w okularach o grubych szklach czytała książki. Ja zasypiałem w pokoju obok. Dziadek zawsze siedział na fotelu przy kanapie. Nie czytał mi do snu książek, tylko opowiadał o wojnie w Wietnamie. Dla kilkulatek to były niesamowite historie. Lepsze niż wszystkie bajki. No i żaden z moich kolegów z przedszkola nie mógł pochwalić się dziadkiem, który walczył w Legii Cudzoziemskiej w dalekiej Azji. To był inny świat...

Pamiętam ciepłe światło lejące się przez niewielkie dziurki metalowej lampki wiszącej na ścianie, kiedy dziadek godzinami opowiadał o dżungli i Wietnamczykach. Czułem się, jakbym sam stał po pas w bagnie, a wokół wiły się kolorowe węże i pływały krokodyle. W zaroślach czaiły się dzikie koty i cały czas trzeba było uważać na jadowite pająki i skorpiony.

Jako dziecko poznawałem historię pierwszej wojny w Indochinach. Była mi ona bliższa niż „nasza” II wojna światowa i późniejsza, wietnamsko-amerykańska nagłaśniana przez komunistyczną propagandę. Już wtedy znałem takie nazwy jak Sajgon czy Dien Bien Phu, a dźwięcznie brzmiący Légion Étrangère obrastał chłopięcą legendą.

Jako nastolatek pierwszy raz oglądałem *Czas apokalipsy* i choć to opowieść o drugiej wojnie w Indochinach, to ciarki przechodziły mi po plecach. Jak sen wracało do mnie dzieciństwo. Wtapiałem się wręcz fizycznie w obraz dzikiej rzeki i dżungli, które powoli wciągały i unicestwiały kapitana Willarda i pułkownika Kurtza. Powracały wspomnienia i historie dziadka Zygmunta.

Jednak jego opowieści nie odkrywały całej prawdy. Przez lata skrywał przede mną obraz prawdziwej wojny, a malował jedynie szczegółowe obrazy egzotycznej przyrody i Wietnamczyków w charakterystycznych stożkowych kapeluszach – *non la* (trzeba je nosić, żeby mrówki nie spadały z drzew za kołnierz).

Dziadek Zygmunt oszczędzał mi opowieści o rozrywanych ciałach i masakrach cywilów, jakich dokonywali legioniści. Wówczas wojna w Wietnamie była dla

mnie nieustającymi patrolami w dziewiczej dżungli, przez którą żołnierze musieli przedzierać się z maczetami, tworząc korytarze w gąszczu zieleni. Byli trochę jak pierwsi konkwistadorzy.

Dziadek w te wojenne historie gęsto wplatał francuskie zwroty. Czasem prosiłem go, żeby kolejne zdania mówił najpierw po polsku, a potem po francusku. Niesamowicie się czułem, gdy śpiewny język znad Sekwany rozbrzmiewał w pokoju, gdy za oknem padał śnieg, a ja wyobrażałem sobie klimat dżungli południowego Wietnamu. Dziadek świetnie mówił po francusku, tak że w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacji w Gdyni, gdzie jeździł autobusem, przezywali go Francuzem. Z tego pseudonimu byłem dumny.

Dopiero wiele lat później dziadek Zygmunt opowiedział mi, co naprawdę działo się w Wietnamie. Tym razem opisywał, jak legionści mordowali cywilów. Zamęczali na śmierć kobiety i dzieci, by wymusić zeznania na temat pozycji partyzantów Viet Minhu. Opisywał metody przesłuchań wykorzystywane przez obie strony. Z przekonaniem mówił, że lepiej było tam zginąć, niż dostać się do niewoli. I nieważne, po której stronie się walczyło. Równie bezwzględnie z jeńcami postępowali tak Francuzi, jak i Wietnamczycy. Dziadek, kiedy dostawał rozkaz, też mordował.

Ta wojna jawiła mi się jako dziwna, bo choć francuska, to zarazem bardziej międzynarodowa mi się wówczas wydawała. Dziadek opowiadał, że wśród legionistów Francuzów nie było zbyt wielu. Oficerowie, owszem, ale trzon armii tworzyli obcokrajowcy – Niemcy, Polacy, Rumuni, Chorwaci i uciekinierzy z Sowietów. Dziadek nigdy nie powiedział o sobie „najemnik”, choć w rzeczywistości nim był. Wszyscy oni byli najemnikami.

Kiedy wiele lat później rozmawiałem z oficerem GROM-u, on też unikał tego słowa. Teraz mówi się kontraktor, bo to lepiej brzmi, choć zasada jest ta sama. Żołnierz najemny podpisuje kontrakt i bierze udział w konflikcie zbrojnym pod flagą innego państwa. Obecnie coraz częściej to służba obcej korporacji, bo wojny przeobrażają się w przedsięwzięcia biznesowe, gdzie wiodącą rolę odgrywają Private Military Companies, czyli prywatne armie najemników.

Wbrew powszechnemu mniemaniu niewielu naszych żołnierzy pracowało dla PMC. Wyjątkiem jest Legia Cudzoziemska, do której – szczególnie po upadku PRL-u – zaciągało się wielu Polaków, jak mówił mi żołnierz GROM-u, po krótkim boomie na kontraktorów w obcych firmach mogło służyć najwyżej kilkunastu komandosów tej elitarniej polskiej jednostki, która jako pierwsza miała kontakt z najemnikami PMC w Iraku i Afganistanie. To właśnie z GROM-u

rekrutowali się pierwsi kontraktorzy.

Gdyński biznesmen Ryszard Krauze z uwagi na swą znajomość z twórcą GROM-u generałem Sławomirem Petelickim jako pierwszy stworzył prywatną armię ochroniarzy. Ryzyko dużo mniejsze, a można zarobić co najmniej kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie. To najłatwiejsza kasa dla byłych komandosów GROM-u, ALFY czy Formozy. Byli żołnierze chętnie zasilają oddziały polskich miliarderów. Można ich znaleźć u Krauzego, Kulczyków czy Niemczyckiego, bo tu nie muszą narażać życia, jak podczas kontraktu dla PMC w Iraku bądź Afganistanie. Prywatną armię byłych GROM-owców stworzył też prezes PiS Jarosław Kaczyński.

Były oficer GROM-u tłumaczy: W Polsce nie ma nadzoru nad tym, co robią po służbie byli żołnierze czy funkcjonariusze. W USA jest Departament Stanu. Tam przechodzi się do rezerwy, ale jeśli rząd potrzebuje człowieka o danej specjalności, to go powołują i wysyłają na misję. Po wojsku jako paramedycy trafiają do SWAT czy straży pożarnej i stamtąd na misje. Armia się o nich upomina. Człowiek jedzie, wraca i z powrotem do SWAT.

Pierwsze wyjazdy polskich kontraktorów do Iraku przynosiły jak na nasze warunki wielkie pieniądze. Krążyły legendy o zarobkach rzędu trzydziestu tysięcy dolarów miesięcznie – tysiąc dolarów za dzień pracy w Bagdadzie. W rzeczywistości kwoty były o połowę niższe. Mogły sięgać dwudziestu tysięcy dolarów za miesiąc kontraktu.

Mówi były szef GROM-u pułkownik Dariusz Zawadka: To duże pieniądze, ale pojawiał się też problem dla kogoś, kto pracował za granicą rok czy dwa. Wracał do Polski i był kompletnie oderwany od rzeczywistości, bo znalezienie tu pracy za porównywalne pieniądze było niemożliwe. Tam był panem samego siebie. Pracował w teamie, bo zagrożenie dotyczyło wszystkich. Tu przyjeżdża i ktoś mu nie daje piętnastu tysięcy dolarów, tylko tysiąc. To co ma powiedzieć? Dodatkowo trafia wśród ludzi, z których każdy ma drugiego w dupie i tylko patrzy, jak oszukać współpracownika.

Kontraktorzy mieli też kłopot z aklimatyzacją po powrocie. W Iraku czy Afganistanie zarabiali duże pieniądze za realne nadstawianie karku i zagrożenie życia, a polski rynek nie potrzebuje takich kompetencji.

Były żołnierz GROM-u dodaje: To są fajne doświadczenia do opowiadania przy piwie. O atakach, strzelaninach, terrorystach samobójcach, bombach i minach pułapkach można posłuchać w knajpie, ale pracodawca w Polsce zapyta, co możesz mi zaoferować tu na miejscu? Nikt nie atakuje mojej firmy. Nie

jeżdżę pancernym samochodem i nikt do mnie nie strzela. Nie mam przed firmą ułożonych worków z piaskiem. Więc tak naprawdę co możesz mi zaproponować? Jeśli miałbym ci dać dwadzieścia złotych, to musisz mi przynieść czterdzieści. Wówczas się okazuje, że były kontraktor ma mało do zaoferowania i trudno przekonać biznesmena o zagrożeniach i konieczności inwestycji w ochronę. Zabezpieczenia takie jak w Iraku czy Afganistanie w Polsce są po prostu niepotrzebne.

Kłopoty z powrotem do normalnego życia obrazują historie najemników, którzy po przyjeździe do kraju zachowywali się tak, jakby nadal byli na misji. Mordowali, porywali, w kraju zostali przestępcami. Losy Radosława Perlaka czy Marka Kłosińskiego wpisują się w ten schemat. Obydwaj po epizodach w Legii Cudzoziemskiej trafili z wieloletnimi wyrokami do kryminału. Ilu było podobnych? Nie wiadomo, bo nie prowadzi się takich statystyk.

Polscy kontraktorzy służyli w Iraku i Afganistanie. Trzech byłych komandosów zginęło, pracując dla PMC. Zbierając materiały do tej książki, rozmawiałem z ich przyjaciółmi. Niesamowite historie opowiedzieli kontraktorzy, którzy chronili geologów z Geofizyki Kraków po porwaniu i morderstwie Piotra Stańczaka w Pakistanie w 2009 roku. Naszego inżyniera zabili talibowie, bo pakistańskie władze i rząd RP nie spełnili ich żądań. „Biały” i „Szilu” chronili polskich inżynierów w północnym i południowym Pakistanie, gdy ci pracowali nad mapowaniem złóż ropy i gazu dla światowych korporacji naftowych.

Jednak po boomie na firmy PMC na początku XXI wieku rynek się zepsuł. Obecnie kontraktorzy mogą tylko marzyć o gazach liczonych w dziesiątkach tysięcy dolarów. W ochronie lotniska w Afganistanie można dostać dwa i pół tysiąca dolarów. Nie ma mowy o milionowym ubezpieczeniu dla rodziny w razie śmierci kontraktora.

Obecnie najmodniejszy kierunek to Afryka i ochrona statków przed piratami. Tam jednak stawki też dramatycznie spadły.

Pułkownik Zawadka dodaje: Dziś nie ma już w ochronie wielkich pieniędzy. Kontraktorzy śpią na barkach-hotelach w tragicznych warunkach. Kiedyś każdy tylko patrzył, ile to będzie dolarów dziennie. Teraz można o tym zapomnieć.

Ta książka zawiera historie kilku najemników, którzy przewinęli się przez światowe fronty od Wietnamu po Irak i Pakistan. Chronili przed piratami statki pływające u wybrzeży Afryki. To opowieści ludzi, którzy powierzyli mi swoje przeżycia i uczucia. Z uwagi na bezpieczeństwo bohaterów i ich rodzin niektóre nazwiska i pseudonimy zostały zmienione.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

Zygmunt

Łza wolno spływa z kącika oka. Niezdecydowanie meandruje bruzdami spalonej słońcem twarzy.

Jest gorący lipiec 2011 roku. Zygmunt Wojtczak siedzi skurczony na wiklinowym fotelu pod młodą wiśnią obsypaną krwistymi owocami. Po chwili płacze jak dziecko, mimo że skończył dziewięćdziesiąt jeden lat. Po tej pierwszej łzie już nie może powstrzymać łkania. Choć jest ono przytłumione, wciąż wywołuje wstyd. Prawie go nie słychać. Tylko te łzy spływają po policzkach. Nic nie może zatamować coraz większej ich fali. Jego duże dłonie niezdarnie próbują je ścierać, ale tylko rozmazują słoną wilgoć po całej twarzy, która aż błyszczy i odbija słońce. Zygmunt czuje w ustach ten słony smak.

Wietnam: obłąkany taniec pod pociskami

Wietnam. To jedno słowo wystarcza, żeby wróciły koszmary młodości. Zygmunt nie jest w stanie wykrztusić choćby sylaby. Cały czas płacze. W jednej chwili wraca tamta wojna. Groza. Przerazenie. Przed oczami ma obrazy rozrywanych bombami kolegów, w uszach huczą mu eksplozje, dudnią tam-tamy i świdruje przerażający krzyk Wietnamczyków. To jest nie do opowiedzenia. Wszystkie zmysły paraliżuje ciągle ten sam obraz – walające się wokół rozszarpane szczątki, kawałki ludzkiego mięsa. Ci, co jeszcze żyją, wzrokiem zaszczutego zwierzęcia patrzą, gdzie by się schronić. Pociski moździerzy rozrywają okopy. Tną powietrze tak szybko, że nie da się oszacować, gdzie mogą uderzyć. Gdy walą nad drzewami, wszędzie latają strzępy ciał zmieszane z ziemią, krzewami i kawałkami palm. Kurz i pył w ogóle nie opada. Ludzie nie mają czasu, żeby pomyśleć, co dalej, bo zaraz podrywa ich do obłąkańczego tańca kolejny pocisk. W oddali już słychać okrzyki Wietnamczyków. Tak zagrzewają się do boju. Ziemia cały czas drży pod nogami, gdy próbujesz biec. Trudno zrobić następny krok i tylko jakaś nieznana siła pcha cię, by biec w to piekło skryte za kłębam dymu.

Zygmunt nie potrafi powstrzymać emocji, które jak tsunami zalewają wszystko, co jeszcze przed chwilą widział i czuł. Nie ma znaczenia, że siedzi w

wiklinowym fotelu na peryferiach Gdyni i jest całkowicie bezpieczny.

Teraz widzi jedno – Wietnam. Samo to słowo powoduje, że znowu czuje to co przed sześćdziesięcioma laty. Doznania przenikają każde włókno ciała i zakątek duszy. Jego organizm nasiąkł przerażeniem i Zygmunt nie jest w stanie się przed nim obronić. To silniejsze od niego. Jest niewysoki, a strach i płacz przykurczają go jeszcze bardziej. Powoli znika w swym fotelu. Staje się jeszcze mniejszy. Gdy patrzy na zieleń liści wiśniowego drzewka, obok którego siedzi, poruszanych lekkim podmuchem wiatru, w jego oczach rozrastają się w bujną wietnamską dżunglę. Boi się... Wielkie dłonie nie mogą utrzymać szklanki wody. Lęk paraliżuje każdy nerw...

Wietnam – w tym słowie zamyka się życie Zygmunta Wojtczaka. To tajemnica, o której wie niewielu. Nikt z sąsiadów nawet się nie domyśla, że krępy staruszek, który z wytartą siatką wolno drepcze do pobliskiej „Biedronki” na Karwinach, mógł być żołnierzem Legii Cudzoziemskiej. Że ich pan Zygmunt walczył w Wietnamie...

Biznes na skórze podeszwowej

To miał być świetny interes. Tuż przed sylwestrem 1949 roku do gdyńskiego portu zawinął szwedzki frachtowiec. Zygmunt, który miał niespełna dwadzieścia dziewięć lat, był robotnikiem w porcie odradzającym się po wojnie. Ale razem z kilkoma kumplami prawdziwe pieniądze zarabiał na kontrabandzie. Tym razem też tak miało być.

Szwedzi byli głodni wódki. Od początków XX wieku w ich kraju obowiązywała częściowa prohibicja, czyli system Bratta, od nazwiska lekarza Ivara Bratta, a zgodnie z nim Szwed tygodniowo mógł wypić jedynie litr wódki. Monopol państwowy – Systembolaget – kontrolował handel alkoholem, więc czarny rynek kwitł.

Tamtego dnia Zygmunt przemycił na teren portu litr spirytusu. Liczył na szybki zarobek. Nosząc po trapie worki z żywnością, zagaił wielkiego szwedzkiego marynarza. Olbrzym się tylko uśmiechał. Nic nie rozumiał. Nie potrzebowali jednak wielu słów. Właściwie do handlu nie potrzeba żadnego języka. Zygmunt wyciągnął gotówkę i już wiadomo było, o co chodzi. Handel ma jednego boga, co zwie się pieniądź. Szwed momentalnie chwycił. Oczy mu zabłyśły z radości. Zaprowadził go do kajuty i pokazał, co ma na sprzedaż. Zygmunt wiedział, że najlepszy interes można zrobić na skórze podeszwowej. Po wojnie w Gdyni

panowała wielka bieda – latem dzieci biegały na bosaka, a starsi chodzili w dziurawych butach. Dobre buty, bez dziur, to był prawdziwy skarb. Wojtczak długo się nie zastanawiał. Wiedział, że już następnego dnia będzie mógł sprzedać skórę szewcowi na Starowiejskiej i nieźle zarobić.

Palcem wskazał na gruby zwój skóry. Upchnął ją do worka i zniósł na ład. Potem musiał tylko przechować towar do końca zmiany i spokojnie wynieść poza teren portu. Już kilka razy to robił, podobnie żyło wielu robotników portowych – mimo wysokich kar szmugiel kwitł i tylko głupi nie wykorzystałby okazji. Pod koniec zmiany wyciągnął spod worków swój skarb.

Był styczeń i termometr wskazywał kilkanaście kresek poniżej zera. Zygmunt rozbierał się za stertą worków. Kilkakrotnie owinął się skórą i na to włożył koszulę. Czuł się jak średniowieczny rycerz w zbroi, bo dziewięć kilogramów skóry skutecznie usztywniało mu cały korpus. Ręce nie zwisały swobodnie wzdłuż ciała i Zygmunt z trudem wciągnął brudny płaszcz. „Jakoś to będzie”, przemknęło mu przez myśl. Nie pierwszy raz robił taki numer. Co prawda trochę śmiesznie wyglądał z tymi rozpostartymi rękami, jak napompowany, ale było ciemno i zimno. Miał nadzieję, że o tej porze strażnicy nie będą przeprowadzać szczegółowej kontroli. Podbiją przepustkę i tyle. Z nieba wolno padały płatki śniegu, w których odbijało się światło lampy, gdy Zygmunt podchodził do portowej bramy. Był cały mokry ze strachu. Dodatkowo się pocił, bo zwoje skóry ciasno opinały klatkę piersiową. Za mocno się ścisnął i ledwo oddychał. Starał się zachować spokój i z uśmiechem podał grubemu strażnikowi przepustkę.

– Te, chłopie, a ty co tak dziwnie stoisz? Grabiami kiwasz, jakbyś chciał komu przywalić. – Przyglądał mu się cięć.

– Ja? Zimno, to się dogrzewam – wydukał wystraszony Zygmunt.

– Chodź no tu, chłopie, bo coś mi się nie podobasz. - Kiwnął na niego strażnik i palcem wskazującym dźgnął go w brzuch. – Te, łajzo?! A coś ty taki twardy na bebechach... Coś masz za pazuchą. Dalejże no na kontrolę, bo tu jakiś szmugiel czuję! – krzyczał.

Grubas zaczął popychać Wojtczaka na zaplecze biura przepustek.

– No dalej, szmaciarzu, co żeś chciał ukraść z portu?! – wrzeszczał. – Rozbierać się, i to zaraz!

Zygmunt rzucił na ziemię płaszcz i zaczął ściągać koszulę.

– Ja nie mam nic takiego. Ot, kawałek skóry kupiłem od marynarza na sprzedaż... – tłumaczył.

Wiedział, że się nie wywinie, bo nawet nie miał czym przekupić strażnika.

Gruby to nie problem, bo koledzy mówili, że za łapówkę puszcza, ale rewizji przyglądał się też dowódca zmiany. Nie będzie taryfy ulgowej. Jak nic wywalą z roboty, a potem sąd w trybie doraźnym i wysoka kara więzienia za kontrabandę i działanie na szkodę ludowej ojczyzny. Strażnicy zabrali mu dokumenty i spisali protokół. Do rana Zygmunt musiał siedzieć w celi. Już po formalnościach puścili go do domu.

Na odchodne gruby strażnik kopnął go jeszcze w tyłek.

– Żebyś mi się tu więcej nie pokazywał! – krzyczał, jakby port należał do niego.

Tak skończył się interes życia i przemytnicza kariera Zygmunta Wojtczaka w porcie gdyńskim...

Jak zbity pies wrócił do ceglanego domku przy placu Kaszubskim, gdzie mieszkał kątem u znajomych. Miał tam wąskie łóżko w kuchni. Nawet nie pytali go, dlaczego tak długo siedział w pracy. Wiedzieli, że w porcie różnie bywa. Czasami jest pilny przeładunek i trzeba wyrabiać nadgodziny.

Wojtczak sam zaczął:

– Złapali mnie na wynoszeniu skóry, którą kupiłem od marynarza. Miała być na buty.

– O Boże! – Złapała się za głowę gospodyni. – Teraz to, Zygmusiu, skończysz w kryminale! Już cię komuniści za okradanie władzy ludowej nie wypuszczą z więzienia. Wiesz, co tam się dzieje? Zamęcą cię i ubiją jak nic! – lamentowała kobieta.

– O kurwa! – To jedyne, co przyszło do głowy gospodarzowi, Rajmundowi. – Żeby tylko nam tu nie weszła ubecja. Teraz to ty musisz spierdalać z tego kraju. Nawet jak wyjdiesz żywy z kryminału, to i tak cię zniszczą. Wiesz, co się teraz wyrabia...

Po rozmowie z gospodarzami Zygmunt cały dzień leżał na łóżku. Nie był w stanie wstać. Patrzył w sufit i kombinował. Przeżył wojnę. Wiedział, co to głód i poniżenie. Do komunistycznego więzienia za nic w świecie nie chciał iść.

Wieczorem wrócił z pracy gospodarz. Na pocieszenie przyniósł pół litra bimbru pędzonego przez sąsiada Kaszuba. Razem zasiedli do stołu. Rajmund polewał do przedwojennych kieliszków. A Zygmunt już wiedział, co zrobi: jak tylko nadarzy się okazja, ucieknie z kraju.

Taka szansa pojawiła się kilka dni później. Nocą 14 stycznia przez dziurę w płocie przecisnął się na teren portu. Kilka godzin ukrywał się w hałdzie węgla

zalegającej na nabrzeżu. O świcie pojawili się pierwsi tragarze i zaczęli się uwijać przy szwedzkiej jednostce czekającej na załadunek.

Wojtczak wiedział, że statek jeszcze tego samego dnia miał opuścić gdyński port. Nie miał problemu z udawaniem portowego robotnika. Znał tu każdy kąt i wiedział, gdzie się schować. Poza tym był ubrany w brudne ciuchy i niczym się nie różnił od innych robotników, którzy przemykali szybko, z pochylonymi głowami, nie zwracając na nikogo uwagi. Chwycił leżący na nabrzeżu worek i pewnym krokiem wszedł na trap. Kiedy był już na pokładzie, wiedział, że prawie się udało. Parowiec nie był duży, ale znajdowało się na nim tyle zakamarków, żeby można było się dobrze ukryć. Zygmunt wcisnął się w ładowni za wielkie skrzynie. Panowały tam kompletne ciemności, więc nie było szans, żeby ktoś go zauważył.

W metalowej puszcze dawało się słyszeć jedynie piski szczurów, które jakby podświadomie wyczuwały, że statek wkrótce wypłynie w morze. Zygmunt siedział w ciszy przez kilka godzin. Do ładowni nikt nie zaglądał. Na pokładzie jeszcze było słyhać pokrzykiwania tragarzy i nerwowe nawoływania załogi. Później powietrze przecięły gwizdki i ucichły odgłosy biegających po pokładzie portowych robotników i marynarzy. Za to coraz głośniej pracowały tłoki parowca. Zygmunt poczuł gwałtowne szarpnięcie. To holowniki odciągały jednostkę od nabrzeża i kierowały do wyjścia z portu, gdzie od końca wojny zalegał niemiecki pancernik *Gneisenau*, zatopiony przez samych Niemców.

Za skrzynią w ładowni Zygmunt przesiedział blisko dwanaście godzin. Postanowił się ujawnić, kiedy wiedział, że parowiec jest już daleko na pełnym morzu. Zresztą już nie mógł wytrzymać z zimna i pragnienia. Dawał mu się też we znaki sztorm. Wojtczak pochodził z Płocka i nie był przyzwyczajony do takiego bujania. Kilka godzin wymiotował w ładowni. Już miał dość tej całej ucieczki.

Kiedy wyszedł na pokład, lodowate fale przelewały się przez burty. W jednej chwili był cały mokry. Gdy Szwedzi zobaczyli intruza na pokładzie, wszczęli alarm. Zaprowadzili Zygmunta do kapitana. Niespecjalnie się dziwili, bo podobnych blindziarzy z komunistycznej Polski było coraz więcej. Kapitan dał mu się napić gorącej herbaty, a potem zaprowadzili go do kajuty. Dostał koc i położył się na koi. Był potwornie zmęczony i przemarznięty. Niemal natychmiast zasnął.

Świetna fucha w Maroku

Gdzieś na Bałtyku, styczeń 1950 roku.

– *Få upp! Få upp!* [wstawaj]. – Szarpał go za ramię łysy dryblas.

Zygmunt nieprzytomnym wzrokiem popatrzył na mężczyznę, nie wiedząc, o co chodzi. Nie wiedział nawet, gdzie jest. Dopiero po chwili wrócił do rzeczywistości i zorientował się, że siedzi w kajucie. Przypomniawszy sobie, że uciekł z Polski. Nie wiedział, jak długo spał. Po chwili do kajuty weszli inni marynarze. Dostał kubek kawy i kawałek suchego chleba. Szwedzi szturchali się i śmiali, patrząc na niego. Zygmunt nie wiedział, co będzie dalej. Był jednak szczęśliwy, bo cokolwiek miało się stać, będzie lepsze niż kazamaty za próbę przemytu kawałka skóry. Po niewolniczej pracy dla Niemców podczas wojny nie chciał drugi raz przeżywać takiego upodlenia. Nie ma nic gorszego niż życie w klatce i całkowita zależność od drugiego człowieka. Zwłaszcza gdy ten drugi człowiek chce się na tobie wyżyć.

Tę scenę zapamiętał na długo – patrząc na śmiejących się z niego Szwedów, miał nadzieję na lepszy los, choć zarazem jakby tego śmiechu nie słyszał. Wszystko działo się obok niego. Miał jeszcze świeżo w pamięci ciężar worków w gdyńskim porcie i tę zazdrość, jaką czuł, kiedy patrzył na zagranicznych marynarzy, których odróżniało się od Polaków na pierwszy rzut oka. Nie trzeba było nawet słuchać obcego języka. Wystarczyło spojrzeć na sposób chodzenia i pewną swobodę ruchów – brak napięcia w ciele, rozluźnione mięśnie. Nie widział u nich nerwowych poruszeń głowy i tego strachliwego, zwierzęcego spojrzenia. Wtedy nie zdawał sobie sprawy, z czego to wynika. Teraz już wiedział – oni po prostu się nie bali.

Szwedzi byli mili tylko do pewnego stopnia. Później kapitan próbował wytłumaczyć Zygmuntowi, że muszą go aresztować i wydać szwedzkiej policji. To jednak dla niego oznaczało wolność...

Nie bał się. Modlił się jedynie, żeby ktoś nie wpadł na pomysł, by odstawić go z powrotem do komunistycznej Polski. Wiele słyszał o tym, jak władze rozprawiają się z uciekinierami, i bał się, że w kraju może go czekać kara śmierci, a w najlepszym wypadku wieloletnie więzienie. O wyrokach Wojskowych Sądów Rejonowych krążyły legendy, słyszało się plotki o rozstrzelaniach i mordach w gdyńskim kryminale.

Po kilku godzinach parowiec dopłynął do Karlskrony. Tam Wojtczaka przejęła szwedzka straż graniczna. Funkcjonariusze wsadzili go do starej poniemieckiej furgonetki. Na tablicach rejestracyjnych jeszcze przebijały zamalowane oznaczenia Wehrmachtu – „WH”. Został przewieziony do obozu dla uchodźców

pod Sztokholmem. Procedury trwały kilka godzin. To wydało mu się nawet trochę znajome - przypominało spisywanie przez Niemców, kiedy był u nich na robotach podczas wojny. Czuł się upokorzony i nie bardzo wiedział, co ma robić, choć Szwedzi starali się być mili. Obóz nie był duży. W starych barakach mieszkało też kilkunastu Polaków. Zygmunt pochwalił się, że w Borowiczkach pod Płockiem, skąd pochodził, tuż przed wojną pomagał kowalowi. Szwedzi dobrze wiedzieli, co się dzieje w Polsce, więc po trzech tygodniach niepewności Wojtczak dostał decyzję o przyznaniu mu azylu. Był szczęśliwy jak dziecko. To oznaczało nowe życie, bo jednocześnie otrzymał pracę w pobliskiej odlewni żelaza. Teraz życie toczyło się monotonnie: obóz, praca, obóz.

Październik 1950 roku.

Wojtczak: W takim rytmie minęło dziesięć miesięcy. Niby było spokojnie, ale pojawiały się plotki, że komunistyczny polski rząd będzie żądał od Szwecji wydania uchodźców. Do naszego obozu przybyło kilka osób podających się za przedstawicieli Związku Uchodźców. Tłumaczyli, że trzeba im przekazywać gotówkę, to w razie czego pomogą w ucieczce. Podejrzewałem, że to może być jakieś oszustwo, ale ziarno niepokoju zasiali. Zacząłem się bać deportacji. Przecież nie wiedziałem, czy politycy się nie dogadają za naszymi plecami i trafię ze spokojnej Szwecji do polskiego więzienia. Wtedy już nie chodziłoby tylko o wyniesienie z portu kawałka skóry, ale o nielegalny wyjazd z Polski, co było zagrożone wieloletnim więzieniem. Wtedy wszyscy szukali jakiegokolwiek stałej pracy. Ktoś powiedział, że jest dobra praca w Maroku. Tyle że trzeba osobiście się zgłosić do konsulatu Francji.

Zygmunt nie czekał, aż przyjdą po niego komuniści. Pojechał do Sztokholmu. Niewiele rozumiał, ale zgłosił się do francuskiej placówki. Tam pracownik łamaną polszczyzną wytłumaczył mu, że można podpisać trzyletni kontrakt w Maroku. Chętnych nie brakowało – w podobnej sytuacji było czterdzieści pięć osób. Wstępnie wszyscy się zgodzili, ale w ciągu kilku tygodni większość towarzystwa się wykruszyła. Już nie było tak wielu chętnych na wyjazd do Maroka, bo nie było wiadomo dokładnie, co to miała być za robota. Większość się bała, że podpisanie tego kontraktu to jak sygnowanie cyrografu i pakt z diabłem.

Wojtczak: W końcu zostało nas tylko dwóch: Jerzy Wegner ze Szczecina i ja. Podpisywaliśmy kontrakt w języku francuskim. Tłumacz mówił, że nie ma się czego obawiać, bo to trzyletnia umowa na robotę w Maroku. Zwykła fizyczna

praca. Mówili, że na początku trafimy jako tragarze do jakiegoś portu. Mieliśmy pomagać przy przeładunku. Ciężka robota, ale kusili nas kilkoma tysiącami franków pensji. To były niewyobrażalne pieniądze jak na tamte czasy. Poza tym musiałem uciekać jak najdalej od Polski. Bałem się, że zostanę deportowany. Miałem dwadzieścia dziewięć lat i nic do stracenia...

Zygmunt i jego kolega podpisali kontrakt. Mieli się zgłosić następnego dnia po bilety na statek do Kopenhagi. Tak zaczęła się dla Wojtczaka podróż, która trwała wiele lat. Nie zwracał uwagi na niewygodę, które musiał znosić na starym parowcu. Tak jak inni spał na podłodze w brudnej ładowni. Kiedy jesienny Bałtyk zaczął szaleć, pierwsi pasażerowie nie wytrzymali. Torsje szarpały też jego kolegą, Jurkiem. Chłopak nie był w stanie zapanować nad atakami choroby morskiej. Siedział skurczony w rogu, opierając się o pustą skrzynkę, i wymiotował sobie wprost na kolana. Był blady jak ściana. Podobnie reagowali inni pasażerowie. W niskim, niewietrzonym pomieszczeniu śmierdziało wymiocinami. Zygmunt nie narzekał. Podczas wojny widział gorsze rzeczy, a ta podróż miała być początkiem nowego życia. Po kilkudziesięciu godzinach rejsu po wzburzonym Bałtyku w końcu dopłynęli do Kopenhagi. Nie wiedział, jak wyrazić swoje szczęście, że może postawić nogę na stałym lądzie. Nic się nie bujało. Nigdy by nie podejrzewał, że człowiek może się tak cieszyć z tego, że stąpa po twardej ziemi.

Kopenhaga to był tylko przystanek w tej podróży. Czekał tam na nich pociąg do Hamburga. Stare, drewniane wagony towarowe były niczym luksusy pierwszej klasy w porównaniu do ładowni na statku. Jerzy szelmowsko się uśmiechał, a na jego twarzy nie było śladu po wielogodzinnej chorobie morskiej, gdy osmalona lokomotywa szarpnęła pierwsze podłączone do niej lory, a za nimi resztę składu.

– No to tylko zakładać konta w Szwajcarii, jak zarobimy tę kasę, którą obiecują Francuzi. Będziemy bogaci. – Rozmarzył się. Zamknął oczy i rozłożył ręce, komfortowo opierając się o ścianę wagonu.

Dla Zygmunta powolna jazda pociągiem była jak szkolna wycieczka. Głód doskwierał, ale nie to było najważniejsze. Kiedy pociąg stanął w Hamburgu, był podekscytowany. W kieszeni koszuli na pomiętej kartce miał zapisany adres, pod który mieli się zgłosić. Kilka godzin błądzili zniszczonymi uliczkami miasta, by w końcu trafić do francuskiego biura. To kolejny przystanek. Znudzona monotonią całodziennej pracy otyła Niemka wydała Zygmunтови i pozostałym petentom bilety do Offenburga. To niewielkie miasto położone tuż przy granicy z Francją, po wojnie we francuskiej strefie okupacyjnej. Wszyscy chętni do roboty w

Maroku mieli się stawić w pobliskim Baden-Baden.

Oficer Legii tylko się śmiał

Baden-Baden, grudzień 1950 roku. Zygmunt, nie przeczuwając niczego złego, wszedł w obręb niepozornego kompleksu budynków. Niespecjalnie się zdziwił, że w biurze przepustek siedzi czarnoskóry wartownik uzbrojony w karabin maszynowy. W całych Niemczech było mnóstwo wojska, więc skoro to był punkt zborny, to tak musiało być. Zresztą wiedzieli, że przyjedzie, bo wchodząc na teren obozu, musiał podpisać się na liście pod swoim nazwiskiem.

Wojtczak: Jak przekroczyłem bramę tego obozu, to już nie było odwrotu. Uzbrojeni wartownicy pilnowali bram, a nas zamknięto w części budynku, skąd nie było żadnego wyjścia. Francuzi zabrali mi dokumenty i cywilne ciuchy. Dostaliśmy mundury. Wtedy stało się jasne, że we francuskiej ambasadzie podpisałem kontrakt na najemnika w Legii Cudzoziemskiej. W życiu bym na to nie poszedł! W czasie wojny udało mi się uniknąć wojaczki i wcale nie pałałem chęcią do żołnierki, nawet za cenę ucieczki przed ludowym wymiarem sprawiedliwości.

Zygmunt by się do tego nie przyznał, ale był trochę tchórzem. Jego brat, Broniek, walczył w kampanii wrześniowej 1939 roku i wiele opowiadał o okropieństwach wojny. Po jej zakończeniu Zygmunt dziękował Bogu, że cudem udało mu się uniknąć walki na froncie.

Wojtczak: Nigdy w życiu nie poszedłbym dobrowolnie w kamasze. Urzędnicy w ambasadzie zupełnie co innego mówili. A jak podpisywałem, to nawet nie wiedziałem co, bo przecież nie znałem ani słowa po francusku. Jak się dowiedzieliśmy, że to zaciąg do Legii Cudzoziemskiej, to zażądaliśmy od komendanta zwrotu dokumentów i zwolnienia nas do domów. Oficer tylko się śmiał, pokazując jakiś papier, że podpisany.

– Teraz możecie się starać o zwolnienie w Marsylii. Tam dostaniecie dokumenty i bilety na powrót. Z tego obozu nie ma odwrotu. Taka u nas procedura – tłumaczył.

Dalsze postępowanie było rutynowe: badanie przez lekarzy. Jednak Francuzi obawiali się, że świeże mięso armatnie im ucieknie – czterdziestu nieszczęsnych rekrutów cały czas pilnowali uzbrojeni żołnierze.

Boże Narodzenie 1950 roku. Wieczorem pociąg spokojnie nie turkotał na przedmieściach Marsylii. Na stacji na rekrutów już czekała wojskowa ciężarówka. Czterdziestu chłopów musiało się w niej zmieścić. Cały czas nie spuszczała z nich oczu strażnica. Później auto w eskorcie dwóch dżipów podskakiwało na dziurach La Canebière. To główna arteria miasta, biegnąca wprost do Starego Portu i Fortu św. Jana, gdzie stacjonowali legionieści. Przez szparę w plandecie widać było wystające przy ulicy prostytutki i pijanych klientów chwiejnym krokiem szukających uciechy na jedną noc. To Le Panier – najgorsza dzielnica Marsylii. Zygmunt wiele z tego pierwszego wieczoru nie zapamiętał. Uderzył go tylko smród portowej dzielnicy. Wszystko było nim przesiąknięte. Nie dało się od niego uciec.

W końcu wszystkie trzy auta stanęły. Fort św. Mikołaja – to cel ich podróży. Wypalone słońcem cegły nosiły ślady pocisków, a duża część fortecy była zniszczona po wojnie. Obiekt należał do wojska, ale nikt specjalnie nie troszczył się o jego renowację. Przybyszów uderzyła przygnębiająca atmosfera tego miejsca. Fort wyglądał, jakby wojna dopiero co się skończyła.

Wojtczak: Skoszarowano nas w tym forcie. Cztery dni siedzieliśmy o chlebie i wodzie w niewielkich celach. Nikt się nami nie interesował. Jedynie strażnicy co jakiś czas zaglądali, żeby sprawdzić, co robimy. W końcu czwartego dnia zaczęto wzywać nas po kolei do biura śledczego. Dostałem do podpisania pięcioletni kontrakt, a krajem przeznaczenia był Wietnam.

Zygmunt nie chciał podpisać kontraktu i nie zgadzał się na wyjazd do Indochin.

– Masz dwa dni na przemyślenie sprawy. Jeśli się nie zdecydujesz, to inaczej się policzymy – straszyl oficer.

Słowa Francuza powtarzał jak echo, tyle że po polsku, kapral ze wschodniej Polski. Zaciągał typowym tamtejszym akcentem. W czasie wojny walczył w AK, a potem w NSZ. Podobnie jak inni Polacy w Legii, uciekł z kraju...

Cyrografu na dalsze życie w wojskowych kamaszach nie chciał też podpisać kolega Zygmunta Jerzy Wegner. Przesłuchujący ich oficerowie byli spokojni.

– Jak nie chcecie podpisać, wracacie do celi. Może przez dwa dni rozjaśni się wam w głowie – tłumaczyli.

Żandarmi odprowadzili ich do celi. Dwa dni dłużyły się niemiłosiernie. Dużo rozmawiali. Nie spodziewali się, że tak będą spędzać święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Szczęście, że zima we Francji była łagodna, bo musieli spać na ziemi. Nie było żadnych łóżek. Klawisze rzucili im jedynie trochę słomy, żeby

nie leżeli na gołych kamieniach. Jednak w tej norze nie dało się spać. Cały czas musieli odganiać szczury, które wychodziły całymi stadami zaraz po zapadnięciu zmroku. Otyłe, wlokły tłuste cielska powoli przez korytarze, zostawiając mokre ślady, jak ślimaki. Wypełzały wprost z kanałów i jeszcze nimi cuchnęły. Bestie były bezczelne. W ogóle nie bały się ludzi. Nawet jak się je przepędziło, to zaraz wracały. Parły do śmieci, których całe sterty zalegały w forcie.

Zygmunt i Jerzy przeżyli wojnę w Europie i nie zamierzali jechać na kolejną do Azji. Wspólnie zdecydowali, że nie podpiszą kontraktu.

Zgodnie z umową po dwóch dniach żandarmi ponownie zabrali ich do biura śledczego. Tym razem oddzielnie.

– *Allez! Allez!* – poganiali Wojtczaka wojskowi, dźgając go co jakiś czas lufami karabinów w plecy.

Zygmunt został w pokoju z oficerem i dwoma żandarmami. Widział tylko światło lampki odbijające się w okularach Francuza. Cienie postaci tańczyły na kamiennych ścianach pomieszczenia.

Oficer spokojnie siedział za biurkiem i wyglądał jak urzędnik w magistracie. Nic poważnego, nic groźnego - taki przekaz płynął z jego uśmiechniętej twarzy. Żandarmi też się uśmiechali, ale nic nie mówili. W milczeniu patrzyli na drobnego Polaka. Na biurku oficera piętrzył się stos dokumentów, a z wyszczerbionego kubka z jakimiś arabskimi wzorami wystawały starannie zaostrzone ołówki.

– Nie podpiszę kontraktu – zapowiedział hardo Zygmunt i próbował dostrzec jakąś reakcję w oczach Francuza, które ledwo było widać zza grubych szkielec.

Momentalnie dostał potężny cios drewnianą pałką w dół podkolanowy. Padł na ziemię. Tego się nie spodziewał. Dotąd Francuzi byli dla niego mili i cały czas się uśmiechali. Tak przesiąkł tym wszechobecnym „bonjour” i „merci”, że odmawiając podpisania kontraktu, też się szelmowsko uśmiechał.

Drugi żandarm zaczął go kopać po całym ciele. Kopał wszędzie, ciężkie buciorzy waliły w czułe miejsca. Zygmunt odruchowo zakrywał głowę rękoma, ale nie na wiele się to zdawało. Żandarmi byli jak w amoku. Wreszcie mogli się wyładować za ciągłą falę i kary fizyczne, które sami wcześniej dostawali. To stała metoda w Legii: sprać tak, żeby gość nawet nie odważył się myśleć inaczej. Upodlić...

– Ty komunistyczna Świnio! – krzyczał oficer. – Przyjechałeś na przespīgi do Francji. Zajeziemy cię jak psa. -

Zdawało się, że do głosu doszło alter ego legionisty, który do tej pory wydawał się całkiem uprzejmy.

To była agresja i przemoc w czystej postaci. Nie wiedziałeś, skąd się jej spodziewać, i nie miałeś jak się przed nią bronić. Uderzała nagle i niszczyła wszystko. Gdy Wojtczak próbował coś wydukać, dostawał kolejne ciosy. Tej fali nie dało się powstrzymać, była jak wodospad, który spada z hukiem, na nic nie zważając. Oficerowie chcieli całkowicie poniżyć swoją ofiarę. O to w tym biciu chodziło. Miała pełzać po betonowej posadzce i błagać o litość, ale żadnego zmiłowania miało nie być. Żandarmów również obowiązywały twarde zasady: zero tolerancji dla słabości. „Prac, aż przestaną skomleć o łaskę, bo będą nieprzytomni”.

Wojtczak myślał, że pozwolą mu cokolwiek wytłumaczyć, ale tu po słowie „nie” dostawał tylko kolejne porcje ciosów. To nie miało końca. Dwaj rośli żandarmi jak w transie kopali gdzie popadnie.

– *Fin!* – wykrzyknął wreszcie oficer, gdy sami oprawcy chyba mieli dość i już się znudzili tym kopaniem. Widział też, że Wojtczak ma dość. Cały spływał krwią i ledwo dyszał na betonowej posadzce. – Polejcie go wodą, żeby go trochę otrzeźwić – polecił.

Kiedy żandarmi oblewali go wiadrem cuchnącej wody, Zygmunt wiedział, że podpisze wszystko, co będą chcieli. Modlił się tylko o jedno: żeby w końcu przestali bić. Dłużej tego nie wytrzyma...

Czuł, że traci kontakt z rzeczywistością. Ból i ciosy mieszały się ze sobą. Fala cierpienia ogarniała każdą część ciała. Czuł też, jakby to wszystko działo się poza nim. Ciosy odbijały się echem i wbijały w zakątki mózgu.

Więcej nie zniesie. Było mu wszystko jedno. Zrobi wszystko, co zechcą, byle dali mu spokój.

– Podpiszę – wydukał, plując krwią. – Mam już dość. Tylko przestańcie bić.

– Wreszcie poszedłeś po rozum do głowy – wyszeptał mu tryumfalnie do ucha oficer. – Witamy w Legii!

Zygmunt podpisał cyrograf. Nawet nie miał siły spojrzeć na dokument, który zaraz zniknął w biurku oficera.

Wojtczak: Tak mnie skatowali i poniżyli, że nie byłem w stanie się sprzeciwić. Lali bez opamiętania, jakby chcieli zabić. Później słyszałem, że Jurka wykończyli. Nigdy więcej go nie widziałem. Nie wiem, co się z nim stało. Słyszałem plotki, że chłop nie żyje, bo nie chciał podpisać kontraktu na służbę w Legii. Ponoć zakatowali go na śmierć. Tak przynajmniej inni gadali.

Po podpisaniu kontraktu przez Zygmunta Francuzi się uspokoili. Pobitego odprowadzili do stołówki.

– Teraz możesz się najeść i napić – śmiali się.

Twarz Zygmunta spływała krwią. Była napuchnięta. Nie miał siły, by cokolwiek przełknąć, choć był piekielnie głodny. By nieco się znieczulić, jednym haustem wypił trzy szklanki wina. W głowie miał tylko jedną myśl – uciec stąd jak najdalej. Kiedy siedział w stołówce, żandarmi go nie pilnowali. Krzatali się jacyś żołnierze, co jakiś czas wchodził na salę kucharz, ale raczej nikt nie zwracał uwagi na krępego Polaka, który siedział w rogu sali. Wojtczak wyszedł ze stołówki i skierował się w stronę okalającego fort muru. Ten w wielu miejscach był prowizorycznie załatany po eksplozji amunicji sprzed kilku lat. W końcu udało mu się znaleźć obniżenie, przez które mógł się wydostać na wolność. Zmierzchało, ale Zygmunt jak najszybciej chciał opuścić port i uciec jak najdalej od Fortu św. Mikołaja.

Miał na sobie charakterystyczne drelichy legionisty i wiedział, że daleko w nich nie ucieknie. Musiał tylko doczekać zmroku, wtedy może na jakimś śmietniku znalazłby cywilne łachy. Przemykał wąskimi uliczkami z pochyłą głową i liczył na to, że nie przykuwa uwagi przechodniów. Ale tu prawie sami kolorowi i już samą bielą swojej skóry wyróżniał się na tle innych. Kiedy tak sam wędrował przez dzielnicę portową, jeszcze dotkliwiej czuł odór tego miejsca. To specyficzny zapach – mieszanka zepsutych ryb, moczu i stęchlizny. Starął się jednak o tym nie myśleć. Działał instynktownie – jedyna myśl to ucieczka. Podejrzał, że już ruszył za nim pościg, i bał się spojrzeć w oczy przechodniom. Każdy mógł być żandarmem w cywilu.

W małej kamiennej fontannie schowanej na podwórku obdrapanej kamienicy umył twarz. Próbował wyczyścić też bluzę munduru, którą zaplamiała krew. Dostrzegł niewielkie okienko piwnicy. Jakimś cudem wcisnął się przez mały otwór, żeby w środku poczekać, aż zapadnie ciemność. Wtedy spróbuje znaleźć cywilne ubranie i przedostać się na przedmieścia. Zmęczony zasnął na połamanych deskach.

Obudził się kilka godzin później. Było już kompletnie ciemno. Jedynie światło księżycy rozświetlało wąskie uliczki. Wojtczak zapalił papierosa, wychylając z ukrycia tylko głowę. Gdy zobaczył, że jest pusto, wyszedł. Znalazł się z powrotem na ulicze, która jeszcze przed paroma godzinami tętniła życiem. Teraz tylko trzy prostytutki stały w bramie po drugiej stronie i od niechcienia paliły papierosy. Od ścian odbijało się echo ich głosów i radosny dziewczęcy śmiech.

Zygmunt starał się nie patrzeć na dziewczyny. Jak spłoszone zwierzę pierzchnął w boczną uliczkę. Nie zauważył, że od kilku sekund przygląda mu się dwóch wysokich mężczyzn w skórzanych płaszczach. Zaczęli zmierzać pewnym krokiem w jego stronę. Zaledwie cztery kroki przed nim jeden z nich, trzymając niezapalonego papierosa, zapytał:

– Można prosić o ogień?

Zygmunt wyciągnął zapałki i chciał podać nieznajomemu. Ten uśmiechnął się i wskazał na papierosa, którego palił Polak.

– Mogę odpalić.

Zygmunt powoli, nieco trzęsącą się ręką przyłożył rozżarzoną końcówkę do papierosa trzymanego w ustach przez Francuza. W tym momencie kompan tamtego zatrzasnął na jego nadgarstku zimną stal kajdanek. Wojtczak próbował jeszcze się szarpnąć i wyrwać, ale był skuty z obcym. Nie miał możliwości ucieczki...

– Jesteś aresztowany! Policja. – Wylegitymował się amator odpalania papierosów na ulicy. – Nie próbuj uciekać, bo cię zastrzelimy.

Po kilkugodzinnej wizycie na policyjnym dołku Zygmunt z powrotem trafił do Fortu św. Mikołaja. Na przywitanie polski kapral walnął go pięścią w twarz.

– Wiedzieliśmy, kurwo, że do nas wrócisz! – krzyknął.

Już czekała na niego granatowa kibitka. Żandarmi zapakowali go do środka. Kilkanaście minut później wylądował w przepelnionej celi aresztu Legii nad zatoką Malmousque w Marsylii. W ciemnicy słoczono tylu więźniów, że nie było czym oddychać. Odór odchodów wręcz zatykał. Większość aresztantów stała, bo nie było nawet miejsca, by usiąść. Tylko ci, co już nie mieli siły stać, zalegali pod ścianami. Słyszał było wiele różnych języków. Czasami przebijały się nawet polskie wyrazy, ale Wojtczak był tak zmęczony i załamany, że nie miał odwagi pytać o ziomków. Milczał. Przysypiał na stojąco, lekko oparty o ścianę.

O trzeciej nad ranem wszystkich zerwały krzyki klawiszy. Wyrzucili więźniów na korytarz. Tłukąc kolbami karabinów, kazali biec do wyjścia. Tu rozdzielili aresztantów. Zygmunta wraz z niewysokim Niemcem wepchnęli na pakę ciężarówki. Tam było już blisko czterdziestu legionistów. Ciężarówka zawiozła ich do portu. Zatrzymała się wprost przy trapie niewielkiego parowca. To był *Sidi Bu-l-Abbas*, parowiec Legii, nazwany tak na cześć statku storpedowanego przez U-boota w 1943 r., służącego do transportu legionistów. Wówczas zatopiona jednostka stała się grobem dla 834 żołnierzy.

Żandarmi pilnowali, by każdy z aresztantów wchodził od razu na jednostkę.

Zbyt powolnych kopali i walili gdzie popadnie kolbami karabinów. Na pokładzie nie było źle. Warunki znośne. Dwa dni płynęli do Oranu w Algierii.

Stamtąd nowi rekruci zostali przetransportowani do głównej siedziby Legii w Sidi Bu-l-Abbas. Nad terenem głównych koszar górował Pomnik Poległych Legionistów – charakterystyczny glob ze stojącymi dookoła czterema legionistami.

Wojtczak: Tam siedzieliśmy blisko trzy tygodnie. Były kolejne badania lekarskie, a potem zapakowali nas do pociągu do Saïdy. Zaczęło się ostre szkolenie. Marsze, musztra, biegi. Sahara każdemu dała w kość. Jak ktoś się buntował, to po prostu znikał... Tam, gdzie mnie skoszarowano, było wielu Polaków, Węgrów i Niemców. Francuzi wiedzieli, że masa ludzi z przyczyn politycznych nie może wracać do swoich krajów. Wykorzystywali to. Dostałem przydział do 13. Półbrygady Legii Cudzoziemskiej (13-ème demi-brigade de Légion Étrangère).

Ta jednostka powstała w czasie II wojny światowej, miała walczyć u boku Finów przeciwko Sowietaom. Jednak klęska Finlandii zmieniła te plany. Francuzi rzucili ją do walki pod Narwikiem. Po kapitulacji Francji i powstaniu rządu Vichy żołnierze 13. DBLE sprzeciwili się kolaboracji z hitlerowskimi Niemcami, stanęli po stronie de Gaulle'a i przyłączyli się do walki przeciwko faszystowskiej koalicji u boku aliantów. Jednostka walczyła w Gabonie i Kamerunie, wypierała Włochów z Etiopii i Erytrei, a następnie wkroczyła do Syrii kontrolowanej przez oddziały Vichy.

Po wojnie Francuzi przetransportowali ją do Indochin, gdzie miała bronić ich posiadłości kolonialnych. Wtedy 13. DBLE tworzyli w dużej części Niemcy, Polacy i Węgrzy. Choć obowiązywał język francuski, to legionści mówili po niemiecku, bo tym językiem posługiwało się najwięcej żołnierzy.

Wojtczak: W mojej jednostce służyli weterani Waffen-SS. Nie było trudno ich rozpoznać, bo mieli blizny po esesmańskich tatużach. Francuzi nie zwracali na to uwagi. Dla nich liczyło się mięso armatnie, a esesmanów dodatkowo cenili, bo wiedzieli, że to świetni żołnierze. Doskonale wyszkoleni w jednym celu – by zabijać.

Tylko na papierze do Legii nie przyjmowano przestępców. Praktyka była inna. Legia dawała nową tożsamość i pozwalała się ukryć ściganym przez prawo. Poza esesmanami, żołnierzami polskiego podziemia czy Węgrami walczącymi

po stronie Niemiec podczas II wojny światowej w szeregach Légion Étrangère nowe życie rozpoczynali pospolici przestępcy. Taką czystą kartę otworzył między innymi słynny przedwojenny gangster o pseudonimie Mucha. W Legii awansował nawet na stopień podoficerski i nikt go nie pytał o przeszłość.

Szkolenie na Saharze trwało blisko pięć miesięcy. Wtedy Zygmunt dostał też legendarne kepi.

Wojtczak: Nie było żadnej wielkiej uroczystości, jak to się teraz ogląda na filmach dokumentalnych o Legii. Po prostu wysłali mnie do magazynu i dostałem kepi. Tak samo jak wcześniej mundur czy karabin. Wówczas oficerowie największą wagę przywiązywali do wyczerpującego szkolenia. Legionista miał być twardy i przetrwać w każdych warunkach. Kepi to jedynie dodatek, który później stał się symbolem Legii Cudzoziemskiej. Wtedy już nie myślałem o dezercji. Na Saharze nie było gdzie uciekać. Wiedziałem, że wkrótce zapakują nas na statek i popłyniemy do Wietnamu. Stamtąd już nie było ucieczki.

Nie chce pamiętać, co wtedy czuł. To totalna niemoc i kompletny brak wpływu na własne życie. Podczas tych tygodni na Saharze widział kilku nieszczęśników, którzy zdecydowali się na dezercję. Do karceru wracali zmasakrowani przez podoficerów po kilkunastu godzinach lub kilku dniach na wolności. Głodni i wyzbyci człowieczeństwa. Zasada była prosta – przyszłego legionistę sama myśl o dezercji miała boleć. Dlatego kaprale nie mieli litości, gdy kopali i lali pałkami desperatów. Wiedzieli, że lojalność wobec współtowarzyszy jest najważniejsza podczas prawdziwej walki. Wojtczak nie mógł sobie wybaczyć pochopnej decyzji podjętej w Szwecji. Kiedy leżał na pryczy w koszarach, wspominał rodzinne Borowiczki nad Wisłą i nie mógł uwierzyć, że siedzi w Afryce, kilka tysięcy kilometrów od domu, i w każdej chwili może zostać wysłany na wojnę w Indochinach.

W Sidi Bu-l-Abbas trochę słyszał o wietnamskim piekle. Ale do Algierii docierały jedynie plotki. Nie było żadnych wiarygodnych informacji. Mógł tylko podejrzewać, co go czeka. Już pobyt w Algierii to był dla Zygmunta inny świat. Wcześniej całe życie spędził w Polsce. A przecież tego świata nie dało się w żaden sposób porównać z Borowiczkami.

Wojtczak: To było dla mnie jakieś szaleństwo. Jakoś udało mi się przetrwać wojnę w Europie i nie walczyć. Przez sześć lat kombinowałem. Zajmowałem się

głównie handlem. Musiałem zmieniać miejsca pobytu, bo ścigali mnie Niemcy i polska granatowa policja. Nie garnałem się do wojaczki. Gdybym wiedział, że chodzi o wyjazd na wojnę, w życiu bym takiego kontraktu nie podpisał. Przeżyłem wojnę w Polsce i wiedziałem, jak to wygląda...

Gdy w maju 1945 roku skończyła się wojna w Europie, Azja cały czas płonęła. Wiosna tego roku była szczególnie gorąca dla 5. pułku piechoty Legii Cudzoziemskiej w Indochinach (5-ème regiment étranger d'infanterie). W marcu jednostkę zaatakowały przeważające wojska japońskie. Przewaga Japończyków była przytłaczająca, ale garnizon w Ha Giangu, choć nie miał żadnych szans, nie przyjął propozycji kapitulacji. Japończycy starli wojska francuskie w pył. Obrońcy zostali wycięci do nogi. Nikt nie przeżył masakry w Ha Giangu. Podobnie zginęli żołnierze w wiosce Tong. Po pojmaniu Japończycy ścięli im głowy samurajskimi mieczami. W tej wojnie nie było litości i żadnych zasad. Większości legionistów z 5. REI i oddziałów kolonialnych chwilowo udało się jednak ująć z życiem. Ale nie wiedzieli, że Japończycy nie uznają jeńców. Dla nich to nie do pomyślenia, że żołnierz może się poddać. Spośród dwunastu tysięcy żołnierzy Légion Étrangère przeżyło jedynie dwa i pół tysiąca. Po kapitulacji Japonii wycofujące się oddziały Legii Cudzoziemskiej znalazły się na terenie opanowanym przez wietnamskich partyzantów. Wśród nich agitowali komuniści. Walki nie ustawały. Partyzanci mieli przewagę, bo sprzyjała im lokalna ludność. Francja zdecydowała się wysłać do Indochin kolejne jednostki Legii Cudzoziemskiej. W tym czasie w dżungli walczyło ponad trzydzieści tysięcy żołnierzy w białych kepi.

Légion Étrangère cały czas się rozwijał. II wojna światowa pokazała, jak musi zmieniać się armia. W 1948 roku powstały pierwsze jednostki spadochronowe. To załóżki późniejszych elitarnych 1. i 2. pułku spadochroniarzy cudzoziemskich (régiment étranger de parachutistes). Francuzi do walki z partyzantami wysyłali najlepszych, ale to nie poprawiało sytuacji. Legionistów wciąż było za mało. Musieli stawiać czoło zdecydowanie przeważającemu przeciwnikowi.

Do legendy przeszła bitwa pod Phu Tong Hoa. Tam u stóp wzgórza przy drodze kolonialnej nr 3 legionieści utworzyli przyczółek. Zbudowali umocnienia z bambusa, desek i gliny. Posterunek zajęły dwie kompanie 3. pułku piechoty Legii Cudzoziemskiej – łącznie 104 żołnierzy. 25 lipca 1948 roku Wietnamczycy zaatakowali. Garstka legionistów przez dziewięć godzin broniła się przed kilkoma tysiącami partyzantów.

Kiedy rok później komuniści przejęli władzę w Chinach, sytuacja wojsk

francuskich jeszcze się pogorszyła. Wojska Viet Minhu zyskały świetną bazę wypadową. Pomoc Chińczyków w zaopatrzeniu w żywność, broń i amunicję pozwalała im na przeprowadzanie operacji na znacznie większą skalę.

Podobnie jak podczas II wojny światowej Armia Czerwona przytłaczała Niemców liczebnie, tak i tu przewagę mieli partyzanci. Ich działaniom dodatkowo sprzyjała dżungla. Już w 1949 roku Wietnamczycy zdominowani przez komunistów zaczęli zyskiwać przewagę. Francuzi nie mieli dostatecznej liczby ludzi i sprzętu, by skutecznie bronić przyczółków rozciągniętych na tysiącach kilometrów w tropikalnych lasach.

W maju 1950 roku cztery tysiące świeżo przeszkolonych legionistów wsiadło na SS *Pasteur* – wielki francuski liniowiec pasażerski, który jeszcze w czasie wojny został zarekwirowany przez wojsko i przez całą okupację służył do transportu żołnierzy.

Wśród tych legionistów był Wojtczak. Po dwudziestu czterech dniach żołnierze wysiedli w Sajgonie. Zygmunt przeżył szok. Takiego miasta jeszcze nie widział. Na ulicach hałas i chaos. Nigdy nie przypuszczał, że swoje trzydzieste urodziny będzie obchodził w niewielkiej wiosce pod Sajgonem, którą Francuzi zwali Mascari.

Rozdział II

Ryszard z batalionu szturmowego

Gdyby istniał kraniec Polski, to z pewnością mógłby się znajdować w Nowej Pasłęce, choć miejscowi mówią, że tu wszystko się zaczyna. Do najbliższego Braniewa jest siedem kilometrów po dziurawym asfalcie. Poza tym ktoś umieścił niewielką przystań żeglarską tuż przy granicy rosyjskiej. Z kieszonkowego porciku u ujścia Pasłęki do Zalewu Wiślanego widać mierzeję. Można się tam dostać po starym stalowym moście, którego belki podskakują, gdy wtacza się nań auto.

Jesienią w przystani cumuje kilka jachtów i nie ma zgiełku, jaki panuje latem. Uwielbiam ten spokój na wybrzeżu po sezonie letnim...

To miejsce do życia wybrał dla siebie Ryszard Doda. Dziś ma spory brzuszek, na którym podciąga się koszulka. Od lat prowadzi przystań żeglarską i tam umawiamy się na spotkanie. Wysoki pięćdziesięciolatek, typ gawędziarza. Lubi gadać i słuchać własnego tubalnego głosu. Ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu i pewnie dlatego jego brzmienie jest jeszcze bardziej donośne. Na krańcu Polski niesie się po ciemnym nurcie wolno wpływającej do zalewu Pasłęki.

Ryszard, podobnie jak jego ojciec, jest w Braniewie legendą. Wszyscy go znają, bo w latach dziewięćdziesiątych prowadził dwie dyskoteki – „Kaprys” i „Hipnozę”.

Korzenie nad rosyjską granicą zapuściło dopiero jego pokolenie, bo rodzina to mieszanka ukraińsko-litewska. Jeden dziadek Litwin, drugi – Ukrainiec, wcześniej zupełnie gdzie indziej mieszkali. Przesiedleńcy jakich wielu po akcji „Wisła”. Komuniści wyrzucili ich z rodzinnego Turnego w 1946 roku. Mieli przydział, to pół rodziny zjechało. Gadania za dużo nie było.

Tu osiedli, bo dziadkowi Ryszarda powiedzieli, że w Braniewie Sowiety będą, a granica pod Fromborkiem miała iść. Ten całą rodzinę nad Pasłękę ściągnął. Później się okazało, że Braniewo jednak w Polsce zostaje, więc Dodowie też zostali. Po czworakach na Litwie tu piękne pruskie mieszkanie dostali. Sto dziewięćdziesiąt metrów. Co ważne, to centrum miasteczka, do stacji jedynie

pięćset kroków.

Ojciec Ryszarda umarł młodo. Od 1952 roku matka musiała ich sama utrzymywać. W domu się nie przelewało. Ryszard w Braniewie skończył zawodówkę. Nie miał większych ambicji, a poza tym rodziny nie byłoby, stać na jego dalszą naukę. Potem już klasycznie, jak to w PRL-u – dostał powołanie do armii. Chciał do komandosów, bo się amerykańskich filmów naoglądał. Chciał być twardy i bezwzględny. Był wysoki i silny, więc wojskowi lekarze popatrzyli na niego przychylnie. Był zdrowy, nie miał problemu z angażem do jednostki specjalnej w Dziwnowie.

Byliśmy ochotnikami, choć każdy wiedział, że może zginąć

Trafił do 1. batalionu szturmowego, czyli jednostki 4101. To wyjątkowa formacja w armii PRL, stworzona na wzór Specnazu. Miała działać na głębokim zapleczu wroga. Dode i jego kumpli szkolono do dywersji w Danii i Schlezwiku-Holsztynie. Plan Ludowego Wojska Polskiego był prosty – żołnierze batalionu szturmowego mieli być przeniesieni za linię wroga. Później zrzut i tajna operacja dywersyjna – zespoły czteroosobowe miały działać na terenie Danii bądź Niemiec.

Doda: W batalionie było wiadomo, że w przypadku wojny nie przeżyjemy dwudziestu czterech godzin. Wszyscy byli ochotnikami, choć każdy wiedział, że może zginąć. Jak by można tam przetrwać? Moja grupa specjalizowała się w wyrzutniach pocisków nuklearnych Pershing 1 i 2. Tylko w tym cały czas się doskonaliliśmy. Naszym zadaniem nie było zniszczenie tych wyrzutni, tylko ich namierzenie i nadanie meldunku. Ruscy w to miejsce mieli odpalić trzy ładunki nuklearne. Wiadomo, że ucieczka ze zbombardowanego terenu była nierealna. Mielibyśmy na to dwadzieścia pięć minut, a ile przebiegniesz albo w najlepszym wypadku przejedziesz w takim czasie?

Szkolenie na dywersanta trwało dwadzieścia cztery godziny na dobę przez dwa lata. Nie mieli chwili wytchnienia. Żołnierz batalionu szturmowego musiał być jak terminator. Każdego dnia w kółko te same czynności i te same ćwiczenia.

Żołnierz przez dwa lata się uczył, jak w szkole. Wszystkimi zmysłami. Niezależnie od samopoczucia, pory dnia lub nocy musiał świetnie znać budowę pocisku balistycznego z głowicą jądrową Pershing, zapalników oraz systemów

zabezpieczeń. Musiał wiedzieć, po czym rozpoznać, że w danym miejscu jest wyrzutnia. Na to wskazywały układ dróg, zabezpieczenia, wygląd żołnierzy i ich umundurowanie. Zwykle charakterystyczne było też ukształtowanie terenu w miejscu, gdzie Amerykanie stawiali wyrzutnie.

Doda: Wszystko musieliśmy wiedzieć. Na zajęciach na okrągło to maglowaliśmy. Jeździliśmy w góry na wspinaczki, gdzie szkolili nas ratownicy GOPR-u. Byli naszymi instruktorami. Na nartach to samo. W Pucku przechodziliśmy szkolenia z nurkowania, minowania i rozminowywania. Kupa działań, o których nikt w Polsce nie wiedział. Pakowali nas do busów i wieźli na „akcję”. W Tarnobrzegu wysadzaliśmy wielką koparkę. Mieliśmy przeniknąć na teren kopalni lub zaatakować komisariat milicji. Wszystko odbywało się w warunkach zbliżonych do autentycznych. A po drodze jeszcze ścigali nas ormowcy i zomowcy. Po wsiach dzieciom rozdawano słodycze, a kobietom kawę, żeby donosili, jak zobaczą podejrzanych osobników. Od razu mieli dzwonić. Jak nas złapali, to na komisariacie zaczynała się napierdalanka. Milicjant rzucał, lejąc pałą: „Skąd, chuju, jesteś?!”. A ty miałeś nieśmiertelnik amerykański, żadnych dokumentów i jedynie cywilne ciuchy. Co mogłeś zrobić?

Podczas takiego szkolenia żołnierz nie miał za dużo czasu na myślenie. To walka o życie. Dlatego nawet najtrudniejsze czynności trzeba wykonywać bezbłędnie przy potwornym przemęczeniu. Nie jest sztuką przebiec maraton, trenując i przygotowując się do niego przez pół roku. Sztuką jest przebiec taki dystans z plecakiem i bronią, żywiąc się po drodze tym, co uda się zerwać, złapać bądź ukraść. Taką wiedzę wbijali do głów młodym dywersantom oficerowie LWP.

Ryszard nie myślał o tym, że jest jedynie mięsem armatnim na wypadek wojny. Wojsko było dla niego ucieczką od beznadziei Braniewa. To też wielka przygoda i tak stara się ją pamiętać. Zresztą podczas dwuletniego szkolenia nie było czasu na analizowanie. Człowiek tak dostawał do wiwatu, że marzył tylko o tym, żeby się najeść i wyspać. I tak stale musiał być w pogotowiu, bo nie wiadomo było, kiedy nastąpi kolejny alarm.

Doda niespecjalnie przejmował się tym, że jest żołnierzem Układu Warszawskiego. Batalion szturmowy to nie miejsce dla filozofów. Takie były czasy i takie wojsko, więc brał życie takim, jakie jest. Czasem myślał jak Nikodem Dyżma, że po prostu trzeba je twardo złapać za mordę i tyle...

Wojsko zapewniało dwa lata przerwy w myśleniu o swojej przyszłości. W

LWP wszystko było proste. Armia myślała za ciebie, trzeba było tylko wypełniać rozkazy, nawet jeśli wydawał je kompletny kretyn z belkami kaprała. Przez chwilę Dodzie przemknęła myśl o pozostaniu w armii, ale tak dostał w dupę w Dziwnowie, a jeszcze potem, gdy jednostka przeniosła się do Lubińca, stare trepy skutecznie wybiły mu to z głowy, że chciał odetchnąć w cywilu...

W 1987 roku zakończył przygodę z mundurem. Dorobił się funkcji pomocnika dowódcy grupy bojowej. Po wyjściu do cywila przez trzy lata miał się dorywczych zajęć.

Kiełkowała w nim myśl, żeby uciec z Polski i zaciągnąć się do Legii Cudzoziemskiej. Nie bardzo wiedział, co go czeka, ale nasłuchiwał się opowieści i chciał spróbować innego życia. W Polsce co prawda ustrój się zmieniał, komuna upadała, ale nikt nie wiedział, jak te przemiany się zakończą. Zresztą w kraju nie miał żadnych perspektyw. Życie w ubogim Braniewie było na tyle bezbarwne i szare, że nic go specjalnie nie trzymało nad Wisłą. Bezrobocie, szalejąca inflacja i bieda to jedyne, co mogło go czekać. Postkomunistyczna beznadzieja jeszcze bardziej dotykała człowieka w takim małym miasteczku. Miało się tam do wyboru robotę w urzędzie albo w kryminale. Ani jedno, ani drugie mu się nie uśmiechało. Machanie łopatą w spółce gminnej albo klawisz w więzieniu to nie były zajęcia dla niego.

Długo się nie zastanawiał, ale plan wyjazdu z Polski trzymał w tajemnicy. Nie bardzo martwił się tym, że poza rosyjskim nie zna żadnego języka – przecież do wojaczki nie jest to potrzebne.

Na jesieni 1990 roku postanowił ów szalony plan zrealizować. Był jednak mały problem. Wówczas, żeby wyjechać z Polski do Francji, trzeba było mieć wizę. Jej uzyskanie nie było takie proste.

Doda: Najpierw trzeba się było dostać do ambasady francuskiej. Wtedy to był prawdziwy Sajgon. Akcja zaczęła się od zapisów. Dostałem numer 833, a Francuzi wydawali od pięćdziesięciu do stu wiz dziennie. Trzeba było mieć konto dewizowe. Miałem 200 dolarów, więc je na świeżo otwarty rachunek wpłaciłem i jazda do Warszawy. Jakoś zakombinowałem i wcisnąłem się bez kolejki. Może dlatego, że wysoki jestem, to jakoś łatwiej mi było. Nie wiem...

Uśmiechnięta przystojna urzędniczka o nic nie pytała. Nic też nie mówiła zadowolonemu z siebie Ryszardowi, który wierzył, że jego plan musi się udać, skoro już dojechał z Braniewa do Warszawy. Urzędniczka dała mu kartkę i wytłumaczyła, że musi wejść do ambasady wejściem służbowym. Chwilę potem

Doda zasiadł w niewielkim pokoju. Miał na kogoś czekać. Kilka minut później wszedł wysoki brunet. Przywitał się i świdrująco patrząc Ryszardowi w oczy, zapytał:

– Czemu akurat do Legii?

– Mam dosyć życia w Polsce. Nie chcę widzieć tej biedy. Na dobrą robotę nie mam szans, a służba w Legii coś takiego oferuje. Poza tym chcę przeżyć przygodę – hardo odpowiedział.

– To nie będzie takie proste, bo ambasada ma zakaz rekrutacji do Legii na terenie obcego państwa. No, ale mogę pomóc z wizą i powiem, co trzeba zrobić...

Doda miał szczęście. Attaché wojskowy czuł, że Ryszard nie ściemnia i rzeczywiście chce wstąpić do Légion Étrangère. Pobrał opłatę wizową i kazał młodemu Polakowi czekać. Formalności załatwił błyskawicznie. Dwie godziny później przyszedł z wizą. Doda, patrząc w paszport, nie wierzył własnym oczom – tak wygląda bilet do rajy. Dumny popędził na Dworzec Centralny, bo jeszcze tego samego dnia miał pociąg do Elbląga. Potem już tylko kilkadziesiąt kilometrów do Braniewa. Uśmiechał się szeroko, gdy wpadł do mieszkania.

– Mama, mam wizę! – krzyknął w drzwiach. – Teraz wreszcie będę mógł pojechać na to winobranie. Zarobię kasę i wrócę do Polski, jak gość...

Jesień 1990 roku to pierwsze zachłyśnięcie się wolnością po upadku komuny. Upadek muru berlińskiego powoli otwierał granice. Pojawiły się też słynne trzydniowe wycieczki do Francji – słynne z jednego powodu: autobusy wyjeżdżały pełne, a wracały puste. Ryszard miał taki sam plan jak reszta uciekających znad Wisły Polaków: wsiąść do busa i zostać nad Sekwaną. W księgarni kupił kieszonkową mapę Francji i podręczne rozmówki. Choć języka ni w ząb nie chwycił. Jedyne, co potrafił powiedzieć, to „mersi” i „silwuple” ale miał nadzieję, że jakoś sobie poradzi. Kiedy się pakował, wpadł w przerażenie: jak ja, chłopak z Braniewa, znajdę w wielkim Paryżu punkt werbunkowy? Metropolia ogromna. To jakieś wariactwo.

Zbyt wiele do torby nie wrzucił. Ot, koszula, slipy, skarpetki, wytarta jesionka i szczoteczka do zębów. Więcej i tak by nie dał rady zabrać. Na drogę wziął dwieście dolarów. Myślał, że ma kupę kasy, bo po przeliczeniu dało to półtora tysiąca franków. W Polsce za taką gotówkę mógłby nieźle pożyć przez co najmniej dwa miesiące. Bilet oczywiście miał tylko w jedną stronę, bo wracać przecież nie zamierzał. W autobusie prawie natychmiast zasnął, choć niemiłosiernie śmierdziało potem i starymi skarpetami. Jadący na saksy rodacy pościągali jak jeden mąż buty i charakterystyczny fetor wszystkich spowijał jak

ciepła kołdra. Z takim smrodem kojarzy się emigracja. Jednak nikt tego nie czuł, bo wszystkim w głowie buzowały marzenia o nowym życiu na obczyźnie. Dwadzieścia cztery godziny na niewygodnym siedzeniu nie robiły na nich większego wrażenia.

Młody Doda wysiadł na pierwszym przystanku po przekroczeniu granicy niemiecko-francuskiej. To Metz. Autobus z Polakami zatrzymał się przy dworcu kolejowym i kilku wymiętych podróżników wypadło z niego, jakby ktoś wysypywał mrówki z puszek po coli. Ryszard był potwornie zmęczony. Myślał tylko o prysznicu i wygodnym łóżku. Kasy zbyt wiele nie miał, ale przecież nie chciał spać na dworcu jak jakiś kloszard. Szybko zauważył błyskający neon hotelu. Zadowolony wszedł do środka i próbował coś sklecić po francusku. Na szczęście recepcjonistka była zaprawiona w bojach z obcokrajowcami. Wiedziała, że wysokiemu blondynowi chodzi o pokój na jedną noc. Na kartce zapisała mu kwotę – dwieście franków. Dodzie zrzędła mina. Już wiedział, że za tysiąc pięćset franków to daleko w tej Francji nie zajędzie. Był jednak szczęśliwy. Miał dach nad głową na tę noc. Następnego dnia jakoś się wypyta o punkt werbunkowy i Legia już mu pomoże.

W pokoju zbyt długo nie rozmyślał. Prawie od razu zasnął. Rano obudził go telefon. Podniósł słuchawkę, ale nie rozumiał, o co chodzi. Recepcjonistka coś szczebiotała po francusku, a on ni w ząb nie pojmował. Nie wiedział, że dziewczyna pyta, czy do śniadania chce kawę czy czekoladę. Źle się czuł w obcym kraju bez języka. Później nastąpiło kolejne upokorzenie. Chciał skorzystać z telefonu, żeby zadzwonić do punktu werbunkowego, ale okazało się, że telefony są na karty, jakich w Polsce jeszcze nie znaliśmy. Przez kilkanaście minut usiłował wepchnąć banknot do aparatu, aż w końcu się poddał. Uznał, że da sobie spokój z dzwonieniem. Modlił się, by jak najszybciej dostać się do Legii. Na poprawę humoru kupił hot doga i wrócił do hotelu. Wpadł na pomysł, żeby wytłumaczyć recepcjonistce, że chce do Legii Cudzoziemskiej. Ponętna brunetka dziwnie na niego popatrzyła, gdy zaczął demonstrować strzelanie z karabinu.

– Polski? Rosyjski? Legia Cudzoziemska. Ja chcę wstąpić. Zrozum, dziewczyno. – Ryszard zamasyście próbował zobrazować charakterystyczne kepi blanc.

Język migowy zmieszany z polszczyzną i rosyjskim niewiele dawał. W rozmówkach, które zabrał ze sobą z Polski, nie było dwóch magicznych słów – Légion Étrangère, które pewnie po kilku minutach komicznej konwersacji pomogłyby recepcjonistce zrozumieć, o co chodzi młodemu Polakowi. Walka z językiem trwała blisko pół godziny. Dodzie skończyły się już pomysły. W końcu

dziewczynie zapaliła się lampka. Już wiedziała.

– *Légion Étrangère!* – wykrzyknęła.

Na co Ryszard potulnie pokiwał głową. Dziewczyna kazała mu wracać do pokoju. Ona już wszystko miała załatwić. Tak przynajmniej Doda odczytał śpiewne słowa młodej Francuzki. Grzecznie poszedł do siebie i czekał. Godzinę później usłyszał pukanie do drzwi. To dwóch wielkich kaprali w białych czapkach. Mundury były na nich tak opięte, jakby guziki za chwilę miały trzasnąć.

– *Ja chociu w Légion Étrangère* – wydukał po rosyjsku Ryszard.

– *No problem* – odpowiedział jeden z olbrzymów i złapał torbę przyjezdnego.

Dryblasi nie byli wylewni. Zresztą w jakim języku mieliby z nim gadać? Pokazali, żeby się zbierał i ruszał z nimi. Razem pojechali do punktu werbunkowego. Tam już czekało kilku legionistów. Eskapada Ryszarda zakończyła się w Metz. Do Paryża już nie dojechał. Pewnie na jego szczęście, bo wielka metropolia ma i połyka znieńca, jak granik swoje ofiary. Doda nie miał szansy zachłysnąć się Miastem Świąteł.

W biurze, które mieściło się przy jednostce wojskowej, legionieści wysypali na stół zawartość jego torby. Przeszukali młodego ochotnika. Przed wyjazdem matka do bocznej kieszonki torby wcisnęła mu aspirynę na przeziębienie. To obudziło podejrzliwość kaprali.

– Co to jest? – spytali.

– To od mamy. Na nic nie jestem chory – tłumaczył się Ryszard.

Później już o nic nie pytali. Bez słowa zabrali jego rzeczy. Dali wojskowe dresy, ręcznik i adidasy. Dodzie aż się nie chciało wierzyć – dostał prawdziwe adidasy! Co prawda używane i lekko znoszone, ale prawdziwe, jakich w Polsce się nie uświadczyło. Już zaczęło mu się w Legii podobać.

Pokazali mu pokój, gdzie miał spać, i zaprowadzili na stołówkę. Tam przeżył kolejny szok, gdy kaprale otworzyli przed nim lodówkę. Czego tam nie było! Szynka, polędwice, salami, kilka rodzajów sera, owoce i warzywa. Po pustych półkach spożywczaków w Braniewie Ryszard nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

– Jedz, ile chcesz – powiedział jeden z legionistów i podał mu butelkę czerwonego wina.

Doda zasiadł w stołówce jak król. Tak też się czuł. Takiej wyżerki nie pamiętał. Jedzenie wyjątkowo mu smakowało, bo po niewielkim śniadaniu i hot dogu nic więcej nie jadł. Głowa mu tylko chodziła na wszystkie strony, bo chciał widzieć,

co robią inni amatorzy wrażeń w Legii. Wszystkiego był ciekawy, jak to chłopak z niewielkiego miasteczka na zadupiu w Polsce. Już teraz czuł, że Francja i jego rodzinne Braniewo to dwa różne światy. Choć z tego nowego niewiele jeszcze rozumiał i wszystko było dla niego obce, to już za nic nie chciał wracać do polskiej beznadziei. Zachód, mimo że na razie tylko w postaci pełnej lodówki i używanych ciuchów, kusił...

Po posiłku kaprale zaprosili go na krótki seans – to czterdziestopięciominutowy film poglądowy o wyczynach Légion Étrangère. Typowa propagandowa reklamówka, która miała jeszcze bardziej zachęcić rekruta do wstąpienia do międzynarodowego zakonu wojowników.

Tymczasem przyniesiono Dodzie pliki dokumentów. Miał je podpisać. Wszystko było po francusku. Ryszard nic nie rozumiał, ale był tak zmotywowany, że podpisałby wyrok śmierci na siebie.

Po filmie mógł iść spać. Swoich ciuchów już nie dostał. Skonfiskowano mu też paszport. Wino zrobiło swoje. Spał jak kłoda.

Doda: O dziewiątej rano mnie obudzili. Mili jak cholera. Czułem się jak w ośrodku opieki społecznej. Po prostu bajka. Po szkoleniach w batalionie szturmowym w Dziwnowie to była sielanka. Kaprale powiedzieli jedynie, że mam po sobie posprzątać. Kazali się przebrać i na dworzec.

Legia miała we Francji dwadzieścia pięć punktów werbunkowych. Zwykle były to niewielkie biura, w których służyło kilku legionistów. Tam odbywały się jedynie wstępne zapisy. Nikt nie wybrzydzał. Ale później wszyscy załapywali się na prawdziwą selekcję.

Doda był z siebie dumny. Czuł się jak gość. Już wiedział, że jest na upragnionej drodze do uzyskania kepi blanc. Chętnych legionistów zapakowali do pociągu i dalej jazda do Strasburga. Dwie godziny później Ryszard wysiadł na dworcu. Takich jak on było wielu – prawdziwy wysyp młodych byczków. Testosteron aż kipiał na stacji, kiedy z wagonów wyskakiwali młodzieńcy z pryszczami na twarzach. Kogo tam nie było! Niemcy, Anglicy, Polacy, Rumuni i Rosjanie – mozaika wschodniej i zachodniej Europy. Chłopacy w identycznych dresach i adidasach. Prawie wszyscy mieli niespełna dwadzieścia lat.

Inni pasażerowie od razu wiedzieli, że to przyszli żołnierze Legii Cudzoziemskiej. Kaprale zaprowadzili rekrutów do trzypiętrowego budynku ze spadzistym czerwonym dachem, który skrywał się za wysokim białym murem z wielkim napisem Légion Étrangère. To był lokalny punkt werbunkowy.

Doda: Potem wszystko odbywało się ekspresowo, jakby człowieka na jakąś taśmę wsadzili. Hurtem poleciliśmy do lekarza. Wizyta nie trwała długo. Jednak w Strasburgu dwa dni nas trzymali. Nie wiem czemu... Podobnie jak inni, nie miałem żadnych polskich dokumentów. Jedyne, co mi wydali, to plik różnych papierków, z których nic nie rozumiałem. Nic nie robiliśmy, bo i nie było nic do roboty.

Legia naszą ojczyznę

Ale labia nie trwała długo. Po dwóch dniach rośli kaprale poderwali rekrutów na równe nogi. Był wieczór. Wszystkich zebrali i zagonili na dworzec. Świeże mięso armatnie zajęło cały wagon. Przyszli legionieści udali się w podróż do Marsylii. To ponad 800 kilometrów. Pociąg całą noc turkotał po torach na południe Francji. Rankiem wjechał na marsylski dworzec główny. Stamtąd już jedynie pół godziny zwykłą kolejką do Aubagne. To niewielkie miasteczko stało się główną kwaterą Légion Étrangère od czasu, gdy Algierczycy wyrzucili Francuzów ze swojego kraju.

W 1962 roku Algieria odzyskała niepodległość. Znienawidzona francuska formacja słynąca z brutalnych przesłuchań musiała opuścić ten kraj. Algierczycy nie chcieli żadnych pamiątek po oprawcach w białych kepi. Zlikwidowali koszary w Sidi B-ul-Abbas. Z tamtejszego cmentarza Francuzi ekshumowali szczątki generała Paula-Frédérica Rolleta, zwanego „Ojcem Legii” który zasłynął z pacyfikacji Maroka. Pochowano go w Prowansji. Gdyby tego nie zrobili, Algierczycy zbezczęściliby grób znienawidzonego oficera. Podobny los czekałby też Pomnik Poległych Legionistów z dziedzina koszar, który postawiono na stulecie Legii. Monument z czterema żołnierzami otaczającymi glob został zdemontowany i również przewieziony do Aubagne.

Vienot, bo tak nazywa się kwatera główna Légion Étrangère, przywitała ich surowością. Nazwa upamiętnia dowódcę 1. pułku, który poległ w czasie wojny krymskiej w 1855 roku.

Rekruci musieli przejść przez żelazną bramę, za którą rozciągał się ogromny kompleks biur, strażnic i magazynów. Na środku dominował plac defiladowy o rozmiarach boiska piłkarskiego. To na nim postawiono pomnik z Sidi B-ul-Abbas. Wyraźnie nad nim górował i miał przypominać żołnierzom o twardych zasadach. Kula ziemiska z brązu oznacza, że mogą trafić w każde miejsce globu.

Monumentalni wojacy mają broń z różnych epok i wskazują na sto osiemdziesiąt lat historii Légion Étrangère.

Ryszard, nie znając języka, czuł się nieco zagubiony w tym gąszczu języków i kultur, który kwitł w punkcie CSI (centre de sélection et d'incorporation) w Aubagne. W uszach dźwięczały mu słowa, ale żadnego nie rozumiał. W oddali dostrzegł jeszcze mur muzeum Legii, a na nim ciemny napis z brązu – „Legio patria nostra”. Nie wiedział, że oznacza on „Legia naszą ojczyzną”.

Punkt CSI to kompania, gdzie zjeżdżali się wszyscy, którzy chcieli dostać się do Legii. Nie było bata, należało przejść przez sito selekcji. Budynek wyglądał niepozornie. Był mały i aż dziw brał, że miał przemielić taki tłum. Sala mieściła trzydzieści osób.

Doda czuł się wyróżniony, bo na jedno miejsce w Légion Étrangère przypadało ośmiu chętnych. Kaprale rzucili im worki. Każdy dostał białe skarpety, buty, dresy, wszystko nowe.

Na terenie CSI nowi byli odizolowani. Nikt nie miał prawa tam wchodzić. Towarzystwo leżało na ziemi. Dzień urozmaicała przerwa na obiad, a gdy się kończyła, rekruci musieli pozbierać śmieci. Sporo było tego sprzątanego, bo palili papierosy, a pety rzucali wprost na ziemię.

Doda: Tam leżało z dwustu chłopów, którzy oczekiwali na przyjęcie do Legii. Wszystko miało chodzić jak w zegarku. Po południu zbiórka. Stoimy całą bandą na baczność. Na ludzi pada blady strach, bo wyczytują tych, co nie zostali przyjęci. Później zaczynają czytać, kto zostaje. Dzielą na grupy. Na pierwszym etapie mógł odrzucić lekarz. Parę języków znał. To pierwsza weryfikacja. Tam działał też kontrwywiad Legii, tak zwane gestapo. Nie wiem, czemu tak się nazywało. Po prostu gestapo. Tak wszyscy mówili. Zadawali szczegółowe pytania, żeby rozpoznać delikwenta. Mnie przesłuchiwał Polak. Pytali, kto się bije. Sprawdzali, czy nie jesteś poszukiwany. Lepiej nie kłamać, bo i tak wyjdzie w praniu. Homoseksualistów od razu wyrzucali.

Selekcja przebiegała szybko. Tygodniowo potrafili nawet trzysta osób sprawdzić. Nazwisko zwykle zostawało prawdziwe, chyba że kandydat chciał zmienić. Jak było trzeba, to Legia tworzyła życiorys: nowi rodzice, znajomi, szkoły. To jednak wyjątkowe przypadki.

Żonaty według protokołu nie przyjmowano, ale jeśli taki się zdarzył, to musowo zmieniano nazwisko, żeby potem małżonka nie ściagała delikwenta. Taka zasada. Jeśli przez sito oficerów kontrwywiadu starał się przejść drobny

przestępca, to przymykano oko. Drobny, czyli złodziej lub taki, co komuś w cywilu wlał. Poważniejszych bandytów kadra wywiadowcza od razu starała się eliminować. To niepotrzebne problemy w przyszłości. Nie dość, że delikwenta ścigała policja danego kraju, to jeszcze taki mógł zechcieć zaprowadzać w Legii swoje porządki, a na to nie było przyzwolenia. Podobnie dyskwalifikowało podejrzenie o handel narkotykami. Dla takich nie było miejsca w Légion Étrangère.

Drobny przestępca mógł liczyć na bonus po przyznaniu nowej tożsamości.

Doda: Jeśli na gestapo powiedziałeś prawdę o jakimś zakręcie życiowym, a gliny cię namierzyły, to można było liczyć na milczenie. Legia mówiła, że takiego u nas nie ma. Ale to dotyczyło jedynie drobnych przestępców i tych, co się przyznali. Podczas weryfikacji rekruci rozwiązywali proste psychotesty. Nic trudnego, bo czasem wystarczyło połączyć dwie figury. Do tego dochodziły testy sprawnościowe. Jak gestapo nie upierdoliło, to byłeś legionistą.

Ryszard pomyślnie przeszedł pierwsze sito. Znowu trafił do lekarza.

Doda: Człowiek dostawał całą serię zastrzyków. Nawet nie wiedział, co mu wstrzykują – od cholery zastrzyków i nie wiedziałeś, co ci podają. Później jeszcze szczegółowe badania. Rentgen. Zęby. Oczy. Komu okulary, to lekarz dawał okulary. Drobna wada wzroku nikogo nie dyskwalifikowała. Wojsko normalnie daje okulary. Stamtąd przed samym wyjazdem prowadzili cię do muzeum Legii. Wszyscy musieli tam wejść i zobaczyć kaplicę poległych. I tak niewiele z tego rozumieli, bo byli jeszcze otumanieni nowością. Wojskowym sznytem. Porządkiem.

Czuło się podniosłość chwili, choć przyszli legioniści byli ubrani w mundury połowę. Wszyscy stali w koło. Major miał dla każdego kontrakt. Doda usłyszał swoje nazwisko i otrzymał tak zwany *engagé volontaire*. Jeszcze nie był legionistą, ale już wiedział, że został wstępnie przyjęty. To był dla młodego mieszkańca Braniewa ważny moment. Czuł wzruszenie, bo choć nie mógł nosić kepi blanc, to już był ochotnikiem. To prawie jakby wstąpił do tajnego zakonu, który jeszcze kilka tygodni wcześniej wydawał się czymś kompletnie nierealnym.

Pierwszy kontrakt to cyrograf podpisany na pięć lat. Sześćdziesiąt miesięcy na zasadach, o których decydował kapral-szef i przełożeni. To tysiąc osiemset dwadzieścia sześć dni – szmat czasu. Ryszard wrócił myślami do podstawówki i zastanawiał się, jak uda mu się przetrwać pięć lat w szkolnej ławie. Jak wyjdzie z

Legii, będzie miał dwadzieścia osiem lat. Dorosły chłop, który powinien już mieć rodzinę i stadko maluchów, a tymczasem legionista nie mógł nawet mieć żony, nie wspominając o dzieciach. Choć trzeba przyznać, że Ryszard nie miał takich marzeń. Na razie liczyli się kumple, impreza i, jeśli już, to dziewczyna na jedną noc. Ale na tym nie koniec ograniczeń. Przed wyjściem do cywila legionista nie mógł sobie pozwolić na żadną własność, więc z żołdu nie kupiłby mieszkania czy upragnionego samochodu. Jedyne, co Legia dawała, to możliwość stałego pobytu we Francji. Dodatkowej kasy jednak by nie było, bo na emeryturę zasługiwał dopiero żołnierz po piętnastu latach służby, a tyle wytrzymać w Légion Étrangère to już sztuka. Znikomy odsetek cudzoziemców decydował się na tak desperacki krok, chociaż Legia kusiała wyższym żołdem i awansami. Doda wówczas o tym nie myślał. Ważne było tu i teraz.

Witajcie na farmie!

Teraz czas na ostre szkolenie. Wstępnie przyjęci wsiedli do autobusów i jazda do Castelnaudary. To legendarny 4. pułk szkoleniowy. Potocznie zwany farmą. Tam mieściły się trzy kompanie. Masa młodych byczków. Przyszli komandosi, mechanicy, sanitariusze, czołgiści i artylerzyści. Każdy legionista musiał przejść szkolenie w Castelnaudary. Cała Legia podnosiła tam swoje kwalifikacje. Dla byłych mieszkańców demoludów ośrodek był prawdziwą namiastką Zachodu i XX wieku. Doda nie mógł uwierzyć, że testy na prawo jazdy zdaje się na komputerze, podczas gdy w Polsce kreśliło się krzyżyki na kilku kartkach.

Jego kompania liczyła około dwustu ludzi. Na początku Francuzi byli mili. Wszystkich witali i przedstawili dowódcę plutonu, z którym rozpoczynali 16-tygodniowe szkolenie. Odkryło się też pierwsze formowanie – każdy pluton miał liczyć trzydzieści osób. W plutonie Ryszarda było czterech Polaków, w tym nawet jakiś Wałęsa, ale nie z rodziny legendarnego przywódcy „Solidarności”.

Doda: Na farmie człowiekowi otwierały się oczy. Zaczynały się krzyki i popychanie. Zaczynało się rozdzielanie, kto mówi po francusku, a kto nie mówi, i był tak zwany przydział.

– Kazali wam się uczyć francuskiego? – pytam.

Doda: Była zbiórka. Frankofoni wystąp. Następował przydział do dziesięcioosobowych sal. Każdy miał taką wojskową szafkę. Niedużą, zwykłą. Każdy dostał też swojego towarzysza, który miał go uczyć po francusku. Nikt nie mówił po polsku. Nikt nie mówił po rosyjsku. Wszyscy szwargotali po

francusku.

W salce, która stała się jego nowym domem, Ryszard otrzymał pierwsze zadanie – układanie rzeczy w szafce. Wszystko pod linijkę. Jak pierwszoklasista w szkole, wysuwając język, starał się jak mógł najlepiej. Wolno składał swoje rzeczy. Wyglądały idealnie. Nagle gwizdek. Wpadali kaprale. Na nic nie patrzyli. Buciorami rozpieprzali tę godzinną układankę w drobny mak. Po pokoju tylko fruwały rzeczy i metalowe szafki. Na koniec jeszcze skotłowali górę ciuchów, tak by rekruci mieli problem z odnalezieniem swoich przedmiotów. Nie było rady. Znowu układałeś.

Potem zaczynał się kolejny cyrk – prasowanie mundurów polowych i galowych. Prasowanie mankietów. Musiało być idealnie. Nie mogło być opóźnień, choć piętnastu chłopaka skakało sobie do gardeł, a żelazka były tylko dwa. Nie było czasu na wytchnienie – w ramach przerwy kaprale zarządzali sport – bieganie, pompki, bieganie. Potem coraz dłuższe bieganie i coraz więcej pompek. Na zmianę. Żeby nikomu się nie znudziło. Niektórzy nie wytrzymywali. Upadali. Nie było zmiłuj. Kop w dupę i biegnij dalej. Na filozofowanie podczas truchtu też był sposób – śpiew. Każdy dostał śpiewnik w ramach wyposażenia. Był jak biblia. Siedem zwrotek trzeba było znać na pamięć. Jak czegoś nie rozumiałeś, to lali Francuza, który był z tobą. Jak się kapral wkurwił, to konkretnie walił w twarz. Tak, że jucha leciała. Zależy, na kogo trafiłeś. Jeśli kapral miał gorszy dzień albo kaca po wczorajszej imprezie – twój pech.

Co dwa tygodnie przyjeżdżała kolejna grupa. I dla nich wszystko zaczynało się *a piał'* od nowa – formowanie plutonu.

Ty byłeś już w innym miejscu – przydział broni. Legia strzelała z famasów. To trochę kosmicznie wyglądający karabin szturmowy. Na pierwszy rzut oka przypominał broń z *Facetów w czerni*. Wygląd może kosmiczny, ale technologia gówniana. Famas to francuskie dzieło. Charakteryzowało się jedną sprężyną, która stale wylatywała. Nie to było jednak najważniejsze. Najważniejszy był numer, bo każdy famas miał swój numer. Legionista te cyferki musiał znać na pamięć. Numer był święty i miał sześć cyfr. Procedura była prosta – należało podejść do okienka w magazynie i wykrzyknąć swój numer. Niby nic trudnego, ale burdel był przy tym straszny. Co chwilę ktoś się mylił, bo ludzie nie znali francuskiego. Krzyk. Panika.

Doda: Ten, kto podał zły numer, jak wziął nie swoją broń, to od razu w łeb dostawał. Prosto w dziób famasem, którego pomylił. Nie daj Boże padło na

Francuza. To nie były jakieś lekkie kuksańce. Po prostu z całej pydy kapral ładował w ryj, tak żeby rekrut już nigdy więcej nie pomylił swojego numeru. Jak ktoś miał pecha, to i nos mógł trzasnąć podczas akcji z famasami w magazynie.

Żołd jak kilka pensji robotnika

Dla chłopaka z PRL-u raz w miesiącu przychodziła upragniona chwila – wypłata żołdu. Ten był wypłacany z góry. Przed odsłużeniem miesiąca. Na unitarce to było 1230 franków miesięcznie. Kwota niewysoka, ale dla młokosa mającego świeże wspomnienia z życia w Braniewie wręcz niewyobrażalna – jakieś 160 dolarów. W tym czasie robotnik w Polsce mógł zarobić około 30 dolarów miesięcznie. Oczywiście błyszczały, gdy patrzył na pomięte francuskie banknoty. Przecież nie musiał na nic wydawać. Jedzenie i dach nad głową miał zapewnione. Po cichu liczył, że w Legii się dorobi. Podobnie kalkulowali inni rekruci. Legia jednak nie pozwalała zarobić czy odłożyć. Rekrut miał walczyć, a nie zarabiać. Każdy musiał o tym wiedzieć już na unitarce, gdzie wypłata żołdu stanowiła prawdziwy rytuał, ale pięknie jedynie wyglądała. Ton ceremonii nadawali kaprale, którzy cały pluton prowadzili do oficera płatnika.

Doda: Oficer pytał o nazwisko. Zdejmowałeś czapkę. Na początku beret, później kepi. Oficer wrzucał gotówkę do czapki. Zadanie polegało na tym, żeby jednym ruchem beret na głowę nasadzić. Jak źle na głowie posadziłeś i pieniądze spadły, to już nie mogłeś ich podnieść. Zazwyczaj drobne wypadały. Obok już stał facet ze zmiotką i te drobne zamiatał. Nie było rady. Drobniaki szły na utrzymanie muzeum Legii. Potem szczytny zapis podawano, że dany pluton tyle wpłacił. – Uśmiecha się.

W rzeczywistości nowi nie dostawali żadnej gotówki. Gdy rekruci szli korytarzem, na końcu już czekał na nich dowódca plutonu i zabierał całą gotówkę z beretu do wspólnej kasy.

Doda: Później szedłeś z kasą korytarzem, a tam stał już dowódca plutonu i zabierał pieniądze. Gotówkę odkładali na książeczkę oszczędnościowej. Podczas unitarki żołd nie wzrastał, ale na koniec była nagroda – premia 5 tysięcy franków za to, że się zaciągnąłeś do Legii. To blisko 500 dolarów. Na polskie warunki wręcz zawrotna kwota wypłacana jednorazowo.

Dobry legionista to głodny legionista

Prawdziwe szkolenie, z którego słynęło Castelnaudary, zaczynało się na farmie. Farma dlatego, że przypominała zwykłe gospodarstwo rolne. Pluton miał miesiąc na wstępne szkolenie. Zajęcia zaczynały się o siódmej rano i trwały do północy. Sport, nauka francuskiego, ćwiczenia z bronią. Marsze i biegi. Tam zaczynał się cyrk. Pluton nie miał kucharzy. Legioniści sami sobie gotowali. Do kucharzenia rzucali się Francuzi. Ryszard ich nie cierpiał. Nie tylko dlatego, że nie podchodziła mu lekka francuska kuchnia. Zarządzanie żarciem to był wielki przywilej.

Doda: Te kurwy na stołówce w kółko podjadały. Dostawaliśmy żarcie, które im zostawało. Zwykle na obiady było dużo lepsze jedzenie niż w Polsce. Przeważnie groszek, szpinak i szparagi. Zielsko można zjeść, ale nie codziennie. Tam pierwszy raz zobaczyłem purée. Mięsa na oczy nie widziałem, bo te chuje cały czas podjadały. I jaki skutek? Przychodzi piątek, a lodówki, kurwa, puste. Nie ma co żreć. Jedzenia cały czas było mało – wścieka się.

Na farmie głód stale towarzyszył legionistom. To też część szkolenia. Być może trochę na siłę narzucona przez złodziejskich kucharzy, ale skutecznie uczyła walki przy skrajnym wyczerpaniu, zwłaszcza że codziennie trzeba było wytrzymać w dobrej formie od dwunastu do szesnastu godzin zajęć. Przez pierwsze tygodnie głód nie odpuszczał. Taki wielki chłop jak Doda cały dzień chodził głodny. Jakby tego było mało, był grudzień, niby południe Francji, ale ciągle padało i wiało. Zima. Rekruci byli przemarznięci i przemoczeni. Pluton mieszkał w ruderze, gdzie dziury były takie, że włosy dęba stawały, a wiatr hulał po brudnej norze. W środku stał jedynie niewielki piecyk gazowy, którego równie dobrze mogłoby nie być.

Doda: Jakby tego nie było dość, większość ćwiczeń odbywała się na powietrzu. Przegonili cię w tę i z powrotem. Mundur można było wyzymać od potu, ale kogo to obchodziło. Nawet nie było gdzie go wysuszyć. Latałeś jak chuj od lewa do prawa, z wywieszonym jęzorem i o suchym pysku. Kurwa, istne szaleństwo. Kąpiel – to samo. Bojler pięćdziesiąt litrów i pięćdziesięciu chłopów. Zimna woda po chwili. Nie było zmiłuj.

Ryszard miał dość, ale zagryzał zęby i próbował przetrwać. Po morderczych

treningach podobnie jak inni rekruci był ciągle przeziębiony. Dieta też dawała się we znaki. Organizm domagał się witamin, a tych nie dostawał, bo cały czas się nie dojadało. Skóra na palcach pękała i schodziła. Robiły się krwiaki. Do tego dochodziły rany po obtarciach i wywrotkach podczas treningów oraz permanentne zmęczenie i niewyspanie.

Doda: Zjadłeś jakieś gówno i znowu byłeś głodny, a nie było skąd wziąć następnego dania. Nie miałeś pieniędzy, żeby coś kupić. Dochodziło do paranoi, szczególnie wśród Rumunów. Ci, co gotowali, jedli tyle, co potrzeba, a resztki dla zwierząt. Legia ma zwyczaj, że zwierzęta hoduje. W Afryce kozy, krowy, a na farmie – psy. U nas było ich kilka. Kucharze po posiłku brali miche i dawali psom.

Były przypadki, że psy do budy spierdalały, jak legionieści te michy szturmowali. Jak na filmie to wyglądało. Czterech wygłodzonych byczków atakuje budę dla psa, tacy głodni byli. Pies do budy spierdalał, bo mu legionieści miche zabierali.

Wieczny głód był. Nie dojadało się. Ci na kuchni cały czas mieli dostęp do jedzenia, ale reszta nie. Szpinaku nie jadłem, a bagietka francuska rano jest dobra, a po siedmiu dniach, jak przywalisz, to jak bejsbolem. Wiedzieliśmy, że kadra ma swoją lodówkę, ale jakby coś zginęło, toby zajebali... Kradzież w Legii była karana jak dezercja.

Podczas unitarki Ryszarda na samowolkę zdecydowało się dwóch rekrutów – Rosjanin i Włoch. Obie ucieczki nie trwały długo. Dezerterzy mieli jeden podstawowy problem – wojskowe ciuchy. Dlatego ich wyłapanie nie stanowiło kłopotu. Akcja była błyskawiczna. Żandarmeria w ciągu kilkunastu minut stawała na nogi i ruszała na polowanie. Jeśli uciekinierzy w ciągu pierwszych kilku godzin nie ukradli cywilnych ciuchów, ich los był przesądzony. Tak też było w przypadku Rosjanina i Włocha. Po złapaniu nie było taryfy ulgowej.

Doda: Jak złapali, to najpierw wpierdol, i to taki, że się w pale nie mieści. Zazwyczaj potem delikwent trafiał na izbę przyjęć, bo nie mógł chodzić o własnych siłach. Tam było szycie i łatanie. Jak po złapaniu złamali mu rękę, to lekarz zakładał gips. Jak już desperat był w stanie wstać z łóżka i można się było z nim dogadać, to na trzydzieści dni trafiał do aresztu. Nie było wyjścia do cywila, choć słyszałem, że później to się zmieniło, ale gdy ja służyłem – zapomnij. Podpisałeś kontrakt na pięć lat, to pięć lat gibałeś. Nie było zmiłuj...

Kapral ma gest i zaprasza na imprezę

Na farmie nie dokuczała monotonia. A nawet jak się wydawało, że jest nudno, to kadra potrafiła zorganizować niespodziewaną rozrywkę. Którejś nocy pijany kapral Jean obudził cały pluton. Maszerował przez plac z flaszką whisky i wydzierał się jak szalony:

– Wszyscy wstawać! Alarm!

Młodzi za bardzo nie wiedzieli, o co chodzi, jednak coś im świtało, że to wcale nie jest zwyczajny alarm. Kapralowi coś musiało odpierdolić w środku nocy.

– Idziemy na imprezę! Wszyscy muszą iść. Nikt nie zostaje na farmie – wrzeszczał.

Rekruci już się domyślali. Po plutonie krążyła plotka - kapral przez kilka lat marzył o oficerskich szlifach. Jeszcze przed kilkoma godzinami był święcie przekonany, że pójdzie na kurs podoficerski, a tu klops. Ktoś z dowództwa postawił szlaban i nici z kariery zawodowego oficera. Frustracja i alkohol zrobiły swoje. Kapral postanowił zaszaleć. Dobrze, że nie złapał za karabin, a jedynie chciał z młodymi się zabawić.

Jean dobrze znał drogę, bo już długo szkolił na farmie. Wiedział, gdzie o tej porze można się rozerwać. Pięć kilometrów od farmy był zameczek, w sezonie pełen turystów, ale teraz, w końcówce jesieni, stał pusty. Co więcej, nikt go nie pilnował, bo nie było takiej potrzeby. Leżał trochę na uboczu, w miarę niedaleko od siedziby Legii, więc właściciel nie bał się włamania. Kapral o tym wiedział, bo znał tego bogatego Francuza. Wygonił trzydziestu chłopów na nocny marsz do zamku. Młodzi nie myśleli. Jak kapral kazał, to szli. W niespełną godzinę dotarli na miejsce. Wyłamanie drzwi zajęło kilka minut. Potem zaczęło się plądrowanie. Oczywiście największym wzięciem cieszyły się barek i kuchnia. Legioniści znaleźli też piwniczkę z najdroższymi winami. Wódka, whisky, wino oraz piwo, zagryzane szynkami i serami. Każdy pił i jadł, co chciał. Po głodówce na farmie czuli się, jakby uciekli na jedną noc z obozu koncentracyjnego.

Doda: Prawdziwe szaleństwo. Do rana imprezowaliśmy. Demolka jak chuj. Drzwi powyłamywane. Pokoje zdemolowane. Jakby tornado wpadło. Co więcej, w recepcji był telefon. Nie można było z tego nie skorzystać! Każdy do swojego kraju dzwonił. Nikt nie myślał, że mogą nas nakryć. Prawdziwe szaleństwo.

Nad ranem, kiedy młodzi mieli już mocno w czubie, kapral zakrzyknął, że muszą wracać, tak żeby szefostwo nie zauważyło samowolki. Był listopad, więc słońce późno wstawało. Około piątej wrócili do koszar. Jakby nic się nie stało, położyli się do łóżek i czekali na poranny apel. Na śniadaniu dowódca plutonu dziwił się, że jego chłopaki nic nie jedzą. Ale nic nie mówił. Nie bardzo wiedział, o co chodzi. No ale różne historie bywają...

Młodzi nie mogli patrzeć na gówniane koszarowe żarcie. Jak z hotelu wychodzili, to każdy złapał kawałek szynki czy sera i schował za pazuchę. Ukradli najdroższe specjały. W ten sposób chcieli się odkuć za tygodnie głodówki. Jeszcze rano zdążyli podjeść. Kto po takiej wyzerce będzie patrzył na gówniane żarcie legionisty? Niektórym zbierało się też na wymioty po nocnym pijaństwie.

Po śniadaniu chwila przerwy i na zajęcia. O dziewiątej na teren farmy wpadła pierwsza suka. Wybiegli z niej żandarmi – police militaire z charakterystycznymi pagonami PM Legii Cudzoziemskiej. Zaraz po odkryciu włamania do zamku wiadomo było, kto za tym stał – legionieści poodciskali na ścianach charakterystyczne bieżniki butów wojskowych. Pokoje były nimi ozdobione niby freskami. Pijani karatecy musieli zostawić swoje ślady. To prawie jakby się podpisali własnymi nazwiskami na ścianach hotelu. Stary wszystkich wyrzucił z pomieszczeń na plac. Zarządził rewizję pokoi. Moment i wszystko było jasne. U jednego znalazła się butelka markowego wina, drugi chował w szafce salami czy ser. Legionieści nie musieli w ogóle tłumaczyć police militaire, skąd mają takie luksusowe żarcie. Od razu się wydało, co się działo w nocy. Nikt nie próbował kłamać. Kaprala zaraz żandarmi zakuli w kajdanki i zabrali. Młodzikami zajęli się oficerowie Legii.

Kara była sroga. Oficerowie ustawili pechową trzydziestkę na placu. Wszyscy mieli się rozebrać do naga. Dwa dni stali w samych butach na baczność. Złożone w kosteczkę ubrania leżały przed nimi. Było cholernie zimno, ale oficerowie nie mieli litości. Młodzi musieli odpokutować za noc zabawy. Dwa dni nic nie jedli. Nie tak wyobrażali sobie przygodę w Légion Étrangère, ale reguły gry znali wcześniej. W tym czasie władze dogadały się z właścicielem hotelu. Nie zgłosił sprawy na policję, ale słono sobie policzył za straty. Legia miała zapłacić 150 tysięcy franków za demolkę malowniczego zameczku. Wtedy to była kupa kasy. Oczywiście wszyscy musieli płacić solidarnie, choć największą kwotą obciążono kaprala.

Doda: Skutek naszej imprezy był taki, że po kilku miesiącach poszedłem po wypłatę i dostałem osiemset franków. Kapral najwięcej musiał zapłacić, bo to

był jego pomysł i wyciągnął wojsko na samowolkę. No, ale kamraty jesteście, więc wszyscy musieli płacić.

Marsz po kepi blanc

Ganianie przyszłych legionistów trwało cztery tygodnie. Ukoronowaniem był marsz po kepi blanc. Plan był prosty - trzeba było przejść 57 km. Pluton wieczorem wychodził i wieczorem wracał. Spałeś, jeśli sierżant stwierdził, że jest postój i czas, żeby odpocząć. Oczywiście nikt nie patrzył na warunki pogodowe. Nie miała znaczenia temperatura. Czy padał śnieg lub deszcz. Po prawdzie: im gorzej, tym lepiej.

Spało się na ziemi. Legioniści nie nosili żadnych namiotów. Tylko te znienawidzone *tapi*. Śpiwór wojskowy, jak namókł, to ważył z pięćdziesiąt kilogramów. Nie było rady – trzeba nieść.

Tak miało być. Ryszard miewał chwile zwątpienia, ale podobnie jak inni maszerował. Jak ktoś nie dawał rady, to sierżant kopa przyfasował i tyle. Po przejściu blisko sześćdziesięciu kilometrów zmordowany pluton wrócił na farmę. Był wieczór. Przyszli legioniści ledwo stali na nogach. Nikogo nie trzeba było namawiać do odpoczynku. Wiedzieli, że następnego dnia jest ich święto – przysięga kepi blanc. To wielka uroczystość na farmie.

Rano Doda obudził się podekscytowany. Tak jak jego kumple, z którymi nadal nie potrafił się dogadać. Teraz jedynym, co porządnie potrafił wypowiedzieć po francusku, były słowa przysięgi. Znał też ze trzy piosenki, choć oczywiście nie wiedział, o czym śpiewa. Tyle że, jak inni, od biedy dawał radę z pamięci wydukać poszczególne zwrotki. Kaprale i tak nie zwracali uwagi na to, czy ktoś rozumie. Ważne, żeby pluton śpiewał. Jednak najważniejsza jest „Kepi blanc”.



Zdjęcie pamiątkowe po przysiędze w Legii Cudzoziemskiej

Po południu na przysięgę przyjechał dowódca. Stoły były już przygotowane. Wszystko wyglądało imponująco. Pełno żarcia. Legionistom błyszcząły oczy, gdy patrzyli na butelki piwa, whisky i piramidy jedzenia. Piękny widok po głodówce na farmie. Aż skręcało kiszki z głodu, gdy patrzyło się na prosiaczki, kabanosy, grube plastry sera, salami, szynki i kolorowych owoców.



Ryszard Doda (pierwszy od lewej) w czasie przysięgi. Na początku lat dziewięćdziesiątych do Legii Cudzoziemskiej zaciągało się wielu Polaków.

Uroczystość zaczęła się po zmroku. Płonące pochodnie tworzyły nastrój. Cienie stojących legionistów skakały po kamienistej ziemi farmy. Doda czuł się jak krzyżowiec, który wkrótce wyruszy do Ziemi Świętej. Za chwilę przekroczy dotychczas niedostępne drzwi do lepszego życia. Więcej, wstąpi do elitarnego zakonu.

Na środku placu stał już niewysoki Francuz, Renis. To dowódca plutonu. Wystąpił jeden legionista i zaczął recytować przysięgę. Wszyscy trzymali kepi blanc za daszki wzdłuż nogi. W ciemności rozświetlonej pochodniami słychać było męskie barytony. Łamaną francuszczyzną klepali wyuczone na pamięć słowa przysięgi. Gdy skończyli, dowódca plutonu powiedział: „Nałóżcie kepi blanc”. W jednej chwili czapki wylądowały na wygolonych czaszkach. Jeszcze przemówienie dowódcy, ale legioniści już byli myślami przy stołach z jedzeniem. Jednak na razie niczego nie mogli tknąć. Dowódca przeciągał sprawę. Najpierw muszą zasłużyć, żeby zjeść. Muszą zaśpiewać „Kepi blanc”. Potem dowódca się uśmiechnął: „No, może być. – Był w miarę zadowolony, choć trudno było wychwycić melodię płynącą z męskich gardeł. – Teraz możecie napić się piwa!”

Jak dzicz rzucili się do stołów. Wreszcie można było ucztować. Każdy chwycił butelkę i chciwie sączył złocisty napój. Potem dowódca kiwnął, że można jeść. To było jak sygnał do ataku.

Nas złamali, a potem na nowo złożyli

Po miesiącu ostrej zaprawy na unitarce rekruci wrócili do pułku. Teraz byli zupełnie inaczej traktowani. Już nie byli *engagés volontaires*, ale pełnoprawnymi legionistami po przysiędze. Pierwsze, co dało się odczuć, to poprawa jedzenia. Doda wreszcie mógł zjeść jak człowiek. O tym marzył przez ostatnie tygodnie, gdy nocami śnił mu się zwykły schabowy czy jajecznica na boczku ze szczypiorkiem. Teraz mógł się zajadać kurczakami i wołowiną. Co prawda przyrządzanymi na francuską modłę, ale to nic. Po gównianym żarciu i wiecznym głodzie na farmie człowiek wreszcie chciał normalnie zjeść. W pułku mieli też dużo lepsze warunki – legionistów przywitała nowa stołówka. Mieli dystrybutory z fantą i colą. Jedyne, czego im odmawiano, to wino i piwo do posiłków. Taki przywilej miała tylko kadra.

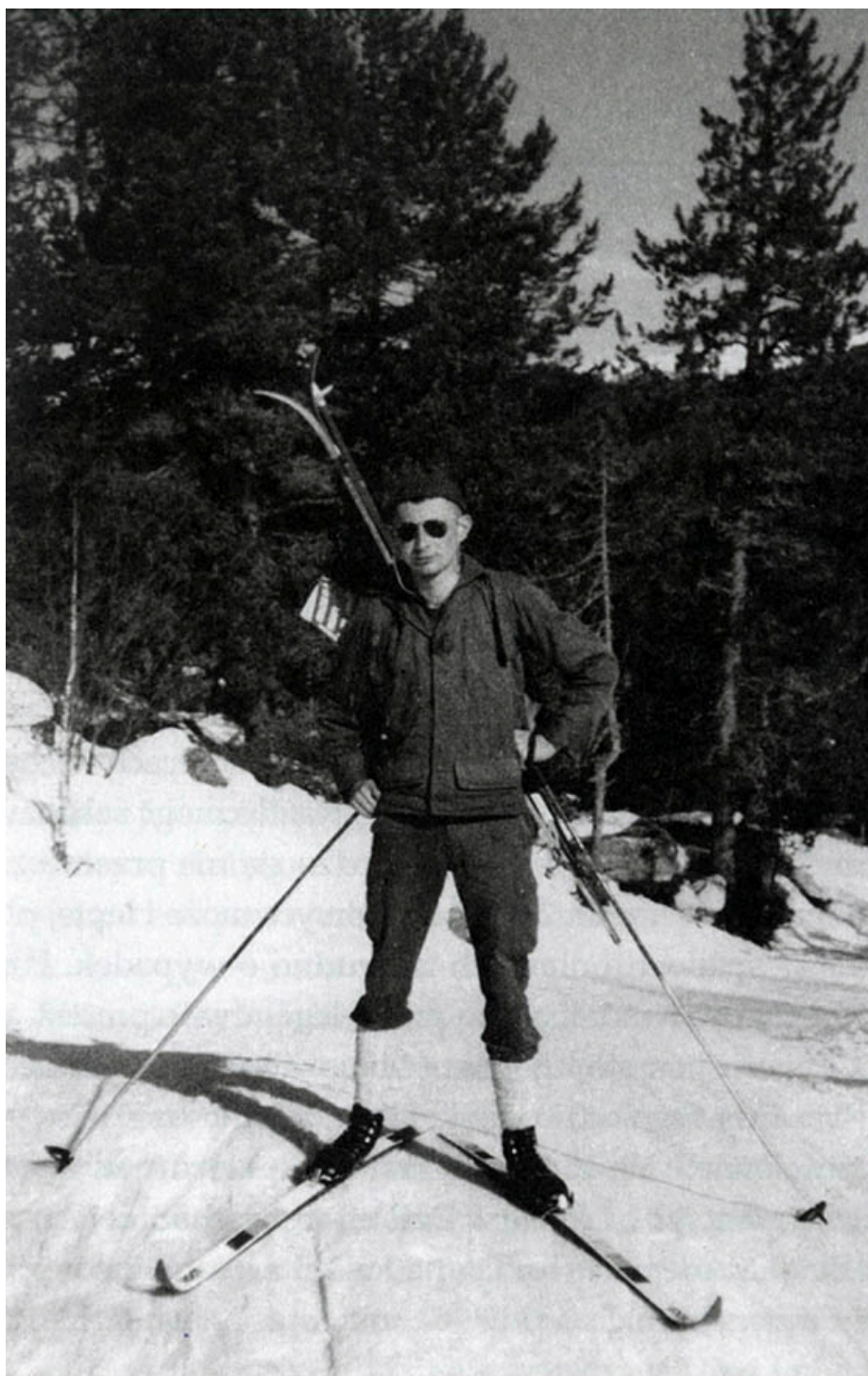
Po morderczych treningach biegowych i marszowych przyszedł czas na ostre strzelanie z broni przeciwpancernej, broni zespołowej i rakiet. Legioniści ćwiczyli rzucanie do celu granatem, podkładali i odpalali ładunki wybuchowe i codziennie strzelali. Było bardzo dużo strzelania, bo to żołnierz Légion Étrangère musi robić perfekcyjnie. Niezależnie od warunków. Francja rocznie wydaje kilka milionów euro na przeszkolenie jednego żołnierza w kepi blanc. Podczas tego etapu szkolenia było też wiele zajęć w terenie z ukrywania się, robienia zasadzek. Oczywiście cały czas kaprale szlifowali kondycję legionistów.

Tu wszyscy musieli ją mieć, jak komandosi z jednostek specjalnych w innych wojskach. Nieprzypadkowo 4. pułk cudzoziemski (4-ème régiment étranger) mieścił się w Castelnaudary. Teren sprzyja wyciskaniu potu z młodych wojaków. Wokół są zalesione pagórki. Niedaleko rozciągają się też Pireneje, więc tereny do zaprawy idealne.

Doda: To, co przeżyłem w Dziwnowie, było dużo gorsze. Armia w PRL-u miała może starszy sprzęt, ale służba w batalionie szturmowym, delikatnie rzecz ujmując, to nie była bajka. W Dziwnowie nas złamali, a potem na nowo złożyli. Legię traktowałem jak wakacje, ale dla takich, którzy zaczynali, to musiał być prawdziwy szok. Jeśli ktoś służył wcześniej w jednostkach LWP, to Legia nie była wielkim wstrząsem.

Unitarka kończyła się marszem na 157 kilometrów. Niby nic trudnego po wcześniejszych szkoleniach, ale czasem bywały problemy. Dystans oczywiście wyliczało się według mapy, ale jak pechowcy trafili na sierżanta, który kiepsko znał się na mapie, to pluton mógł przejść i 200 kilometrów. Na tym polegała ta zabawa. Clou programu stanowiło nocne forsowanie rzeki.

Po tej próbie sił młodzi mogli mówić o sobie, że są prawdziwymi legionistami. Teraz koty wróciły do Aubagne. Byli jak nowi ludzie. Wreszcie mogli odebrać cywilne ciuchy, ale dokumentów kadra oczywiście im nie oddała. Każdy musiał zameldować się u pułkownika. I następował kluczowy moment po unitarce – rozesłanie żołnierzy do pułków bojowych. Pierwszych dziesięciu miało prawo wyboru jednostki, ale najlepiej było widziane, gdy młody wybierał 2. REP na Korsyce. To elitarna jednostka komandosów. I jednocześnie najtrudniejsze warunki. Spadochroniarze są w ciągłej gotowości bojowej. 2. REP jest wysyłany na pierwszy ogień. W jednostce panuje taki rygor, że niewielu go wytrzymuje, i rzeczywiście to pułk dla największych twardzieli. Oficerowie wiedzieli, że słabszych wyeliminuje selekcja naturalna. Kto nie będzie miał sił i farta, sam zrezygnuje albo ulegnie wypadkowi, który w najlepszym razie skończy się odpoczynkiem w szpitalu.



Obóz szkoleniowy w Alpach. Rekruci musieli być wszechstronnie wyszkoleni.

Doda jeszcze nie wiedział, dokąd chce iść. W tłumie kamratów chciwie spoglądał na kartki na tablicach w kompaniach. Tam wszystko było jasne. Każdy mógł zobaczyć, jaki pułk ile płaci. Najlepiej za bardzo się nie przemęczać i nie ryzykować życia. 2. REP na Korsyce może i lepiej płacił, ale w spadochroniarzach nietrudno o wypadek. Poza tym starzy opowiadali o tym pułku legendy. To prestiż, ale ostry rygor i non stop gotowość bojowa. To nie było życie dla Ryszarda.

Swoje już odpękał w batalionie szturmowym w Dziwnowie i nie zamierzał trafić z deszczu pod rynnę. Po cichu marzył o kurorcie w Dżibuti we wschodniej Afryce nad Zatoką Adeńską. To dawna kolonia zwana kiedyś Somali Francuskim. Tam od 1967 roku stacjonowała 13. Półbrygada Legii Cudzoziemskiej.

Nie dość, że świetny klimat, to jeszcze gigantyczne pieniądze – tu po czterech miesiącach Ryszard otrzymywał dwa tysiące sto franków żołdu miesięcznie, a w Dżibuti miałyby całe siedem tysięcy franków, czyli osiemset dolarów. Na polskie warunki to były niewyobrażalne pieniądze. Oczywiście takich cwaniaków jak on było więcej. W jego plutonie wszyscy Polacy chcieli do Dżibuti. Każdy w myślach liczył kasę, którą mógłby zarobić w czasie kilkuletniego kontraktu. Co ważne, nad Zatoką Adeńską służba była spokojna, a nikt się nie palił, żeby narażać tyłek. Tyle że kadra też dobrze o tym wiedziała. Dżibuti to była nagroda, a nie urlop na początku służby. Na cwaniaków czekał 2. REP.

W tym czasie istniały też jednostki Legii w atolu Mururoa na poligonie nuklearnym, na Tahiti i w Gujanie Francuskiej. Doda wiedział jedno: za nic nie chciał wylądować w Polinezji, gdzie Legia chroniła poligon, na którym dokonywano prób atomowych. O broni nuklearnej wiedział sporo i nie miał zamiaru tego dotykać. Nie zamierzał też skończyć jako czołgista w 1. pułku kawalerii pancernej. Do orkiestry w Aubagne w ogóle się nie pchał, bo słuchem nie grzeszy, choć pewnie byłaby to w miarę spokojna służba.

Doda: Zdecydowali, żebym wrócił do Castelnaudary i robił karierę wojskową, tyle że na dzień dobry miałem zostać najgorszym wrednym chujem, czyli fut futem [kapralem awansowanym przyspieszonym trybem]. Nie masz nic do gadania. Normalnie, żeby zostać kapralem, trzeba było odbyć dwa lub dwa i pół roku służby. W tym przypadku wszystko szło innym trybem. Do plutonu kaprali poszedłem, mając dziesięć miesięcy służby. W rok i dwa miesiące miałem starszego kaprala, a kapral, który w 4. jest fut futem, ma prawo wyboru pułku – tłumaczy.

Na jego rękawie pojawił się specjalny stopień. Fut fut to funkcja szczególnie znienawidzona przez innych legionistów.

Doda: Każdy nowy wiedział, że jeszcze cztery miesiące wcześniej dostawałeś w pizdę, a teraz sam nowym dajesz. Do tego dochodziła słaba znajomość francuskiego, a komendy trzeba było wydawać po francusku. Ile w cztery miesiące zdołasz się nauczyć? Jednak nikt na to nie patrzył, jesteś fut futem i masz kotami kierować.

Trzydzieści dni ancla

Po niespełna półtora miesiąca szkolenia rekrutów w 4. RE w Castelnaudary Dode w kajdankach prowadzono do ancla. Długo nie porządził. Tego dnia jego pluton miał ćwiczenia na pagórkach pod Castelnaudary. Dowódcą grupy był chudy Anglik – Alan. Niepozornie wyglądał, ale forsował zabójcze tempo. Z zasady to sierżant nadawał tempo, a fut fut z tyłu popychał chłopaków. Alan gonił jak szalony i dziesięcioosobowa grupa się rwała. Młodzi nie wyrabiali i coraz bardziej było widać, że słabsi nie mają siły, żeby gnać w tym rytmie. Na końcu najbardziej odstawał drobny blondas. To dwudziestoletni Niemiec spod Brunszwiku. Ryszard popychał go famasem. Gdy młodziak już nie miał siły biec, łapał go za szelki i ciągnął, żeby nie spowalniał grupy. W końcu wyczerpany Niemiec upadł.

– Wstawaj, kurwo! Nie ma odpoczywania! – wrzasnął Doda.

Niemiec miał łzy w oczach.

– Nie będę tego gówna dźwigał! – krzyknął i rzucił swojego famasa w krzaki.

Tego już było za wiele. Święta zasada Legii mówi, że nie można rozstawać się z bronią. Broń jest równie ważna jak kamraci z plutonu. Ryszard znał na pamięć piąty punkt kodeksu legionisty: „Żołnierzu, szkolisz się z zaangażowaniem, czyścisz swoją broń, jakby to był twój największy skarb, stale troszczysz się o swoją kondycję fizyczną”. Broń jest świętością dla żołnierza, bo od niej zależy jego życie. Doda nie miał litości. Odezwało się w nim zwierzę. Wymierzył chłopakowi potężny cios w twarz. Kiedy blondynek był jeszcze zamroczony i nie bardzo wiedział, o co chodzi, kapral poprawił kolbę karabinu. Przywalił z całej siły wprost w usta. Zobaczył, jak wylatuje pół szczęki i leje się krew. Chłopak złapał się za twarz i szlochał. Krzyczał, że nigdzie się stąd nie ruszy. Ryszard dał mu jeszcze kilka kopniaków. W końcu wkurzony zawiesił mu broń na szyi i złapał za mundur. Zaciągnął Niemca do reszty grupy, która przebiegła kilkaset metrów i na dużej polanie czekała na marudera. Młody ledwo powłóczył nogami, ale jakoś dobił do reszty plutonu. Gdy Doda doprowadził zakrwawionego chłopaka, sierżant się roześmiał. Rżał jak koń, pokazując reszcie, co w Legii czeka za opóźnianie grupy.

– Bardzo dobrze zrobiłeś, bo ruszył dupę i dogonił resztę. My nikogo nie zostawiamy! Wszyscy wychodzimy i wszyscy wracamy. Podczas akcji takie zachowanie może oznaczać śmierć. Brawo, Doda! – pochwalił swojego fut futa.

Po zaprawie pluton wracał do jednostki. Na nieszczęście dla Ryszarda akurat przypałał się jakiś niemiecki kapral. Obserwował ekipę Alana. Widząc blondasa

z opuchniętą twarzą, nawet nie zapytał, co się stało. Od razu pobiegł na skargę do dowódcy.

Doda: Wezwali mnie na dywanik. Dowódca plutonu, taka typowa francuska pizda, wysoki jak brzoza, chudy jak gwóźdź. Okulary druciane. I tymi swoimi czarnymi ślepiami na mnie patrzy.

– Co ty zrobiłeś, to nie gestapo! – krzyczy.

Chudy Francuz poleciał do dowódcy kompanii. Dowódca był Niemcem. Takiego zachowania wobec rodaka nie będzie tolerował. Mógł Dodzie przyładować siedem dni, ale gdy zobaczył szczękę chłopaka, zdecydował, że sprawa trafi wyżej. Motyw prosty – brutalité légionnaire – katowanie legionisty. Ryszard zapamięta swój paragraf do końca życia: trzysta dwadzieścia cztery.

Dowódca, niewysoki Francuz, przyjął Dodę w swoim gabinecie. Siedział i patrzył na niego jak ojciec. Ryszard jeszcze próbował się tłumaczyć łamaną francuszczyzną. Przełożony przez chwilę cierpliwie słuchał, ale nagle przerwał mu wkurzony:

– Jest piątek wieczór. Ja w domu powinienem babę ruchać, a zamiast tego siedzę tu i ciebie słucham – wycedził spokojnie, jakby od niechcienia. – Dostajesz trzydzieści dni ancla. Wchodzisz do pierdla i nie masz stopnia. Oficer tak samo.

Żandarmi odprowadzili Dodę do więzienia na terenie pułku. To taka studnia, a na dole jest ancel. Nie ma stamtąd ucieczki, bo obok jest wartownia. Ancel jest zawsze przy bramie wjazdowej do jednostki. Każdy legionista wie, że za kratami nie ma żartów.

Doda już nie był kapralem. Nie miał żadnego stopnia. Przedstawiał się jako *puni* [od francuskiego *punir*, karać]. Podał swój numer wojskowy. Cholernie się bał. O ancłu i metodach tam stosowanych krążyły legendy.

Doda: Myślałem, że mnie zabiją. Tam napierdalali dezertarów. Czułem, że przyjdą w nocy i zajebią – wspomina.

Wieczorem wszedł do pierdla. Już na niego czekało pięciu wytatuowanych drabów. On wysoki, ale chudy jak szczapa. Oni wydali mu się potężni. Tacy terminatorzy. Do tego Ryszard pierwszy raz w życiu widział takie tatuaże. Mięśnie wielkoludów pokryte były gołymi dziewczynami i jakimiś bohomazami. W Polsce czegoś takiego nie uświadczył. Patrzył na tych zakapiorów, co nosy mieli powykrzywiane i pewnie niejedną bijatykę przeżyli.

– Ile masz służby? – zapytał któryś z klawiszy. Kiedy Doda niewyraźnie dukał w odpowiedzi, ten tylko krzyknął: – już napierdalasz legionistę?!

Wprowadzili go do pojedynczej celi. Miała zaledwie kilka metrów kwadratowych i była kompletnie ciemna. Pod ścianą odrapana metalowa prycza, która tylko pamiętała, że kiedyś była zielona. Za posłanie służyły stare, wypolerowane przez aresztantów dechy. Na środku z sufitu zwisał metalowy hak.

„No to teraz mnie zabiją”, przemknęło przez myśl Ryszardowi.

Jednak nie padł żaden nagły cios pięści. Doda nie odwrócił się po wejściu do celi. Słyszał jedynie głuchy dźwięk zamykanych drzwi z niewielkim wizjerem, a potem wolno przesuwającą się zasuwę i chrobot klucza w zamku. Godzinę później wpadł jego sierżant – Alan. Wy tłumaczył, za co dostaje się paragraf trzysta dwadzieścia cztery.

Po wyjściu Anglika Doda nie mógł zasnąć. Bał się nocy. Człowiek siedział w tej norze i myślał, w którym narożniku się schować, jak wpadnie komando gości z krzywymi nochalami. Zresztą na dechach trudno zasnąć. Doda bronić się nie zamierzał, bo tylko bardziej by go obili. Ale modlił się, żeby się nie znęcali, bo takie historie też słyszał. No, ale to loteria, jak się zachowają. Pewnie to zależało od humoru. Nic więcej...

Faktycznie. Przyszli w nocy. W niewielkim korytarzu rozległ się rumor. Nic nie było widać. Po chwili otworzyło się okienko w drzwiach i jakaś ręka wepchnęła hydrant. Ryszard jeszcze nie wiedział, co to jest. Instynktownie odwrócił się plecami i zakrył rękoma głowę. Po chwili poczuł pierwsze uderzenie lodowatej wody w plecy. Klawisze lali mocnym strumieniem pod dużym ciśnieniem. Nie było gdzie się schować. Doda głową oparł się o ścianę i zwinął w kłębek. To jedyne, co mógł zrobić. Na zewnątrz nic nie słysząc. Akcja trwała pięć minut. Potem zapadła cisza. Klawisze odeszli. Nic nie mówili.

Kilka godzin później znowu dało się słyszeć głosy z korytarza. Doda zrozumiał coś w stylu „idziemy po niego”. Schował się w narożniku celi. Dwóch wpadło do środka.

– Gadaj, jak było! – nakazał jeden z drabów.

Doda kaleczył francuski tak, że już bardziej się nie dało. Był blady jak ściana i tylko strach trzymał jego członki w kupie. Inaczej trząsłby się jak galareta. Wiedział, że ci obcy są teraz panami jego losu. Próbował tłumaczyć, machając rękami, że szkop wyrzucił famasa, a to przecież świętokradztwo, no więc załadował gościowi z pięści. Nie wiedział, czy tamci coś rozumieją z jego paplaniny. On sam niewiele z tego rozumiał. Był przerażony i czuł się, jakby

walczył o życie. Miał nadzieję, że dryblasy pojną, że przecież chciał dobrze, że nie chodziło o katowanie legionisty. Ci jedynie patrzyli na niego z pobłażaniem. Takich delikwentów mieli tu wielu i każdemu musieli dać wycisk, żeby odechciało mu się kolejnych wyskoków. Nic nie powiedzieli. Wyszli.

– Sprawdzimy – rzucił na koniec ten, co pytał.

Doda jeszcze zobaczył ich wielkie cienie wolno poruszające się po ścianie i znowu dostał strzał z hydrantu. Woda już nie lała się tak długo. Na tym skończyło się „widzenie”. W końcu zmęczony i przemoczony Ryszard usnął na dechach. Obrazy z tego dnia majaczyły gdzieś w głowie, ale wszystko powoli zanikało. Sen to wolność, ale ta nie trwała zbyt długo. Pobudka zerwała więźniów o trzeciej nad ranem. Rozkaz: sprzątanie terenu. W anclu siedziało dwudziestu chłopów i wszyscy musieli sprzątać. W jednostce nie ma śmietników, a jak legionieści palą, to pety rzucają przez okno na ziemię. Aresztanci musieli je pozbierać. Ani jeden nie mógł zostać, bo klawisze by lali. Sprzątanie trwało do rana.

Pluton Fina, co porwał samolot

Śniadanie w anclu trzeba jeść na stojąco przy niskim stole. Doda nie wiedział, że tu przy posiłku nie można gadać. Nikt go nie wprowadził, sam wszedł na więzienną stołówkę. Obok siedzieli kaprale i rechotali, zajadając. Ryszard, wyposzczony po przesłuchaniach, odebrał swoją porcję.

– Smacznego – rzucił do kompanów spod celi, którzy stali wokół stolika. Nie zdążył jeszcze ugryźć pierwszego kęsa, gdy dostał w łeb. Cios był szybki, z rąk wyleciała mu miska. To kapral przywalił mu pięścią w tył głowy. Uderzenie było tak nagłe i silne, że Doda przysiadł na podłodze. Zrobiło mu się szaro przed oczami i nie bardzo wiedział o co chodzi. Nie rozumiał, dlaczego oberwał.

– Koniec żarcia! Wszyscy wypierdalać! – zadudniły mu w uszach krótkie komendy kaprali.

Klawisze dwudziestkę więźniów wyrzucili ze stołówki. Nowi towarzysze Dody byli na niego wściekli. Drugiego śniadania nie będzie. Teraz zaprawa na głodnego.

Doda: Miałeś jeść w absolutnej ciszy. Kaprale obok siedzieli i normalnie rozmawiali. A my nie. Nawet jak chciałeś soli, to miałeś być cicho. Nie mogłeś kumpla poprosić, żeby ci podał. Ani słowa. Film *Papillon* mi się przypomniał, jak tapi siedziałem.

Po śniadaniu kadra podnosiła morale zepsutych legionistów. Oczywiście najlepszym lekarstwem był ostry trening. Aresztanci dostali jedenastokilogramowe plecaki, ale zamiast wygodnych pasków były kable. Niemiłosiernie wbijały się w ramiona. *Puni* mieli też specjalną broń. Niby famasy, ale była jedna zasadnicza różnica: ważyły z siedem kilogramów, bo na użytek anclarzy wypełniono je ołowiem. To sporo, bo zwykły ważył nieco ponad trzy i pół kilograma i specjalnie nie ciążył podczas treningu. Kilka godzin biegania dawało w kość. Na „parkurze” każdy gram się liczył, a kaprale, którzy ganiłi *puni*, nie mieli litości. I tak dzień w dzień. Jak nie „parkur”, to wycieczka w teren. Z daleka wyglądało niewinnie, jak bieg przełajowy z trenerem na końcu. Dżip profosa wolno się toczył, a banda objuczona plecakami i karabinami biegła przed autem.

Doda: Jak ktoś nie dawał rady, to kajdanki. Profos z tyłu dżipa przypiął i tak z jedną ręką koleś musiał zapierdalać. Proste. Po zaprawie mieliśmy sprzątanie. Na szczęście inni legioniści byli solidarni. Na terenie były bary. Jak nas widzieli w tych kominiarkach, to rzucali fajki lub piwo. Żeby można było gdzieś za winkiem wypić czy zakurzyć papierosa.

Doda miał szczęście. Po dziesięciu dniach odsiadki dowódca wyciągnął go z ancla, bo były zawody grup specjalnych. Wiedział, że Polak ma dobre wyniki w sporcie, a chciał błysnąć na ćwiczeniach przed władzami pułku. Ryszardowi rzucił jedynie, że na poligon pojedzie, a od wyników zależy dalsza odsiadka.

Doda: Legia robi wiele różnych konkursów i sport też celebrytuje. Stary się cieszył, jak gdzieś coś wygrywałem. Mówił: „Mój”. Każda kompania szczyciła się swoimi chłopakami.

Na zawodach poszło nieźle. Dowódca był zadowolony z rezultatów swojej drużyny. Skrócił Dodzie odsiadkę. Dzięki temu siedział w anclu jedynie piętnaście dni. Połowę tego, co miał odpękać za kratami. Mimo to i tak w areszcie zrzucił osiem kilogramów, choć *puni* jedli tak samo jak reszta legionistów. Łomotu specjalnego nie dostał, ale już rozumiał, jak to jest jeść na stojąco, gdy nie można talerza podnieść do gęby. To nie bankiet. Widelec musiał precyzyjnie powędrować znad blatu do ust, a gdy łapy się trzęsły po morderczych treningach, nie było to takie proste i z reguły jedzenie spadało na ziemię.

Po odsiadce wrócił do pułku. Na dzień dobry miał rozmowę ze starym:

– Karę odbyłeś, zapominamy o tym, co było. Zaczynasz nową kartę w Legii.

Ale nie wrócisz już do swojego plutonu, żeby nie mieć kontaktu z tym Niemcem, co mu zęby powybijaleś.

Skierował Dode do plutonu, gdzie dowódcą był Fin. Erkki to wesołek, do tego z wielką fantazją. Kilkanaście miesięcy wcześniej był pilotem w swoim kraju. Opowiadał kumplom z Legii, że porwał samolot i poleciał sobie do Francji. I już nie mógł wrócić do Finlandii. Jego kraj nie był jednak członkiem NATO i nikomu nie zależało, żeby wsadzać do więzienia zabawnego Fina. Erkki ukrywał się we Francji. Początkowo szalał na południu, ale szybko skończyły mu się pieniądze i podobnie jak inni rekruci wylądował w Aubagne. Nie miał powrotu do Finlandii, bo tam czekały go sąd i długa odsiadka.

Doda znał Erkkiego z opowiadań i cieszył się, że trafi pod kuratelę tak zabawnego gościa.

Na początku dowódca wziął go na słowo.

– Słyszałem, że byłeś w polskim wojsku. To jesteś normalny gość. O nic się nie martw, u mnie będzie ci dobrze - powiedział. – Jak ktoś będzie pyskował, to nie lej przy ludziach. Zaproś do gabinetu.

Doda: Tak to wyglądało, że on lał, a ja poprawiałem. Porządek na kompanii musiał być. Buty szły w ruch, a potem takie ścierwo wywalało się z pokoju.

W tym czasie doszło do kolejnego incydentu z udziałem Niemca, którego skatował Doda. Blondas nie wytrzymał. W nocy uciekł na samowolkę, tyle że z bronią. To jedno z najgorszych przewinień. Daleko nie udało mu się zbiec. Żandarmeria dopadła go kilka kilometrów od bazy w Castelnau-dary. Lanie zaczął dowódca plutonu. Później wyżywali się następni. Tłukli bez umiaru kolbami karabinów.

Połamali mu żebra i obojczyk. Niemiec był ledwo przytomny. Legioniści zaciągnęli skatowanego dezertera na dżipa. Godzinę później przywieźli go na teren jednostki.

Kumple Dody ze starego plutonu zakrzyknęli z wozu:

– Dobij go teraz, bo mu się należało. Przez to ścierwo siedziałeś w anclu!

To wydarzenie przekonało wszystkich, że Ryszard dobrze postąpił, wybijając zęby Niemcowi. Skończył służbę w plutonie z zabawnym Finem i dowódca zdecydował, że ma iść do plutonu kaprali. Co prawda Doda miał jedynie dziesięć miesięcy służby, ale szef wydał rozkaz i nie było gadania.

– Nic mnie to nie obchodzi. Ja decyduję – wytłumaczył zdziwionemu

Polakowi.

Paszport za łapówkę dla konsula

Legia potrzebowała dwóch miesięcy, by z krnąbrnego Dody zrobić kaprała. Teraz miał być skurwielem, który przegoni młodzież przez początki unitarki. Sformowanym skurwielem, czyli takim, który może wlać młodemu i stoi ponad prawem. Oczywiście bez przesady. Jednak bezpośrednio po wyjściu z plutonu nie dostał kapraleskich pagonów. Musiał jeszcze poczekać. Nie narzekał – po skończeniu kursu legionista dostawał dwa tygodnie urlopu. Doda tęsknił za rodziną i Polską. Za niewielkim Braniewem. Już prawie rok siedział za granicą. Jego matka dopiero po ośmiu miesiącach dowiedziała się, że syn jest w Légion Étrangère. Doda sam do niej zadzwonił, bo przecież była święcie przekonana, że on pojechał na winobranie. Spokojnie tłumaczył mamie, dlaczego zaciągnął się do Legii. Chciał zarobić i wrócić. „Zginiesz i tyle pożytku z tej armii będzie” – płakała matka w słuchawkę. Nie mogła synowi wybaczyć. Była tak zdesperowana, że napisała list do dowódcy kompanii. Prosiła w nim, żeby Ryśka wyrzucił, bo on się do armii nie nadaje. Że ona ma dla niego mieszkanie w Polsce i on natychmiast musi wracać nad Wisłę. Taki lament nie przekonał trepów. Podobnych listów otrzymywali więcej. Pisały żony, siostry i kochanki. Kobiety widzą w Legii tylko śmierć lub kalectwo.

Doda chciał zostać, ale wbrew zakazom postanowił pojechać do kraju. Jedyne problem stanowił paszport, bo mu go zabrali, jak się zaciągał w Aubagne. Oczywiście na urlop żadnego dokumentu nie dostał. Legia jedynie pożyczowała kasę, którą potem trzeba było oddać.

Od Polaków w pułku dowiedział się, że za 500 franków można załatwić prawdziwy polski paszport. Dostał numer telefonu gościa, który się tym zajmował. Potem wystarczyło pojechać do Lyonu i tam się dogadać z wicekonsulem. Tym, który za łapówkę wystawiał polskie dokumenty. Doda pojechał do Lyonu i umówił się z pracownikiem konsulatu. W kopercie dał 500 franków i kilka zdjęć. Dwa dni później odebrał nowy paszport. Był szczęśliwy. Za 400 franków kupił bilety w obie strony na autobus do Warszawy. Wieczorem wrócił do plutonu i radosny położył się spać, bo następnego dnia zaczynał wymarzony urlop.

Dezercja i znowu do ancla

W nocy alarm. Na kompanii dezercja. Doda obudzili kumple. Kolejny raz zdezerterował młody żołnierz. Nikt nie wiedział, co mogło mu strzelić do łba. To i tak nieistotne. Padł prosty rozkaz: złapać zbiega. Legioniści zerwali się jak psy gończe. Byli niby rekiny, które poczuły smak krwi. Nic ich teraz nie mogło powstrzymać. Oficerowie zaznaczyli na mapach, kto przeszukuje który sektor. Na łowy wyjechały trzy dżipy z legionistami i kilka wozów police militaire. Los zwierzyny był przesądzony. Wcześniej czy później wpadnie w zastawione sidła. Doda i jego kumpel Jugo czaili się w krzakach na skrzyżowaniu. Dżipa również ukryli. Z drogi nikt ich nie widział. Godzinę wcześniej na krótkofalówce dostali cynk, że uciekinier może iść właśnie tą drogą, więc tam zrobili zasadzkę. Doda niespecjalnie się martwił. Myślał, że po obiedzie przyjedzie zmiana, bo przecież on po południu miał autobus do Polski. Był pewien, że zdąży. Ale na krzyżówkę, którą obstawiali Doda i Jugo, przyjechał stary. Powiedział, że muszą zostać na posterunku, bo nie ma zmienników.

Doda: Strasznie byłem wkurwiony. Myślami już byłem na urlopie w Polsce. Chciałem zobaczyć dawno niewidzianą rodzinę, a tu wszystkie plany w jednej chwili szlag trafił przez jakiegoś debila. Dodatkowo wydałem czterysta franków na bilety. Pal licha kasę, ale dwa tygodnie urlopu poszły się jebać. Jugo, też był cholernie wnerwiony. Wsiadliśmy do dżipa i z bronią krótką pojechaliśmy do knajpy.

Dwaj legioniści byli spragnieni. Kilka kolejek wódki i od razu pojawiło się towarzystwo dziewczyn. Na zegarki nie patrzyli. Czas tak leciał, że nie dostrzegli, jak minęła północ. Wrócili na krzyżówkę, ale okazało się, że jest już po akcji. Nieźle podchmieleni wpadli na kompanię.

Dowódca wiedział, że nie było ich na posterunku. Gdy oni zabawiali się z dziewczynami w knajpie, przyjechał na krzyżówkę. Chciał swoich chłopaków pocieszyć i przywiózł im dwie butelki whisky. Pech chciał, że jego żołnierzy nie było.

Doda: Jak wróciliśmy, to stary tylko na nas spojrział. „No, Doda, galony to ty zobaczysz jak, o, mój palec. A ty, stary durniu – wskazał na kaprała – młodego wyciągasz, skoro mieliście warować na tym skrzyżowaniu? Co to, kurwa, jest? Stary, a głupi”.

Za drzwiami już czekały na nich draby z police militaire. Jak tylko wyszli od starego, zakuli ich i do paki. Profesi ubaw mieli po pachy, bo obaj byli

porządnie pijani i chwiejnym krokiem w asyście żandarmów zmierzali do ancla. Tak wyglądał pierwszy urlop Dody – trzydzieści dni ancla zamiast odpoczynku w Polsce. Tu już był lepiej traktowany, bo klawisze wiedzieli, za co trafił za kratki. On i Jugo raczej wzbudzali ogólną wesołość ekipy pilnującej więźniów. Ryszard miał też szczęście, bo były święta i objęła go amnestia. W anchi siedział dwadzieścia pięć dni. Po wyjściu pierwsze kroki skierował do starego.

– I urlop poszedł się pierdolić – przywitał go dowódca.

– Chuj z urlopem. Stopień poszedł się pierdolić – odpowiedział Polak.

Oficer uśmiechnął się zza biurka.

– Spadaj, Doda! – Nie powiedział nic więcej.

Kiedy Ryszard wrócił do kompanii, pocieszył go dowódca plutonu Erkki:

– Jest sposób na odzyskanie stopnia. W te pędy zapierdalaj do kantyny po skrzynkę whisky. Daj staremu, to może taką prośbę pozytywnie rozpatrzy. – Uśmiechnął się.

Doda pognął do baru. Za gotówkę kupił skrzynkę najlepszego johnniego walkera. Biegiem do gabinetu dowódcy, bo o czternastej miała być zbiórka kompanii i nominacje kapraleskie. Zapukał i nic nie mówiąc, postawił skrzynkę obok biurka.

– Odmeldowuję się – rzucił na odchodne.

O czternastej zbiórka. Doda nie wiedział, co go czeka. Miał nadzieję, że łapówka poprawiła humor staremu i zostanie upragnione galony kaprała.

– Doda, występ – rozkazał dowódca.

Ryszard miał łzy w oczach, gdy usłyszał „Dodę na kaprała”, a stary wyciągnął pagony z dwubelkową zieloną choinką. Sporo nerwów kosztowała go własna głupota przed końcem kursu kapraleskiego. To nie tylko większy prestiż w armii, ale i kasa. Tego dnia pensja mu skoczyła z dwóch tysięcy franków na sześć i pół tysiąca. Dla Polaka to wówczas były niewyobrażalne pieniądze. Kiedy wrócił do szeregu, dowódca plutonu Erkki wyszczerzył białe zęby:

– Teraz, chłopie, lecis po następną skrzynkę.

Doda: Byłem szczęśliwy jak dziecko. Dwa dni z kumplami piliśmy. Miałem w dupie ten urlop. Już nawet nie chciałem jechać do kraju. Cieszyłem się, że jestem kapralem, i myślałem: „Pierdolę Polskę”. Zamiast tego do Tajlandii poleciałem na dziwki. Taka moda w Legii była. Jak legionista nie mógł jechać do rodziny, to leciał na tydzień zabawić się w Tajlandii.

Rozdział III

Zygmunt w wietnamskim piekle

Wyrywali ręce dzieciom

Zygmunt w Gdyni ma niewielką szklarnię, w której hoduje trochę warzyw. Latem pomidory zaczynają się czerwienić, a ogórki pną się po sznurkach w górę, jakby myślały, że przebiją szklane zadaszenie, nieco tylko zwalniając w miejscach, gdzie ciężą owoce. Jest gęsto od zieleni i jej intensywność aż bije w oczy.

Wojtczak: Nie wiem, jak to jest, ale taka zieleń już do końca życia będzie mi przypominać wietnamską dżunglę. Gęstą jak ściana, za którą nie wiadomo co się czai. Cały czas trzeba mieć oczy dookoła głowy, a i to niewiele daje. W każdej chwili gdzieś w tym gąszczu czeka na ciebie śmierć. – Grubymi palcami głaszczę włochate liście ogórka. – Dżungla w Wietnamie jest specyficzna – ciągnie. – Europejczyka poraża wilgotność. Wystarczy, że człowiek włoży mundur, a zaraz jest mokry. Nawet nie trzeba się męczyć. Nie trzeba żadnego wysiłku, po prostu człowiek po chwili przebywania w tym klimacie jest cały mokry. Tylko czujesz, jak po plecach spływa pot.

Po przypłynięciu do Sajgonu Zygmunt został przydzielony do 6. kompanii Légion Étrangère w niewielkiej wiosce Mascari. Legioniści po przybyciu do obozu od razu byli rzucaeni do walki z partyzantami i ludnością cywilną. W ciężkim terenie żołnierze z Europy sobie nie radzili.

Wojtczak: Nie znaliśmy terenu, a codziennie poszczególne plutony wysyłano na patrole w celu wyłapywania partyzantów. Legioniści ludność cywilną traktowali jak zwierzęta. Gdy nie mieliśmy przewodnika, oficer brał chłopca i powozem przywiązywał do naszego żołnierza. Wietnamczyk na szyi miał pętlę, jak pies. Musiał nas prowadzić do wskazanego na mapie celu. Jeśli odmawiał, od razu kula w łeb. Traktowaliśmy ich jak niewolników.

Wietnamscy chłopcy byli zwierzyną łowną dla obu stron konfliktu. Wiedzieli o tym. Musieli pomagać partyzantom, bo odmowa wiązała się ze spalaniem całej

wioski. Identycznie traktowali ich Francuzi. Ludność cywilna nie miała prawa głosu.

Za cały dzień prowadzenia legionistów przez dżunglę chłopci dostawali kilogram ryżu. To i tak wybawienie, bo zwalczające się armie niszczyły pola i plony. Głód szalał, a na targach wieśniacy handlowali suszonymi żabami. Strząsali z drzew mrówki, żeby je później gotować. Wywar z owadów był ohydny w smaku, a jednak go pili. Nic innego nie było, bo Francuzi regularnie niszczyli żywność w pacyfikowanych wioskach. Byli bezwzględni.

Wojtczak: Pacyfikacja wioski zwykle wyglądała tak samo. Pluton wpadał do osady i kogoś przesłuchiwał. Jeśli znajdowaliśmy broń lub ukrytą żywność, cała wioska szła z dymem. Wieśniaków zabijano. Gdy Legia okazywała łaskę, to zabieraliśmy tyle żywności, ile zdołaliśmy udźwignąć. Resztę się paliło, żeby nic nie dostało się partyzantom. To normalna zasada każdego wojska.

Żeby spalić wioskę, wystarczyło najmniejsze podejrzenie o kolaborację z wrogiem Francuzów. A o to nietrudno, bo wioski były w większości zamieszkałe przez kobiety, dzieci i starców, młodzi mężczyźni uciekli do partyzantki, zginęli na wojnie bądź zostali zamordowani. Zygmunt rzuca prawie identycznie brzmiącymi nazwami wiosek. Każda wyglądała tak samo: chałupki sklecone z gliny, bambusa i dachy przypominające naszą polską strzechę. Wieśniacy tak żyli od wieków. Ich życie płynęło tym samym rytmem, a wojna wywróciła ten odwieczny porządek i brutalnie zaprowadziła własny.

Wojtczak: Zdarzało się, że paliliśmy wioski bez żadnego powodu. Taką metodę miała Legia na wywołanie powszechnego strachu. Zdaniem oficerów terror to najlepsza metoda zapanowania nad dzikusami, jak mówili o tubylcach. Wieśniacy wiedzieli, że z nami nie ma żartów. Wielu legionistów to byli esesmani zaprawieni w bojach i mordowaniu, więc puszczenie z dymem kolejnej wioski i wymordowanie mieszkańców to dla nich nie pierwszozna.

Zygmunt ma znowu łzy w oczach, gdy rozmawiamy w szklarni.

Wojtczak: Zaganiałem kobiety i dzieci do jednego pomieszczenia, a potem podpalałem chatkę. Słyszałem ich krzyki, gdy smażyły się żywcem. Był rozkaz i nie było gadania. Za odmowę szło się przed pluton egzekucyjny. Każdy legionista musiał to przejść. Tak przynajmniej było w mojej kompanii. Taki chrzest bojowy. Jakby podpisanie zgody na zabijanie. Oficerowie chcieli

wiedzieć, że żaden legionista się nie zawaha i nie będzie miał skrupułów, żeby mordować kobiety i dzieci. Nie był potrzebny rzeczywisty powód, czyli sprzyjanie komunistycznej partyzantce. Chodziło o trzymanie w ryzach żołnierzy, bo przecież byliśmy międzynarodową zbieraniną. Wielu legionistów, podobnie jak ja, wcale nie pchało się do tej formacji. Przypadkowo trafiliśmy do wietnamskiego piekła, więc musieli utrzymywać surową dyscyplinę. Byłem świadkiem, jak oficerowie na oczach matek wyrwali ręce dzieciom, a potem wrzucali maluchy do rzeki. Spokojnie patrzyli, jak toną, a kobiety odchodziły od zmysłów. Gdy za bardzo krzyczały, oficer podchodził, przykładał pistolet do głowy i zabijał...

Zresztą podczas tej wojny kobiety były traktowane gorzej niż zwierzęta. Legia miała w Sajgonie burdele, gdzie żołnierze mogli się zrelaksować po codziennej „robocie”, ale tego im było mało. Podczas patroli oficerowie dawali przyzwolenie na gwałcenie nawet kilkuletnich dziewczynek. Nikt specjalnie się tym nie przejmował, bo po gwałcie dziecko zabijano. Kwitowano to: lepsza kula w łeb niż spalenie żywcem.

Co bardziej przedsiębiorczy legioniści potrafili za worek ryżu kupić Wietnamkę. Wtedy mogli rznąć ją do woli, a potem zrobić z nią, co im się żywnie podobało. W kompanii u Wojtczaka był kapral, który zorganizował pięć nastoletnich dziewczyn i stworzył regularny burdel w środku dżungli. Zbił na tym fortunę, bo żołnierze na wódkę i seks nie skąpili kasy. Zresztą nikt nie wiedział, kiedy zginie, więc korzystali z życia. Burdel dawał pozory normalności, choć dziewczyny były traktowane jak niewolnice. Byli zwyrodnialcy, którzy potrafili je porządnie obić, bo tylko przemoc sprawiała im przyjemność. Wtedy musieli jedynie kapralowi więcej odpalić, bo pobita dziewczyna przez kilka dni nie mogła zarabiać, a kasa musiała się zgadzać.

Najgorsze były jednak patrole nocne. Zygmunt czuł się, jakby się poruszał w beczce smoły. Legioniści mieli twarze umazane błotem, tak że czasami błysnęło tylko światło księżyca odbite od białka oka. Trzymali się za ręce, żeby się nie pogubić w gąszczu. Nie mogli nic mówić. Maszerowali w absolutnej ciszy. Nieopatrnie wypowiedziane słowo mogło oznaczać śmierć, która czaiła się za wielkimi liśćmi. Mogła zaatakować w każdej chwili. Z każdej strony. Dżungla w Wietnamie to wymarzony teren do partyzantki. Wroga nie widać, dopóki nie zaatakuje, zwłaszcza że porusza się kilometrami tuneli wyżłobionych pod ziemią. Viet Minh wyskakiwał, uderzał i znikał. Jak duch.

Stres zabija powoli

Atak zwykle oznaczał śmierć, dlatego marsz w czołówce wiązał się z wielkim ryzykiem i niekończącym się stresem. Zresztą stres towarzyszył żołnierzom stale. Zygmunt nie pamiętał, kiedy normalnie spał. Sen był krótki i przerywany koszmarami. Ze strachu o własne życie człowiek zaczynał wariować. Stawał się obojętny na cierpienie cywilów. Jedyna myśl, która zaprzętała umysł, to jak przeżyć w tym piekle. Groźni mogli się okazać nie tylko komunistyczni partyzanci. Trzeba było uważać na owady i węże. Wszędzie było ich pełno. Najgorsze były mrówki, które wprost z drzew spadały za kołnierz. Jeśli człowiek się nie zorientował, to w ciągu kilkunastu minut mógł mieć mrówki dosłownie wszędzie. Kąsały tak, że swędzenie nie dawało spokoju. Bąble piekły i nie było na nie żadnego lekarstwa. Nic, tylko niekończąca się pieśń o drapaniu. Dlatego legionieści hełmy często przykrywali bądź w ogóle zastępowali *non la* – wietnamskimi stożkowymi kapeluszami plecionymi. Te delikatne nakrycia głowy najlepiej chroniły przed wszelkiej maści robactwem, a co najważniejsze – zasłaniały właśnie kark. Nie przez przypadek tamtejsi wieśniacy noszą *non la* od wieków.

Wojtczak: Stres był tak wielki, że powoli zabijał. Widziałem, co robi z człowieka. Widziałem, jak ludzie w dżungli zaczynają wariować. Tego się nie da powstrzymać. Obłęd po prostu w pewnej chwili przychodzi i już zostaje.

Szaleństwo było jak rak. Atakowało powoli i nawet nie dostrzegałeś, że wnika w ciało i mózg. Zatrzucało każdą komórkę. Nie widziałeś, jak się rozwija i powoli pączkuje. Gdy już dojrzało, na pomoc było za późno. Na tej wojnie obłęd nie wybierał. Zygmunt pamięta weteranów z Waffen-SS, zaprawionych w bojach na froncie wschodnim, którzy w Wietnamie pakowali sobie kulkę w głowę. Tak już jest, że w pewnej chwili zostaje przekroczony punkt krytyczny i szaleństwo jest jak tsunami. Dewastuje psychikę, tak że jedynym rozsądnym wyjściem wydaje się śmierć.

Zygmunt bał się jeszcze niewoli. O traktowaniu jeńców krążyły legendy. Zresztą prawdziwe, bo obie strony konfliktu nie miały litości dla wroga. Jedną z ulubionych tortur Wietnamczyków było przywiązywanie delikwenta do drzewa przy mrowisku. Partyzanci znali najbardziej agresywne gatunki mrówek i wiedzieli, jak sprawić, by zadawały maksymalny ból. Śmierć od drobnych żuwaczek trwała strasznie długo. Skazaniec czuł, jak jest pożerany żywcem.

Kiedy mdlał, Wietnamczycy polewali go wodą. Musiał doznać każdej sekundy cierpienia, nie mógł uronić ani jednej kropli bólu. Owady zaczynały od otworów ciała. Wpełzały do uszu, nosa, próbowały dostać się do oczu. Kąsały całe ciało. A jeśli podrażniło się je dymem, cięły jak wściekłe. Umieranie trwało wiele godzin, koniec następował we wprost niewyobrażalnych męczarniach.

Inny wymyślny sposób zadawania śmierci przez wojska Viet Minhu Amerykanie poznali podczas II wojny światowej, bo stosowali go Japończycy. Legioniści doświadczyli go na swojej wojnie o Indochiny. To azjatycka wersja nabijania na pal z tą różnicą, że pal-pęd bambusa wyrasta bezpośrednio z ziemi. Przy wysokiej temperaturze i dużej wilgotności ostre szpikulce łądy błyskawicznie rosną. Tortura była uzależniona od celu – jeśli miała być powolną karą śmierci, delikwenta wieszano się za nogi. Jak liść zwisał wtedy z drzewa z głową dyndającą nad śmiercionośną rośliną. Pędy bambusa trochę leniwie wbijały się w czaszkę i żadne wygibasy skazańca w dalszej perspektywie nic nie dawały. Śmierć mogła być równie straszna, gdy Wietnamczycy sadzali człowieka na roślinach. Bambus w kilku miejscach przebijał ciało i powoli wbijał się w głębię, pnąc się ku głowie. To tak, jakby w żywą tkankę wbijać kołki, ale nie z impetem, w jednej chwili, tylko przez kilka dni. Straszna śmierć.

Wojtczak ma w głowie swojego kolegę z plutonu, który zginął w ten sposób. Partyzanci złapali Słowaka podczas nocnego patrolu. Legioniści nie sądzili, że jeszcze kiedyś go zobaczą. Szukali go przez tydzień. W końcu znaleźli, bo partyzanci tak chcieli. Widok był przerażający. Ciało Janka było poprzebijane w kilku miejscach. Wyglądało to tak, jakby ich kumpel nadział się na drewniane widły. Partyzanci wydłubali mu oczy. W pustych oczodołach kłębiło się stado much i mrówek zajadle walczących o swoje. Żeby jeszcze bardziej wzburzyć legionistów, partyzanci ucięli Jankowi penisa i wepchnęli do ust. Tak go zostawili dla Francuzów. Niech widzą, co czeka obcych chcących zawłaszczyć wietnamską ziemię. Pewnie nawet się nie zastanawiali, że mordują młodego chłopaka z dalekiego kraju we wschodniej Europie.

Smykałkę do handlu miał od zawsze

Legioniści, choć sami byli okrutni wobec partyzantów, tę zbrodnię zapamiętali na długo. Wracając z patrolu, spalili po drodze dwie wioski. To była zemsta, chociaż wymierzona w cywilów, którzy schowali się gdzieś w dżungli, zostawiwszy cały swój dobytek. Mieli szczęście. Legioniści byli wściekli. Gdyby w osadach przebywali ludzie, wszyscy niechybnie by zginęli. Zygmunt miał już dość tej

wojny.

Wojtczak: Nie było dnia, żebym nie myślał o ucieczce. Wiedziałem, że prędzej czy później zginę, bo nie było szans, żebym przeżył pięcioletni kontrakt. W najlepszym wypadku zostałbym kaleką. Miałem dość takiego życia i wykonywania bezsensownych rozkazów, znęcania się nad tubylcami, mordowania. Poza tym to nie była moja wojna. Przecież trafiłem do Wietnamu, bo mnie oszukano. Chciałem się wycofać, ale mi nie pozwolono. Podpis złożyłem po pobiciu i zastraszaniu. Nie czułem żadnej więzi z Légion Étrangère. Miałem kumpli, ale to jedyne, co pozwalało przeżyć. W Wietnamie, tak po prawdzie, to wszyscy walczyli o własne życie.

Zygmunt umiał przetrwać. Był urodzonym handlowcem. Uwielbiał się targować, negocjować i cały ceremoniał związany z handlem. Z klientami nie miał problemu, bo światy legionistów i partyzantów wzajemnie się przenikały dzięki przewodnikom i tragarzom. Łączniczkami były też zaprzęgnięte do niewolniczej służby kobiety. Wietnamczycy nienawidzili Légion Étrangère, bo to najemnicy z obcych krajów, ale też wiedzieli, że jakoś muszą się dogadywać z żołnierzami. Na wojnie największy popyt mają żywność, broń i amunicja. Początkowo Zygmunt handlował jedynie żywnością. Łącznikiem był jeden z przewodników, którego poznał już kilka tygodni po zajęciu Mascari. Chłopak był dobrze traktowany i choć obaj rozumieli jedynie po kilka słów, to geszeft ma swoje prawa i dwóch handlowców zawsze się dogada. Wojtczak po cichu też liczył, że nastolatek pomoże mu w ucieczce. Wiedział, że ryż wynoszony z magazynu Legii trafia do partyzantów, więc liczył na późniejszą przysługę. Armia Viet Minhu, choć zaopatrywana przez Chińczyków i Sowieców, wciąż miała kłopoty z uzbrojeniem. W lewy biznes Wojtczak wprowadził magazyniera. Z półek arsenału znikwały amunicja i pojedyncze sztuki broni. Pech chciał, że o nielegalnych interesach Zygmunta ktoś doniósł dowódcy plutonu. Wokół Polaka zagęściła się atmosfera. Oficerowie nie mieli dowodów, ale zaczęli mu się podejrzliwie przyglądać. Szczęśliwie on też miał przyjaciół na stanowiskach podoficerskich. Inny Polak z kompanii dał mu cynk, że interesuje się nim żandarmeria.

Wojtczak: W tym czasie codziennie chodziłem na patrole. Żeby o cokolwiek mnie oskarżyć, musieliby złapać nas za rękę z kontrabandą. Na kilka tygodni wstrzymaliśmy się z kolegą z magazynu z jakimkolwiek handlem. Niczego nie wynosiliśmy z terenu jednostki. Niczego nie przekazywaliśmy zaprzyjaźnionym Wietnamczykom. Nie chcieliśmy wzbudzać dodatkowych podejrzeń.

Czech rozerwał się granatem

W grudniu wydarzyło się coś, co przesądziło o dezercji Zygmunta – podczas rutynowego patrolu jego kolega wszedł na minę. Młodego – miał zaledwie dwadzieścia lat – rozerwało na strzępy. Wojtczak, który stał kilkanaście metrów od niego, widział eksplozję i latające w powietrzu szczątki. Jeszcze kilkanaście minut wcześniej razem palili papierosa podczas postoju. Teraz chłopaka nie było. Nawet niewiele z niego zostało. Legioniści znaleźli jedynie rękę, kawałek korpusu i głowę.

Zygmunt, będąc świadkiem takiej śmierci kolegi, był już pewien, że chce uciec. Zresztą, gdyby tego nie zrobił, to zginąłby na patrolu lub podczas przypadkowej potyczki w dżungli. Na tej wojnie śmierć dopadała na wiele sposobów. Do ucieczki namówił jeszcze dwóch innych legionistów – Czecha Wacka i Polaka Ludwika Madeja z Kraśnika pod Lublinem. Wieczorem 20 grudnia 1951 roku wymknęli się z obozu. Zabrali ze sobą karabiny, trochę prowiantu i po trzy granaty na głowę. Nie mieli konkretnego planu. Liczyli, że po trafieniu do wietnamskiej partyzantki uda się im jakimś cudem wydostać z tego kraju. Nie wiedzieli jak, ale to wydawało się lepsze niż śmierć w dżungli podczas patrolu. Myśleli, że idą na północ, tymczasem zmylili drogę i zmierzali w przeciwnym kierunku. Podążali na południe – w stronę bagien i wielkiej delty Mekongu. Kierowali się wprost w sidła Legii – My Tho. Nie tak miało być, bo wiedzieli, że w tej miejscowości stacjonuje oddział Légion Étrangère.

Delta Mekongu to kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych kanałów, jeziorek i niezliczonych odnóg rzeki. Mekong czterema wielkimi odnogami wbija się w morze, ale wokół nich tworzy wodny labirynt, usiany wysepkami, na których żyją wieśniacy. Pokonanie delty bez łodzi nie jest możliwe, lecz uciekinierzy o tym nie wiedzieli. Liczyli na lut szczęścia, ale nie zdawali sobie sprawy, że na ich drodze stanie najpotężniejsza rzeka Wietnamu.

Wojtczak: Zmyliły nas światła okrętów, które widzieliśmy z oddali. Zupełnie pomyliliśmy kierunki. Trzeba jednak pamiętać, że orientacja w dżungli jest niesłychanie trudna. Człowiek przedziera się przez bagna, niezliczone strumyczki, nie ma łatwych do wychwycenia punktów orientacyjnych. Tak naprawdę w pewnym momencie szliśmy na wyczucie. Pewnie też kręciliśmy się w kółko, bo przez trzy dni daleko nie zaszliśmy. Staraliśmy się iść jedynie w nocy, żeby nie natknąć się na patrol i nie rzucać się w oczy miejscowej ludności. Wielu wieśniaków kolaborowało z Francuzami. Po naszych mundurach

każdy chłop od razu by się domyślił, że jesteśmy zbiegami. Wystarczyło na nas spojrzeć...

Pościg za dezertkami już trwał. Francuzi rozpuścili w okolicznych wioskach wici, że ścigają trzech groźnych morderców cywilów. Wyznaczyli też nagrodę dla donosicieli – kilka worków ryżu. To poskutkowało. Wkrótce zgłosili się wieśniacy, którzy widzieli trzech legionistów. Oddział pościgowy deptał desperatom po piętach. W końcu trzeciego dnia okrążył uciekinierów niedaleko My Tho. To miejscowość leżąca na północnym boku delty Mekongu. Dezertki ukryli się na wysepce wydzielonej siatką kanałów, ale pętla się zaciskała i nie mieli gdzie uciekać. Przez myśl przeszło im, żeby się bronić. Czech oddał kilka strzałów i ścigający ich już wiedzieli, gdzie się ukrywają. Byli głodni i mokrzy, bo przez kilka dni wpływ pokonywali małe bajorka, bagna i odnogi Mekongu. Dawało też o sobie znać zmęczenie, bo przez ten czas prawie nie spali.

Zygmunt wiedział, że teraz muszą się rozdzielić. Tylko taki krok dawał któremuś szansę na wyrwanie się z pierścienia. Rozbiegli się w trzech kierunkach. Strzelali do nich. Wojtczak dowiedział się, jak się czuje zwierzyna łowna. Wiedział też, że nie mają żadnych szans na ucieczkę. Widział, jak sfera dopada Wacka. Gdy się zegnali, Czech mówił, że nie da się wziąć żywcem. Słowa dotrzymał. Zygmunt obserwował, jak do skrywającego się w wysokiej trzcinie podchodzą czterej legionści. W pewnej chwili dał się słyszeć huk i pojawił się błysk eksplozji. Wybuch wrzucił do wody członki pięciu osób. Zginęli wszyscy. Wojtczak krzychał, że nie ma broni. Wysoko uniósł ręce. Nie chciał walczyć, choć wiedział, co go czeka – za dezercję podczas wojny kara może być tylko jedna: pluton egzekucyjny. Mimo to zdecydował się poddać. Podobnie zrobił jego rodak, Ludwik. Kiedy legionści ich dopadli, zaczęło się łanie. Zygmunt dostał kolbą karabinu w twarz. Prawie stracił przytomność. Upadł na kolana. Dryblasi poprawili jeszcze kilkoma kopami w brzuch. Podobnie obesзли się z Madejem. Obydwóch spętali jak zwierzęta.

Wojtczak: Zwykłym sznurkiem związali mi ręce z tyłu, a na szyję założyli pętlę. Czułem się jak pies. Wlekli nas do obozu pod Sajgonem z kilkoma wieśniakami chyba podejrzanymi o jakieś kradzieże. Tego dokładnie nie wiem, ale też byli strasznie pobici. Nie było żadnej możliwości rozmowy, bo za wypowiedzenie słowa bez pozwolenia byliśmy bici. Na powrozech ciągnęli nas za dżipem przez dwa dni. Zamknęli mnie w obozie dla wietnamskich cywilów pod Sajgonem.

Związane go Zygmunta zamknięto w bambusowej klatce zanurzonej do połowy w brudnym kanale. Podobnie byli traktowani Wietnamczycy. Nikt z nim nie rozmawiał. Nie miał też kontaktu z drugim Polakiem dezserterem. Przez pierwsze dni dostawał jedynie odrobinę wody, żeby nie padł z pragnienia. Czasem jakiś klawisz się zlitował i wrzucił mu do wody resztki jedzenia. Stamtąd został przetransportowany do więzienia w Sajgonie. Miał czekać na sąd wojenny. Był koniec 1951 roku.

Rozdział IV

Ryszard chce do Dżibuti

Doda już z kaprałskimi pagonami wszedł do dowódcy. Miał nadzieję, że czeka go miła służba w 13. Półbrygadzie w Dżibuti. Nie dość, że ciepła posadka, bardziej przypominająca ośrodek wypoczynkowy niż jednostkę wojskową, to jeszcze najwyższy żołd w Légion Étrangère. Wówczas każdy polski legionista marzył o przydziale do byłej kolonii francuskiej.

Dowódca rozwiązał jednak sen Ryszarda.

– Na razie nie możesz jechać, bo Polaków mamy tam zbyt wielu. Zostajesz w Castelnaudary. Będiesz szkolił młodych. Potrzebuję ludzi ze znajomością polskiego.

Niepocieszony Doda ruszył na plac. Był zły, no, ale nie mógł narzekać. Duża kasa na razie przechodziła mu koło nosa, ale co się odwlecze, to nie uciecze. I tak się cieszył, że teraz to on będzie panem i władcą rekrutów. Od niego będzie zależało życie kotów. Na placu czekała na niego banda ponad trzydziestu młokosów.

– Polacy, wystąp! – krzyknął Ryszard.

Wyszło dwudziestu sześciu. Okazało się, że do szkolenia ma jeszcze dwóch Węgrów i czterech Francuzów. Był problem, bo ktoś w punkcie werbunkowym popełnił błąd i zbyt dużo chłopaków tej samej narodowości skupił w jednej grupie. Jak mieli się uczyć po francusku, skoro żaden nie potrafił nawet wydukać, jak się nazywa? Inwazja Polaków była skutkiem zniesienia wiz do Francji. Liczyli, że Legia to szansa na szybką karierę, a co ważniejsze – zarobienie porządnej gotówki.

Doda: Jak myśmy zaczynali, to Polacy uciekali z piekła. Byli po ostrym szkoleniu w PRL-owskim wojsku. Podobnie jak ja, dostali w armii tęgi wpierdol i wiedzieli, czego mogą oczekiwać. Zwykle chłopaki były poukładane. Owszem, robili numery, jak się napili, ale bez szaleństw. Dyscyplinarnie było OK.

O takim narybku można było zapomnieć. Po zniesieniu wiz do punktów werbunkowych zgłaszali się osiemnastolatki. Doda wyciągnął pierwszego z

brzegu.

– Po co przyszedłeś do Legii? – zapytał.

– Legia to Legia, a polskie wojsko to chuj, nie wojsko - odpowiedział młokos.

– Ty chuju, tu dopiero zobaczysz, co to wojsko! Gdybyś był w armii, tobyś wiedział, z czym to się je, a tak, nie wiesz nic... – odpowiedział mu Doda.

Już pierwsze dni pokazały, z kim będzie musiał walczyć świeżo nominowany kapral. W jednostce zaczęło się istne szaleństwo – kradzieże, pobicia, dezercje. Po ostrej selekcji udało mu się okiełznać żywioł. Nie wszyscy ukończyli szkolenie. Wielu Polaków, widząc, jak wygląda służba w Legii, uciekało. Ryszard szkolił koty do przysięgi, a potem dostał przydział do najbardziej znienawidzonej formacji – żandarmerii. Pół roku zajmował się głównie ściganiem dezerterów.

Doda: Łapaliśmy to kurewstwo. Jak spierdolił Niemiec czy Anglik, to szybko szło. W try miga gnoja mieliśmy. Z Polakami było gorzej. Jak ziomek spierdalał, to pierwszą rzeczą, jaką robił, było pozbycie się wojskowego dresu. Polacy wpadali do marketu i wieszaki okradali, żeby zdobyć cywilne ciuchy. Jednak o jednej rzeczy zapominali. Legia miała charakterystyczne adidasy. Po tym się uciekinierów rozpoznawało. Kłopot z nimi był spory, bo jak wyrwali się na wolność, to na życie nie mieli. W okolicy Castelnaudary napadali na sklepy i stacje benzynowe, żeby zdobyć pieniądze. Myśmy musieli wyłapywać to tałajstwo i doprowadzać do jednostki. Wtedy klasyka – wpierdol, ancel, wpierdol, a potem służba w jednostce.

Po sześciu miesiącach stary zawołał Dodę do siebie.

– Masz tu to swoje Dżibuti – rzucił mu nowy przydział.

Doda: Strasznie się cieszyłem. Do Dżibuti jechało się jak na wakacje. Regułą było, że wyjeżdżał szczupły legionista, a wracał opasy jak mnich. Tylko dziwki, wódka i zabawa. Przyjechałem do tego wymarzonego Dżibuti, a kumple mówią: „Rysiu, Majorka to mało. Plaże dla białych, dziwek od chuja. Żołd trzynaście i pół tysiąca franków. Po prostu żyć nie umierać”. Boże, to prawie cztery tysiące dolarów.

Ryszard się ożywia, wspominając czas spędzony w byłej francuskiej kolonii. Legioniści się nie przemęczali. Może warunki w bazie nie były komfortowe, ale służba dostosowana do klimatu. Zaczynali o ósmej rano i kręcili się do południa. Potem cztery godziny sjesty. Wracali do zajęć jeszcze o szesnastej na

dwie godziny, ale to już było jedynie wyczekiwanie na wieczór i imprezę. Te przypominały zabawę w wojnę z filmu *Jak rozpętałem drugą wojnę światową*. Kadra oficerska była przyzwyczajona nawet do demolek hoteli podczas pijackich eskapad legionistów.

Doda: Po takiej akcji nic specjalnego się nie działo. Właściciel zniszczonego przybytku wiedział, że pobiegnie do starego, a on zbierze kasę i wystawi hotel w jeszcze lepszym stanie. Legionista musiał się odstresować, a że kurwy, pijaństwo i demolka to najlepsza rozrywka, więc nikt specjalnie za to nie ścigał. Po prostu ścinano nam kasę z żołdu, żeby pokryć straty, i sprawa była zamknięta.

Ryszard czuł się jak gwiazdor filmowy na wczasach. Nie oczekiwał, że spotka go takie szczęście. Po nędznym życiu w dogorywającym Braniewie i chwilach zwątpienia w anclu w Castelnau-dary mógł wreszcie odetchnąć pełną piersią. Z pełnym portfelem legionisty w Dżibuti był gościem.

Dla Polaków to było niepojęte, że można tak bogato żyć i nie mieć stresu, że żołdu zabraknie. Naprawdę trzeba by się starać, żeby przepuścić cały żołd w ciągu miesiąca. Przednia zabawa w tej afrykańskiej prowincji kosztowała niespełna 78 tysięcy lokalnych franków. Ryszard nie przemęczał się na służbie – weekend zaczynał się w środę, a kończył w piątek. W pokoju mieszkał ze starą gwardią, też miła atmosfera. Co prawda sześciu facetów i każdy z innego zakątka świata, ale nieźle się dogadywali. Za współlokatorów miał gości z Kambodży, Wietnamczyka, Senegalczyka, Francuza i jednego Polaka. Żeby było bardziej narodowo, z Frankiem pomalowali wentylator na biało-czerwono. Jak urządzenie nie pracowało, nic nie było widać, ale gdy zaczynało się kręcić, to nad głowami mieli flagę państwową. Mimo to najczęściej z kumplami gadał po francusku, tak żeby wszyscy rozumieli. Nauka języka coraz lepiej mu szła. Najbardziej kurwy pomagały. Były najlepszymi nauczycielkami.

Doda: Wolały cię uczyć języka, niż się z tobą pierdolić – tłumaczy.

Przypadek sprawił też, że poznał francuskiego kaprała, który pomógł mu zaoszczędzić. Mały szwindel pozwolił mu uzbierać przyzwoity kapitał na ponowny start i lepsze życie w Polsce.

Doda: W Legii mieliśmy coś na kształt książeczek SKO [Szkolna Kasa Oszczędnościowa]. Żołdu nie wypłacali w całości, tylko przelewali na te tak zwane konta. Jak ktoś chciał pobrać wszystko, to nie pozwalali, żeby od razu

nie rozpieprzył. Ten kapral otworzył mi prawdziwe konto w banku. Po cichu, bo Legia nie pozwalała, żebyś kasę odkładał gdzieś na boku. Legioniści nie mogli mieć kont w bankach. Kapral otworzył mi rachunek i lokował tam moje oszczędności.

Po kilku tygodniach Ryszardowi rozbłysły oczy, gdy kumpel przyszedł z książeczką czekową i kartą. To była jego pierwsza w życiu VISA – piękna, w morskim kolorze. Chciwie na nią patrzył, bo czegoś takiego nikt w Braniewie nie widział na oczy. Otrzymał też dokumenty potwierdzające posiadanie konta oszczędnościowego w banku. To ważne, bo legionista nic nie mógł mieć bez zgody starego.

Doda: Kupiłeś telewizor, bo było cię stać, ale przyszedł stary, pooglądał i kolor mu nie pasował, to wyrzucił sprzęt przez okno. Ty mogłeś jedynie patrzeć, jak twoje pieniądze przez okno wylatują. W pokojach nie mogliśmy mieć pięciu wież, tylko jedną. Inne mogły być, ale schowane w szafce. Trzeba było mieć słuchawki albo kabel, albo kierunkowe, bo nie można było pięciu różnych rodzajów muzyki słuchać. Taki prikaz dowództwa i koniec. Jak coś było niezgodnie z przepisami, to stary po prostu przez okno to wypierdalał i koniec...



Dżibuti - marzenie każdego legionisty. Nie dość, że tam otrzymywało się najwyższy żołd, to w 13. Półbrygadzie czekały czyste plaże i piękne dziewczyny.

Przepisy i widzimisię kadry dowódczej wyznaczały standardy życia legionisty. Szafka żołnierza o nim świadczyła. I tak w środku każdy przedmiot miał swoje miejsce.

Górna półka to ołtarzyk Legii – kepi i pas. Po otwarciu taki widok witał starego. Jeśli panował bałagan, szafka po potężnym kopie leciała na drugi koniec pokoju.

Legionista do pięciu lat służby nie mógł wyjść na przepustkę w cywilkach. Wszędzie miał dumnie prezentować mundur. Tego jednak ściśle nie przestrzegano, bo jak tu iść w mundurze i kepi do burdelu albo na dyskotekę. Najpopularniejsze były plastikowe siateczki z cywilkami.

Doda: Przy obchodzeniu tego przepisu działały się prawdziwe cyrki. W „dziadówce” niosło się ciuchy i potem taksówką na dworzec. Taksówką, bo stary mówił, że legionista nie może chodzić, tylko musi jeździć taksą. Na dworcu w kiblu przebieranie. Później na dworcach porobili repasaże i z przebieraniem się nie było problemu. A potem już tylko impreza i jakoś trzeba było wrócić do pułku.

Dżambodżetem do Mogadiszu

Zabawa w Dżibuti trwała miesiąc. Raptem wybuchła Somalia. Był grudzień 1992 roku. Środek nocy. Akurat weekend się zaczynał i cały pułk szalał na imprezie w mieście. Większość legionistów była już porządnie wstawiona. Kiedy police militaire przywiozła chłopaków do jednostki, dowódca nie mógł na nich patrzeć.

– Nikogo nie puszczać w takim stanie. Ładować pod prysznic i mają w ciągu godziny wytrzeźwieć! – krzyczał.

Doda już wiedział, że to nie są ćwiczenia, choć nadal w czubie szumiały mu kolejki whisky. Szybko trzeźwiał po gorących chwilach z boską i piekielnie czarną Murzynką, na którą wołał Sara. Zapach kobiety miał jeszcze pod nosem, gdy wbijał się w mundur. Był normalny alarm bojowy.

Nad ranem, gdy legioniści nieco wytrzeźwieli, żandarmeria ustawiła wszystkich na placu.

Stary ogłosił:

– Czarni zaatakowali ambasadę francuską w Mogadiszu. Będzie interwencja. Lecą Amerykanie i Francuzi.

To część międzynarodowej operacji ONZ „Przywrócić nadzieję” w Somalii podczas wojny domowej, która ogarnęła to państwo. Lata wojen między klanami doprowadziły do głodu na niespotykaną dotąd skalę. Umierały setki tysięcy Somalijczyków, a ONZ, wspierane przez wojska amerykańskie, nie dawało sobie rady z ochroną konwojów z żywnością. Interwencja ruszyła już na początku grudnia, ale tuż przed świętami Bożego Narodzenia oddziały somalijskiej milicji zaatakowały ambasadę. Tego prezydent Francji François Mitterrand nie mógł

darować. Zapadła decyzja o wysłaniu do Mogadyszu kilku pułków Légion Étrangère.

W jednostce zaczęła się gorączka. Pakowanie sprzętu, amunicji i broni. Zapadła też błyskawiczna decyzja: w Wigilię Francuzi zarekwirowali pasażerskiego dzambodżeta. Jedynie taki wielki rejsowy samolot mógł zabrać na pokład kilkudziesięciu dodatkowych pasażerów. Kiedy uzbrojeni w karabiny i objuczeni sprzętem wchodzili na pokład boeinga 747, wybuchła panika. Stewardesy musiały uspokajać nielicznych pasażerów. Cywile bali się groźnie wyglądających żołnierzy. Pytali, czy wybuchła wojna. Nie spodziewali się takiego towarzystwa. Wpadli w jeszcze większą panikę, gdy stewardesy wytłumaczyły, że samolot zmieni trasę, bo legionistów trzeba wysadzić w Mogadyszu. Kilkadziesiąt minut później gigant przyziemił na docelowym lotnisku. Na miejscu nie było rękawa. Najpierw kilku legionistów zsunęło się po linach na ziemię. Wreszcie do samolotu przytargano schody, które akurat stały koło wejścia do hangaru. Dopiero wtedy wojsko się wysypało i widać było, ilu legionistów wsiadło na pokład. Szybko zbiegli na ziemię i ustawili się w drużynach.

Już na miejscu okazało się, że Amerykanie przyplłynęli okrętami dzień wcześniej. Legia miała chronić lotnisko. Potem zrobił się taki ruch, że siadał samolot za samolotem. Przylatywały kolejne jednostki i ciężki sprzęt. Doda czuł, że teraz to naprawdę jest na wojnie. I dotarło do niego, że to definitywny koniec imprezy w Dżibuti. Legioniści dostali rozkaz: mają jechać do ambasady francuskiej. Ryszard trafił do kolumny transportowej. Miał prowadzić dwutonową ciężarówkę Berlieta z lat pięćdziesiątych z amunicją. Stary model, ale powszechnie używany przez armię francuską. Już na lotnisku legioniści dostali ostrą amunicję. Na wozach wylądowały setki tysięcy pocisków do broni automatycznej.

Do ambasady mieli kilka kilometrów. Wojsko ruszyło z buta. Za żołnierzami jechały ciężarówki z amunicją. Ulice były wyludnione. Przez powybijane okna zniszczonych budynków wyglądali ciekawscy.

Doda: Miejscowi się pochowali. Jak nasi kogoś złapali z bronią, to zabierali kałacha, bo najczęściej z taką bronią biegali, i wrzucali na ciężarówkę. Po drodze do ambasady nie było większych problemów.

Stu pięćdziesięciu legionistów dotarło do opuszczonej francuskiej placówki. Żołnierze mieli zająć budynek i bronić go przed milicją i dzikim tłumem. Dwa plutony z bronią ciężką zasiadły na dachu. Ci wokół ambasady rozłożyli drut

kolczasty i schronili się w półksiężycu. Doda siedział w środku. Był padnięty i przysypiał w jednym ze zniszczonych pokoi na pierwszym piętrze budynku. Nie przeszkadzały mu pojedyncze strzały. Po kilku godzinach w Mogadiszu ten tępy odgłos wydawał się czymś normalnym. Człowiek szybko się przyzwyczaja do nienaturalnych dźwięków. Ze snu obudziła go dopiero kanonada. Nieprzytomnym wzrokiem wyjrzał przez okno i zobaczył kumpli, którzy walili z famasów i cięższych karabinów do pędzącej na gmach ciężarówki. Nie była oświetlona. Miała rozbite reflektory. W bladym świetle księżyca widać było jedynie jej zarys. Pociski przebiły szoferkę, która w świetle szperacza wyglądała jak dymiące sito na kółkach. Dodatkowo auto oświetlały rozbłyски pocisków. Ostrzał trwał, ale ciężarówka nadal pędziła w stronę ambasady. Legioniści byli jak w amoku. Nagle ktoś strzelił pociskiem przeciwpancernym. Pocisk odbijał się od asfaltu, jak kaczka na powierzchni jeziora, i wpadł wprost pod furgon. Ekspłodował. Siła wybuchu wyrzuciła ciężarówkę w powietrze i rozerwała na kawałki, które spadły z hukiem na ziemię. Było pewne, że kierowca nie żyje. Natychmiast zbiegli się miejscowi. Rozległy się krzyki rannych. Na miejscu zginęli kierowca i pasażer ciężarówki, a czternaście osób zostało rannych.

Doda: Z tego stresu wystrzelaliśmy chyba ze dwa i pół tysiąca pocisków. Tylu ludzi napierdalało na oślep. Walili z biodra, nie z biodra, byle strzelać. Potem się okazało, że czarnym hamulce wysiadły. Pierwszy strzelił wartownik. Jak on oddał strzał, to zaczęła się kanonada. I tak poszło, jak lawina. Była psychoza, że w ciężarówce może być trotyl, że gość wjedzie w budynek i się wysadzi. Mówiono nam o tym na szkoleniach, więc kto mógł, to napierdalał.

Francuzi siedzieli w Mogadiszu dwa dni. Powoli uformował się cały pułk. Na miejscu było sześciuset chłopów, nie licząc kompanii czołgów. Wtedy przyszedł rozkaz wyjazdu pod granicę kenijską. W Mogadiszu zostawali sami Amerykanie. Legioniści mieli do przebycia czterysta kilometrów. Doda znowu wylądował w kolumnie transportowej.

T-34 stoją na pustyni

Problem polegał na tym, że w Somalii nie ma dróg asfaltowych. Całą trasę musieli pokonać szutrówkami. W pułku panowała psychoza - nie było z nimi saperów, a w ubitej ziemi można minę zakopać i nie będzie jej w ogóle widać. Co innego na asfalcie - krzywy krawężnik już może być podejrzany. Na wypalonych

afrykańskim słońcem szutrówkach nie mieli szans dojrzeć w porę zagrożenia. Pierwszego dnia legionistom udzieliła się atmosfera strachu po strzelaninie w Mogadiszu. Wszyscy mieli na głowach hełmy, a broń przyciskali do kamizelek kuloodpornych. Krajobraz nudził monotonią. Niskopiennie drzewa i suche zarośla. Na szczęście nie było gór, więc w głowach krążyła jedynie myśl o minach, nie trzeba było obawiać się zasadzek. Następnego dnia stres zaczęło przełamywać disco płynące z głośników, które zabrali ze sobą legioniści. Muzyka i wygłupy nieco rozluźniły zawieszistą atmosferę. Z głów powoli znikwały hełmy. Pył spod kół ciężarówek wciskał się do oczu i zamazywał twarze. Kurz wdzierał się w każdy zakamarek ciała. Był nie do opanowania. Nie było może zbyt gorąco, ale żołnierze głównie pili wodę. Ze stresu odechciewa się jeść.

Podróż trwała dwa dni, bo nie dało się jechać szybciej niż trzydzieści kilometrów na godzinę. Kolumna w kłębach pyłu wolno posuwała się w stronę Kenii. Mieli dotrzeć do niewielkiej wioski – Ładzi – na płaskowyżu przy granicy. Jakiś kilometr przed osadą legionistom ukazał się niesamowity widok, jakby przeniesiony z filmów o II wojnie światowej. Pośrodku pustkowiecia smażyło się w piekielnym słońcu na równinie kilkadziesiąt opuszczonych czołgów. Kurz przysypywał sowieckie T-34, przypominające muszle ślimaków shermany i wszelkiej maści działa i haubice przeciwpancerne. Muzeum broni pancernej – to pozostałości po brygadzie somalijskiej. Żołnierze regularnego wojska uciekli przed rebeliantami. Zdążyli zabrać jedynie karabiny. Czołgi zostały, bo wojacy wiedzieli, że z powodu braku paliwa daleko nie zajadą, a rebelianci, gdy ich złapią, wszystkich wytną w pień.



Somalia, pustkowia przy granicy z Kenią. Ryszard w transporterze opancerzonym

Kompania Dody została tuż koło osady na płaskowyżu. Powstał obóz dla stu dwudziestu ludzi. Namiot starego stanął na środku. Wokół legioniści rozłożyli zasieki. Inne kompanie poszły bliżej pod granicę. Założyły bazy i wysyłały plutony na zasadzki w terenie. Kompania transportowa miała dostarczać prowiant i wodę do przyczółków. Jeśli się nie dało dojechać, to wojsko wysyłało lotnictwo. Najbardziej deficytowy towar w Somalii – woda – przylatywał w kontenerach w transportowych transallach, które wyglądają na otyłe. Wielkie, przypominające trzmielę maszyny siadały na prowizorycznym lotnisku.



Ucieczka przed burzą piaskową

Doda : Woda przylatywała w baniakach, a nam dowozili w kontenerach. Jednak to cholera, nie woda, bo była gorąca jak wrzątek. Naszym zadaniem było rozwożenie prowiantu. Transporty były praktycznie codziennie. Zdarzało się, że jechaliśmy do naszych przyczółków bez żadnej eskorty. Jedynie dżipek z dwoma żołnierzami i ja. Czasem miałem kogoś obok siebie, czasem nie. Zwykle wóz był pełen amunicji lub żarcia. Jechało się po sto trzydzieści kilometrów do baz kompanii, a oni dżipami rozwozili wszystko na zasadzki w terenie.

Japończyk krzyczał na dachu: *Banzai!*

Podczas transportów zdarzały się incydenty. Rebelianci ostrzeliwali z daleka konwoje i zaraz znikali. Czasami próbowali podrzucić sowiecką minę. Nie zdecydowali się na starcie wprost, bo dysponując jedynie lekką bronią, nie mieliby szans. W ciągu czterech miesięcy w Somalii Ryszard raz miał prawdziwego pietra. Oczywiście podczas konwoju. Tego dnia wiedzieli, że jadą w niebezpieczny rejon, gdzie klany atakują żołnierzy ONZ. Transport liczył trzy ciężarówki i chronił go pluton żołnierzy. Na przedzie pędził dżip z karabinem maszynowym. Dodatkowo legionieści ustawili rozpylacze na dachach ciężarówek. Po drodze mijali się z Australijczykami, którzy wjechali do wiochy w zagrożonym terenie. Kiedy samochody zginęły w tumanach kurzu, od strony osady dały się

słyszeć strzały. Początkowo pojedyncze, które po kilku sekundach przerodziły się w kanonadę.

Konwój się zatrzymał. Dowódca rozkazał uformować szyk bojowy. Trzy ciężarówki ustawiały się w linii.

Doda się uśmiecha: To wyglądało jak bonanza. Docisnąłem gaz do dechy i dzida do wioski. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje z Australijczykami. Stary powiedział, że możemy wszystko z ziemią zrównać. Jak nie można strzelać, to taranować. Jak Australijczycy nas zobaczyli w tej furii, początkowo myśleli, że to czarni idą ziomkom z odsieczą. A my rozjechaliśmy tę wiochę, kawałek dalej po hamulcach i nawrót. Jak poprawiliśmy, to już cisza zapadła w osadzie. Japończyka miałem na dachu, tylko krzyczał: „Banzai!”. Czułem się jak w jakimś filmie. Istne szaleństwo. Wtedy jedyny raz czarni próbowali nas skubnąć, ale jak im daliśmy jazzu, to już wiedzieli, że z Legią nie ma żartów. Trzymali się z daleka od zielonych beretów.



Legioniści przed patrolem. Doda trzeci od lewej

Legia podobnie nie patyczkowała się z jeńcami. Co jakiś czas trafiał się rebeliant-maruder, którego siłom ONZ udawało się zatrzymać. Oficjalnie nikt nie stosował tortur, ale to fikcja. Jak się ma jeńca, to trzeba z niego coś wydobyć, jeśli nie chce sam gadać. Poza tym po zadaniu bólu człowiek jest bardziej prawdomówny. Amerykanie podtapiali. To metoda wymuszania zeznań, która po latach wypłynie z tajnych raportów CIA. Legia miała swoje metody. Kompania Dody szczyła się Imazem. To Turek, któremu nikt się nie oprze, jak żartobliwie mawiali kumple z plutonu.

Doda: Nie widziałem czarnego, który by dwadzieścia minut wytrzymał i nie zaczął sypać. Imaz miał proste metody: wiązał dwa druty kolczaste do rąk, trzeci do jaj i przyczepiał do dżipów.

– To ruszać, panowie, podnosimy chuja – nakazywał innym legionistom.

Reszta oczywiście miała niezły ubaw. Imaz specjalnie jeńców nie męczył, bo kto długo coś takiego wytrzyma? Każdy zaczynał śpiewać, jak drut lekko przecinał mosznę. Cierpienie było nie do wytrzymania, a dodatkowo rozebranie muzułmanina do naga to straszliwa zniewaga. Widząc wielkiego Turka, pojmani wiedzieli, że z nim nie będzie żartów. Nawet nie trzeba było zbyt wiele delikwentowi pokazywać. Od kogoś dowiadywał się w ojczystym języku, co się z nim będzie działo, gdy Imaz da rozkaz rwania jąder. Od razu sam pokazywał na mapę i ujawniał zasadzki rebeliantów.



Legia miała różne niekonwencjonalne sposoby na rozminowywanie pustyni. Kto wpadł na taki pomysł? Trudno powiedzieć. Żołnierze mieli niewiele do gadania, bo rozkaz był rozkazem.

Puszki z czasów I wojny światowej

Jednemu Ryszard nie potrafi się nadziwić. To tak zwana pomoc humanitarna. W Somalii szalał głód, bo bojówki generała Mohameda Farraha Aidida kontrolowały Mogadiszu i przechwytywały część transportów z żywnością. Siły ONZ nie były w stanie chronić wszystkich konwojów. Bojówki regularnie napadały na ciężarówki i mordowały kierowców i pracowników misji. Ludzie Aidida reglamentowali żywność jedynie wśród kolaborujących klanów. Ci, co byli przeciwko niemu, głodowali. W ten sposób milicja Aidida sterowała buntem w Mogadiszu. Jak szacowały organizacje humanitarne, z głodu umarło trzysta tysięcy ludzi.

Oddzielną kwestią było to, co przylatywało do Afryki. Legioniści brali udział w rozdawaniu żywności ludności cywilnej, więc widzieli, jakie towary stara

Europa przeznaczona dla głodujących Afrykańczyków.

Doda: To oszustwo, które nazywa się pomocą humanitarną. Ktoś gigantyczną kasę na tym tłucze, a ludzie z głodu umierają. Sam sposób dystrybucji jest chory. To, co dają, jest zepsute. W Somalii widziałem konserwy z czasów I wojny światowej. Poza tym gdzie do Afryki konserwę wysłać? Po tygodniu taka puszka to był granat. To było gwałtownie mrożone, leżało gdzieś w chłodniach, a potem my ładowaliśmy to na zwykły samochód i wieźliśmy do wioski w temperaturze pięćdziesięciu stopni Celsjusza w cieniu. Na misjach ONZ ktoś tylko robi pieniądze, a my tylko udajemy, że pomagamy.



Transporty z żywnością przylatywały na prowizoryczne lotniska. Ktoś robił świetny biznes na akcji humanitarnej, bo trafiały się puszki z mięsem sprzed siedemdziesięciu lat, które w upalnej Afryce wybuchały jak granaty.

Doda i inni legioniści byli wstrząśnięci, patrząc na umierające z głodu dzieci i niemoc Europejczyków. Nawet młody żołnierz widział, że system szwankuje. Nic nie działało tak, jak powinno. Tryby maszyny jedynie miały gigantyczne środki, a niewiele z tego wynikało. Konserwy sprzed ponad siedemdziesięciu lat tylko potęgowały w człowieku wściekłość. Podobnie wyglądała pomoc medyczna

– Lekarze bez Granic nie mieli lekarstw. Na każdą chorobę było jedno lekarstwo – Pyralgina. Tego medycy mieli pod dostatkiem. Ale to jedyne, czym dysponowali. Zresztą i tak gdy czarnoskóry mieszkaniec Somalii widział tabletkę, to od razu zdrowiał. Opatrywanie ran to znowu kpina – brakowało bandaży i łapiduchy owijały pocięte kończyny papierowymi ręcznikami, a potem zalepiały gipsem.

Zapach rzezi w Rwandzie

W kwietniu legionieści wrócili z Somalii do Dżibuti. Na miejscu zastąpili ich Włosi. Długo nie pozostali jednak w „kurorcie”. Wkrótce przyszedł rozkaz wyjazdu do Rwandy. Tam zaczynała się rzeź Tutsich. W niewielkim kraju w centralnej Afryce wybuchła masakra na niespotykaną skalę. Wiosną ze stolicy, Kigali, ewakuowano zagranicznych obserwatorów. Zamykały się też kolejne ambasady. Ekstremiści z plemienia Hutu nie oszczędzali nikogo – w walkach zginęło też dziesięciu belgijskich żołnierzy. Dojazd do stolicy graniczył z cudem, bo na drogach płonęły setki barykad wzniesionych przez Hutu. Uzbrojeni w maczety i drągi nabijane gwoździami wycinali Tutsich.

Masakra była jak pandemia. Szaleństwo zarażało nawet spokojnych mieszkańców. Musieli zabijać, by sami nie zostali zabici. Obłęd ogarnął cały kraj. Siły ONZ nie radziły sobie z bojówkami Hutu. Sąsiedzi zabijali sąsiadów w domach. Ci, którzy nie włączali się w morderczy taniec, też ginęli. Nie było miejsca na jakiegokolwiek ludzkie odruchy wobec znajomych czy sąsiadów. Mordowano kobiety w ciąży, którym rozcinano brzuchy i wywlekano z nich płody. Biegające ulicami hordy młodych mężczyzn gwałciły kobiety i dziewczynki. Potem je mordowały. Kiedy było szkoda czasu na zarzynanie maczetami, spędzało się ofiary do jednego domu i podpalało.

Doda, podobnie jak inni żołnierze, nie wierzył w to, co widział. Ogrom rzezi porażał zmysły i trudno było pojąć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Stosy ciał wydawały się nierealne, ale jednak można ich było dotknąć. Zwłoki zmasakrowane maczetami, bez rąk i głów, które walały się gdzieś wokół, jakby miały dopełnić chaosu.

Łzy same płynęły z oczu, gdy widzieli zaszlachtowanych ludzi. Żołądek się skręcał, a przed oczami pojawiały się białe plamy. Nogi ugiwały się pod człowiekiem, a żeby ustać, musiał się czegoś złapać. Niektórzy legionieści nie wytrzymywali i wymiotowali. Byli na granicy omdlenia.

Czegoś takiego żołnierze Legii jeszcze nie widzieli. Oczy im wychodziły z

orbit od tego szaleństwa. Wielu chłopaków było w szoku.

Dotychczas Ryszard widział stopy ludzkich ciał jedynie na zdjęciach dokumentujących zagładę Żydów z okresu II wojny światowej. Teraz holokaust oglądał na żywo. Za szybami ciężarówki obrazy przewijały się w tumanach kurzu jak surrealistyczna, upiorna fototapeta. Ta apokalipsa działa się naprawdę.

Było potwornie gorąco. Leżące przy drogach zwłoki szybko gniły. Kłębiły się wokół nich roje much, które wlatywały oburzone, gdy ktoś im przerywał ucztę. Ciałami pożywiały się też stada sępów i marabutów. Gdy legioniści jechali w kolumnie, to z daleka widzieli, gdzie pustkowie będzie usłane trupami.

Smród gnijących ciał jest specyficzny. Tego zapachu nie da się porównać z żadnym innym. Przesiakały nim ubrania i skóra. Ogarniał wszystko na swej drodze i nic nie było w stanie go zatrzymać. Trupi odór osiadał na włoskach w nosie i po kilku godzinach przebywania w takim otoczeniu miało się wrażenie, że człowiek cały cuchnie śmiercią. Może nawet nie śmiercią, bo ta nadal pozostawała abstrakcją, ale czymś znacznie gorszym – rozkładem i kompletną dezintegracją, które nabierały realnego wymiaru w palącym słońcu Rwandy. W Afryce fetor jest jeszcze bardziej intensywny. To przez ten cholerny upał. Powietrze stoi, jak wielkie betonowe płyty smrodu. Spowija ludzi, drzewa i ptaki.

Ryszard wachał rękawy, przedramiona i dłonie. Nie dotykał rozkładających się ciał, ale zalatywał tym fetorem zagłady. Jego kumple z plutonu też nie mogli otrząsnąć się z szoku. Z ciężarówek patrzyli na apokalipsę. Nie potrafili wydusić z siebie słowa, bo słowa zostawały w gardle, a na zewnątrz wydostawał się z wypuszczanym powietrzem jedynie świst przerażenia.

Doda: W Rwandzie wielu z nas przeżyło szok. Jak wjeżdżaliśmy do tego niewielkiego państewka, dokładnie nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać. Dowódca, który miał już rozkazy ze sztabu i szerszą wiedzę, powiedział, że mamy carte blanche.

– Możecie robić, co chcecie. Macie tylko przeżyć. Wszyscy wyjeżdżacie i wszyscy macie wrócić – mówił.

Gdy legioniści wjeżdżali do Rwandy, milicyjne bojówki Hutu były rozbastwione i dzikie. Zachowywali się jak piranie, gdy dopadną ofiarę. Byli wściekli i na nic nie zważali. Chcieli tylko kasać i mordować. Potrafili zatrzymać konwój ONZ, który wywoził prześladowanych Tutsich. Wywlekali ich z samochodów i zarzynali na oczach żołnierzy w niebieskich hełmach. Ci nawet nie protestowali. Mieli w pamięci to, co spotkało kilka dni wcześniej Belgów w Kigali, kiedy chronili premiera.

Doda: Zadanie było proste. Mieliśmy wyciągnąć stamtąd wszystkich białych. W jednej z wiosek zginęły dwie polskie siostry. Z winy księdza. Nie pamiętam, z jakiego kraju pochodził. My chcieliśmy je zabrać, ale ksiądz stwierdził, że ma tak dobre kontakty z Hutu, że nic im nie grozi. Zdążyliśmy odjechać jakieś dziesięć kilometrów, gdy usłyszeliśmy przez radio wezwanie o pomoc, ale jak wróciliśmy, to już nie żyły. Maczetami wszystkich wyrznęli.

Legioniści w Rwandzie nie przebierali w środkach. Działali tak, jak polecił dowódca – najpierw strzelali, a potem pytali. Na dachach wozów mieli karabiny maszynowe. Gdy tylko widzieli barykady na drodze, od razu strzelali. Nawet się nie zatrzymywali. Walili seriami. Dość szybko wśród miejscowych rozeszła się wieść, że z „gośćmi w zielonych беретach” nie warto zadzierać. Nie są tak bezwolni jak wojska ONZ w niebieskich hełmach. Legia na swoich pojazdach miała charakterystyczne zielone proporce i po kilku bezwzględnych akcjach bojówki Hutu najwyraźniej zaczęły się bać żołnierzy Légion Étranger. Nawet nie zbliżały się do jadących przez górzyste tereny konwojów. Legioniści czuli się na tyle pewnie, że nie nosili kamizelek kuloodpornych. Przez cztery tygodnie nie doszło do poważniejszych incydentów.

Ryszard wrócił cały do Dżibuti. Był szczęśliwy, że zakończył misję w tym koszmarze. Nawet po latach nie chce mu się wierzyć, że widział takie okropieństwa. Podczas masakry w Rwandzie zginęło około miliona osób. Dokładna liczba nie jest znana.

Rozdział V

Zygmunt dostaje w twarz białą rękawiczką

Sylwestra 1951 roku Wojtczak spędził w więzieniu w Sajgonie. Cella miała kilka metrów kwadratowych i po prawdzie była wybetonowanym dołem. Bardziej przypominała dziurę do złożenia trumny. Nie miała sufitu, tylko wielką metalową kratę, która była jednocześnie wejściem do tej nory. Przesuwało się ją jak wieko studzienki. Wewnątrz śmierdziało. Cuchnęło moczem i kałem, bo nikt nie sprzątał odchodów. Nie było żadnych prycz. Więźniowie spali w łachmanach na klepisku. Klawisze wrzucali im odpadki. Dawali jedynie tyle, żeby więźniowie nie padli z głodu. Ci jak zwierzęta jedli wprost z ziemi. Zygmunt nie był sam. W norze siedziało z nim dwóch Japończyków. Nie mogli jednak ze sobą rozmawiać, bo klawisze kazali im zachowywać ciszę. Za każde niepotrzebne słowo można było dostać chłostę.

Zygmunt nic nie czuł. Chciał, żeby ten koszmar jak najszybciej się skończył. Nie wiedział, czy nie lepiej by było, gdyby zginął razem z Czechem, który w dżungli rozerwał się granatem. Człowiek zaszczuty i traktowany jak zwierzę popada w wewnętrzną rezygnację. Teraz było mu już obojętne, co z nim zrobią. Byleby tylko więcej nie cierpieć. Byle skończyło się bicie i poniżanie. Apatia pozwalała zapomnieć o głodzie. Przez kilka dni żywił się resztkami, ale ze stresu i tak nie dawał rady jeść.

Gdy tak leżał na klepisku, wiedział, co go czeka. Za dezercję w Legii podczas działań wojennych jest jedna kara - śmierć. Zygmunt nie wiedział jednak, czy pozwolą mu doczekać sądu. Podejrzewał, że po prostu zatłuką go na śmierć gdzieś w tych kazamatach.

Po dwóch tygodniach klawisze zaprowadzili go do oficera śledczego. Wysoki i przeraźliwie chudy Francuz nic nie mówił. Uśmiechając się, podszedł i z całej siły przywalił pięścią w brzuch. To takie przywitanie, żeby od razu na początku przesłuchania zmiękczyć podejrzanego i pokazać mu, gdzie jego miejsce. Zygmunt padł na ziemię jak ścięty. Nie mógł złapać oddechu. Zwymiotował wodą, którą klawisze dali mu przed wprowadzeniem do oficera. Do metod Legii

już zdążył się przyzwyczać. Uderzenie było jednak silne i niespodziewane, a do bólu ciężko przywyknąć. Za każdym razem, gdy jest zadawany, czuje się go na nowo i może się zmieniać tylko jego natężenie. Szybko rozlewa się po całym ciele. Wojtczak mimowolnie napinał mięśnie brzucha i chronił głowę w oczekiwaniu na kolejny cios. Zwykle po powaleniu zaczynała się kanonada kopów. Oficerowie potrafili bić bez opamiętania i zmasakrować ciężkimi buciorami. Kolejne ciosy jednak nie nastąpiły. Ciszę przerwał głos Francuza.

– Pójdiesz pod sąd. Podpisz akt oskarżenia, to może okazać ci łaskę. Nie podpiszesz, to nie wyjdiesz żywy z tego pomieszczenia – powiedział, nerwowo uderzając bambusowym kijem w stół.

Wojtczak wiedział, że chudzielec nie żartuje. Miał świadomość, że dla tych bandytów w mundurach wykończenie jakiegoś Polaczka nic nie znaczy. Ot, kolejny aresztant, który padł po ciężkim ataku malarii. Później tylko odhacza się trupa w statystykach. Jest wojna i muszą być ofiary. Jego wyjazd do Wietnamu to przypadek i niefortunny zbieg okoliczności. W życiu nie chciał walczyć w żadnej wojnie. Tym bardziej za Francuzów gdzieś w odległych Indochinach. To jednak teraz nie miało znaczenia. Decyzja o podpisaniu aktu oskarżenia mogła zaważyć na tym, że jeszcze przez jakiś czas będzie żył. I co ważniejsze – skończy się bicie.

Kiedy oficer rzucił mu na ziemię papiery, Zygmunt ścisnął je w brudnej dłoni, po czym usiadł na krześle przed stolikiem Francuza.

– Wszystko podpiszę – wydukał.

Dwa miesiące później stanął przed sądem wojskowym w Sajgonie. Był oskarżony o dezercję i zdradę. W jego sprawie nie prowadzono żadnego śledztwa. Akt oskarżenia był oparty na wymuszonych zeznaniach.

Wojtczak: Sądzone mnie razem z Ludwikiem Madejem spod Kraśnika. W czasie II wojny światowej walczył w armii Andersa. Był ciężko ranny w głowę pod Monte Cassino. Proces nie przypominał normalnej rozprawy. Adwokata, który chciał nas bronić, w ogóle nie wpuszczono na salę sądową, bo żądał śledztwa.

Wszystko toczyło się w ekspresowym tempie. Nie było świadków, obrońców, a sędziowie jedynie czytali akta sprokurowane przez oficerów śledczych. Obu Polakom pozrywano z mundurów wszelkie odznaczenia wojskowe. Nie dopuszczono ich do głosu.

Gdy przewodniczący składu odczytał wyrok, pod Wojtczakiem ugięły się nogi. Nieporadnie oparł się o barierkę, żeby nie przysiąść z wrażenia. „Kara śmierci”

– brzmiało jak nierealny sen. Te dwa słowa długo rozbrzmiewały mu w głowie, która pulsowała, jakby za chwilę miała pęknąć. Madej miał więcej szczęścia, bo Francuzi podejrzewali, że prowodyrem był Wojtczak. Uniknął kary śmierci. Dostał dwadzieścia lat ciężkiego więzienia.

Już po odczytaniu wyroku do Zygmunta podszedł chudy oficer, który wymuszał od niego przyznanie się do winy. Uderzył go w twarz białą rękawiczką. To oznaczało usunięcie z Légion Étrangère.

Po wyroku Zygmunt trafił z powrotem do podziemnego więzienia w Sajgonie.

Wojtczak: Przez dziewięć miesięcy byłem przykuty łańcuchem do metalowej rury. Mogłem jedynie wstać i usiąść. Nie było żadnych spacerów. Obok mnie w takich samych warunkach siedzieli inni dezenterzy i Japończycy skazani na śmierć za zbrodnie wojenne. Nory, w których nas trzymano, zwykle były przepełnione i nie było szans na to, żeby się trochę poruszać. W takich warunkach człowiek nie jest w stanie myśleć. Po prostu czeka się na śmierć, choć tę każdy inaczej przyjmował. Pamiętam, że Japończycy wyprowadzani przed pluton szli ze śpiewem na ustach.

Zygmunt czekał na wykonanie wyroku, ale egzekucja nie następowała. Przez dziewięć miesięcy nic się nie zmieniło – podziemna cela i wegetacja z innymi skazańcami.

Wojtczak: Potem stał się cud. Dzięki temu, że jestem Polakiem, zostałem ułaskawiony. Karę śmierci zamieniono mi na dożywotnie więzienie. Byłem tak wykończony, że nawet się specjalnie nie cieszyłem. Przez te dziewięć miesięcy poniżenia zniszczyli mnie jako człowieka. Dziś trudno mi nawet opisać słowami, co się czuje w takiej chwili. Kiedy zamieniono mi karę śmierci na dożywocie, to mimo całego upodlenia gdzieś w środku tliła się nadzieja, że kiedyś uda mi się wyjść na wolność i wrócić do Polski. Choć może trudno w to uwierzyć, to marzyłem, żeby wrócić do Gdyni i nawet odsiedzieć wyrok za przemyt w polskim więzieniu. Ktoś, kto nie był przetrzymywany w kazamatkach w Indochinach, nie może nic wiedzieć o warunkach, jakie tam panują.

Był rok 1952. Na pokładzie francuskiego frachtowca Wojtczak został przetransportowany do Marsylii. Znowu trafił do miasta, gdzie zaczęła się jego przeklęta przygoda z Legią Cudzoziemską. Po ułaskawieniu miał odsiedzieć dożywotni wyrok we francuskim więzieniu. Odsiadkę zaczął w kryminale Baumettes w Marsylii. Tam rozpoczął też walkę o odzyskanie wolności z

francuskim wymiarem sprawiedliwości...

* * *

Zygmunt miał szczęście. W kryminale spotkał znajomego Francuza z Wietnamu. On też odsiadywał karę za dezercję. Znał historię Zygmunta i wiedział, że Polak jest trzymany za kratami bezprawnie. Pomógł mu nawiązać kontakt z adwokatem. Na spotkanie wyraził zgodę dyrektor. Widzenie zostało zaplanowane.

Wojtczak: Jak dziś pamiętam, że adwokat miał przyjechać w czwartek, a we wtorek zapakowano mnie do więziennej kibitki i przetransportowano do Nîmes. Nikt nie tłumaczył, czemu uniemożliwiono mi spotkanie z adwokatem. Po prostu rano do celi wpadli klawisze, skuli mnie w kajdanki i zabrali. W Nîmes przesiedziałem pół roku. Jedyne, co wskórałem, to załatwiłem kontakt z polskim konsulatem w Marsylii. Urzędnicy chcieli moje zdjęcie, żeby potwierdzić tożsamość.

Zygmunt poprosił dyrekcję więzienia o możliwość zrobienia fotografii. Nie wiedział jednak, że jest więźniem pod specjalnym nadzorem. Francuzi chcieli za wszelką cenę ukryć jego historię i uniemożliwiali mu kontakt z konsulem. Zaraz po prośbie o wykonanie fotografii przenieśli go do ciężkiego więzienia wojskowego w Caen. Zygmunt się nie poddawał. Pisał listy do Polskiego Czerwonego Krzyża. Władze aresztu cenzorowały pisma i dokładnie wiedziały, czego domaga się Polak. Kiedy pracownicy PCK chcieli odwiedzić Wojtczaka, już go nie było w Caen. Po dwóch miesiącach został przetransportowany do więzienia w podparyskim Poissy.

Wojtczak: Nie poddawałem się. Walczyłem o uchylenie dożywotniego wyroku. Po kolejnej apelacji zamieniono go na dwadzieścia lat więzienia. To szmat czasu, ale ciągle miałem nadzieję, że uda mi się wrócić do kraju. W więzieniu pracowałem. Zajmowałem się kowalstwem, bo formalnie taki miałem zawód. Kolejne pisma odniosły skutek. Za dobre sprawowanie skrócili mi karę o siedem lat. Koniec końców przesiedziałem we francuskich więzieniach jedenaście lat życia... – kończy, płacząc.


Karta repatriacyjna Nr 103422

1. Nazwisko *Hofezak*
 2. Imiona *Sygnunt*
 3. Imiona rodziców *Adam i Sofia*
 4. Data urodzenia *25 sierpnia 1920 r.*
 5. Miejsce urodzenia *Gambin pow
Gostyn woj. warszawska*
 6. Zawód
uspuzczony *b. zarobku*
ostatnio wykonywany *konar*
- Przybył do PRL z *francji*
dnia *16* miesiąca *listopada* 195*6* r.



podpis

A No 103422

<p>Kartę Repatriacyjną wydano dnia <u>21</u> miesiąca <u>listopada</u> 19<u>61</u> r. w Punkcie Repatriacyjnym _____ Wojewódzkim Zarządzie Spraw Wewnętrznych w <u>Gdańsku</u> na podstawie dokumentu <u>Paszport</u> <u>Komunisty Sonia R.D. II</u> Nr <u>044524</u> wystawionego przez <u>Komisarza Generalnego P.R.L.</u> <u>M. Paszportu</u>   - 2 -</p>	<p>Kartę Zdrowia wydano dnia <u>21</u> listopada 19<u>61</u> r. PREZYDIUM WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ w GDAŃSKU Repatriacyjny Punkt Przeglądu w Gdyni  Dowód osobisty Nr <u>1447402</u> wydano dnia <u>13. lipca</u> 19<u>62</u> r. w Komendzie Milicji Obywatelskiej w <u>Gdyni</u>  - 3 - A № 193422</p>
--	---

Po powrocie do Polski Zygmunt Wojtczak otrzymał kartę repatrianta. W kraju wylądował nawet bez bielizny. Francuzi nie pozwolili mu niczego kupić, mimo że w więzieniu w Poissy pracował jako kowal i że udało mu się zarobić pokaźną sumę (jak na warunki PRL-u).

Trudno dziś powiedzieć, czy na złagodzenie wyroku miała wpływ klęska wojsk francuskich w bitwie pod Dien Bien Phu. W 1954 roku Legia Cudzoziemska wycofała się z Indochin, a porozumienia w Genewie podzieliły Wietnam. To był koniec kolonialnej potęgi Francji w Indochinach.

Zygmuntowi trzęsły się ręce, gdy pokazywał mi dokumenty wysłane do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Jego odsiadka została nagle przerwana jesienią 1961 roku. Kławisze zabrali go na lotnisko Orły. Powiedzieli tylko, że czeka go ekstradycja. Miał na sobie jedynie spodnie, koszulę i dziurawe buty bez sznurówek.

Pilnujący go policjanci nie pozwolili mu kupić bielizny, choć miał przy sobie kilkanaście tysięcy franków. Francuzi chcieli, żeby w papierach wszystko się zgadzało. Przed wejściem na pokład samolotu dali Zygmuntowi gotówkę, którą zarobił za więziennym murem.

Był 16 listopada 1961 roku, gdy samolot z Zygmuntem Wojtczakiem na pokładzie wylądował w Warszawie.



Zygmunt Wojtczak przy autobusie Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacji na Westerplatte w maju 1977 roku. Koledzy z pracy wołali na niego „Francuz”.

Zygmunt
Larykiewicz 29 i/1

Górny, dnia 16.11.1962

Do
Ministerstwa Spraw Wewnętrznych
w Warszawie

Totycki: odszkodowania od władz francuskich za nieprawne
sądzenie i odbycie długoletniej kary więzienia
w więzieniach francuskich.

Tro sprawy: - I dotyczy 1949r. jako robotnik portowy M-
Kupiec na statku szwedzkim od marynarza 8 kg. kadry pod-
nej nie zgłaszając to u celników. W czasie wynoszenia mój
pracy wykonał. Uszkała mnie kara rocznego więzienia i wysła-
żony. - 14.1.1949r. szwedzkim statkiem opuściłem niel-
galnie kraj na szwedzkim statku. Po opuszczeniu statku w
cji zostałem aresztowany i oddawiony do obozu pod Łotokh
Po 3 tygodniach uzyskalem azyl i prace w odlewni żelaza (S
głównie pracowałem do października 1949r. Na skutek informac-
gona face przez Władysław Uchodźców, jakoby Rząd Polski str-
sporoten od Emocji uciekinierów wywołuje nas i chcemy na
do złożenia funduszy na wyjazd do innych krajów. Podejrz-
ten, że to oszustwo i chce tylko wyłudzić pieniądze. Do 2
sie natomiast do konsulatu francuskiego, ponieważ do 100
Ten sie, że konsulat kieruje obywateli do pracy w Łotoku.
Konsulacie informo- no nas, że można zrobić kontrakt 3-
na nas i... (brzo nas 15) Janków i dzień
dni 43 sie wyobrazi i zostalo nas 2 (Regner Jerry z...
Konsulacie podpisywalismy kontrakt w języku francuskim
francusko, że jest to kontrakt 3-letni na prace w Łotoku
Parajuter otrzymalimy w konsulacie francuskim w Łotoku
bezpłatnie bilety kolejowe do Hamburga oraz adres gdzie
sie zgłaszać w przypadku oraz zaopiniowanie w języku franco-
kim. Hamburg po zgłoszeniu sie w wymienionym biurze be-
trudności otrzymalimy bilety do Offenburg (stacja skupie-
francuska) gdzie wg. informacji nas oczekujących miał być p-
zwany. Po zgłoszeniu sie w punkcie zbornym po godzinie
cy nas już nie wypuszczono. następnego dnia dostalim
nabici przez lekarzy i usunderowani przyozek odebrano na
szwedzkie dokumenty jak i cywilne ubrania. - Po zorientowa-
nie to jest marcia do Legii Cudzoziemskiej zostalimy odd-
mendante obozu zwrotu nowych dokumentów i ubrań i stalim
nas w obozu, ale bezskutecznie. Mówi nam, że tylko może
otrzymać w Karsylii, gdzie również możemy odebrać wyjazd
Legii i że tam nas dadzą powstany bilet. - Po przybyciu do
Karsylii zostalimy (około 40 ludzi) skoczaronami w forci
Legii Cudzoziemskiej. Po 4 dniach zostalimy wzmocni do b-
Wiedego w tymże forcie, gdzie nam przedstawiono 5-letni
kontrakt do Legii z krajem przesnaczenia Wietnam. Ja i m-
kolega odwołalimy podpisanie tego kontraktu, jeśli nam 2
czasu do namyślu, przy czym powtórnie nas wzmocno. Na skutek
nowy kontrakt dotychczas pusty i wrzucono mi, że jako ka-
nista zostałem wysłany na przesłpieci do Francji. - ko-
dano bezskutecznie mojej sytuacji uległem i podpisałem.
go kolega jak strażnik wykończył. W dniu podpisywania k-
tu uciekłem z fortu przez paron w celu znalezienia konsul-
polskiego w Karsylii, ale przychylono mi się przez fort...

Mimo parokrotnych prób uzyskania odszkodowania za niezgodny z prawem werbunek do Legii Cudzoziemskiej, pobyt w Wietnamie i wieloletnie więzienie władze francuskie nigdy nie odpowiedziały polskiemu MSW na pisma. Przez jedenaście lat Francuzi ukrywali, że więżą Polaka, i uniemożliwiali Zygmuntowi kontakt z polskim konsulem.

Wojtczak: Przez wiele lat więzienia czułem kompletną niemoc. Widziałem, że francuskie władze robią wszystko, żeby uniemożliwić mi kontakt czy to z prawnikiem, czy z polskim konsulem. Mimo to zawsze wierzyłem, że w końcu

uda mi się wyjść na wolność.

Po powrocie do Polski Zygmunt przez wiele lat pracował w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacyjnym w Gdyni. Początkowo kierował trolejbusami, a potem autobusami. W weekendy obwoził wycieczki górników wypoczywających na Wybrzeżu. Na emeryturze poświęcił się kolejnej pasji – ogrodnictwu.

Umarł 7 października 2011 roku we własnym łóżku. We śnie...

Rozdział VI

Ryszard wraca do Polski

Jesień 2016 roku. Doda rozsiada się na swoim foteliku w porcie w Nowej Pasłęce. Przed nami wolno toczy wody czarna toń rzeki. Gdzieniegdzie jest upstrzona kolorowymi liśćmi, które płyną po niej jak pasażerowie na gapę.

Ryszard zaciąga się papierosem z szelmowskim uśmiechem.

Doda: Ewakuacja cywilów z „Kraju Tysiąca Wzgórz”, jak mawiają Francuzi, trwała miesiąc. Po tej rzezi wróciłem do mojego ukochanego Dżibuti. Mimo że do końca służby miałem jeszcze dwa lata, to reszta kontraktu upłynęła mi jak na urlopie. Wylegiwałem się na plażach i jeździłem z zaopatrzeniem. Na miejscu był ośrodek przystosowania do walki na pustyni, ale tak naprawdę nie mieliśmy nic do roboty. Z nudów zaczęliśmy nurkować, bo Zatoka Adeńska idealnie się do tego nadawała. Godzinami można podziwiać piękną rafę. Doszliśmy do takiego etapu, że na nurkowanie jeździły trzy ciężarówki – dwie wojska i jedna z kurwami. Oczywiście wszystko działo się za cichym przyzwoleniem dowództwa, bo przecież doskonaliliśmy swoje umiejętności... – Ryszard wypuszcza dym z papierosa.

To, co dziś posiada, zawdzięcza Legii. Dzięki sprytnemu kapralowi sukcesywnie odkładał na swoim koncie w banku wysoki żołd, który dostawał w Dżibuti. Na misji przyzwoicie zarabiał, bo miesięcznie miał na rękę około 750 tysięcy franków, podczas gdy na przykład kierownik sklepu dostawał jedynie 120 tysięcy. Żołd w trakcie wyjazdów był przynajmniej trzy razy wyższy niż we Francji. Przez pięć lat służby Doda odłożył 80 tysięcy dolarów. Na polskie warunki 1995 roku to była kwota wprost niewyobrażalna. Podczas ostatniego urlopu Ryszard kupił w Braniewie dom.

Kiedy skończył mu się kontrakt, dowódca zaprosił go do swojego gabinetu. Równocześnie z nim służbę mieli kończyć Ordon i Walkowiak. Ci dwaj chcieli zostać w Legii. Doda już się nie wahał.

– Wracam do cywila – powiedział staremu.

– Chłopie, co ty gadasz? Zrób dwadzieścia pompek, to może olej przetoczy ci

się w tej pustej głowie – odpowiedział oficer.

Ryszard posłusznie ukląkł do pompek, ale wiedział, że nic go nie zatrzyma w Légion Étrangère. Zdecydował już i chciał wrócić do Polski.

Tuż przed opuszczeniem pułku kupił za 30 tysięcy franków czerwoną mazdę 232F. To było złamanie zasad Legii, bo legionista o każdy zakup musiał pytać przełożonych. Początkowo oficerowie straszili, że wóz przypadnie, ale w końcu się zlitowali. Ryszard mógł swoim wymarzoną autem wracać do Polski.

Doda: Oddali mi paszport, który musiałem zdać na początku służby, więc miałem dwa paszporty, osiemdziesiąt tysięcy dolarów i spory bagaż wrażeń. Na ostatnim urlopie przed powrotem kupiłem dom w Polsce, dlatego zdecydowałem się wrócić. Kumple, z którymi miałem awansować, jeszcze długo siedzieli w Legii. Jeden siedemnaście lat, a drugi dwadzieścia jeden. Zostali we Francji. Po służbie nie ma wielkich kokosów. W Legii na emeryturę szło się po piętnastu latach, ale świadczenia zjadła inflacja. Kumple początkowo dostawali około tysiąca dwustu euro, a za tyle to we Francji nie poszalejesz. Niedawno jeden z nich dzwonił, że mu jeszcze sto euro zabrali, więc szalu nie ma.

W latach pięćdziesiątych legionista powyżej kaprała musiał płacić za swoją służbę. Potrącali za wyżywienie i koszary. Okazało się, że starszy kapral dostawał na rękę mniej niż kapral. Co więcej, niższy stopniem mógł też liczyć na ulgi podatkowe. To wszystko Doda skalkulował przed przedłużeniem kontraktu. Wyszło mu na to, że się nie opłaca, a jeszcze ryzyko, że łeb mogą odstrzelić. Pewnie, że najlepiej zarabiano się na misjach, bo we Francji z żołdem na poziomie sześciu i pół tysiąca franków za wysoko się nie podskoczyło.



Dzięki służbie w Legii Cudzoziemskiej Ryszard mógł kupić dom i otworzyć biznes.

Doda nie żałuje, że pięć lat spędził w białym kepi. Kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych wrócił z Francji, miał spory kapitał. W Braniewie otworzył knajpę i hotelik. Na gości nie narzekał. W Braniewie stacjonowała jednostka wojskowa – 9. Brygada Kawalerii Pancernej. Budynki koszarowe ciągnęły się kilkaset metrów przy ulicy Sikorskiego. Siedziało tam trzy tysiące chłopów, którzy myśleli tylko o tym, jak się wyrwać z murów i zabawić w mieście. Po pięciu

latach w Légion Étrangère Ryszard dobrze wiedział, czego najbardziej potrzebują żołnierze. W Braniewie nie było się gdzie rozerwać, więc wkrótce otworzył kolejny przybytek. Szalone imprezy z przełomu wieków w „Kaprysie” i „Hipnozie” wspominają do dziś rezerwiści z Sikorskiego. Do piętnastego każdego miesiąca Doda miał stuprocentowe obłożenie, bo tylko na dwa tygodnie żołnierzom wystarczało żołądka na zabawę.

Drugą połowę miesiąca obstawiali przemytnicy wódki i papierosów, bo przejście graniczne kontrolował gang Nikodema Skotarczaka „Nikosia”. Król trójmiejskiej mafii też często bywał w „Kaprysie” aż do swojej śmierci w czerwcu 1998 roku. Interes kwitł.

Dziś Ryszard Doda ma niewielki porcik w Nowej Pasłęce i organizuje rejsy po Zalewie Wiślanym i Bałtyku. Właśnie mijają dwadzieścia dwa lata, odkąd wrócił do Polski. Stare znajomości nie rdzewieją. Kiedy umawiamy się na kolejne spotkanie, akurat jedzie na zjazd legionistów do Poznania, który cyklicznie organizuje Stowarzyszenie Byłych Żołnierzy i Przyjaciół Legii Cudzoziemskiej w Polsce.



Ryszard Doda w porcie jachtowym w Nowej Pasłęce, jesień 2016 roku

Podsumowuje: Służba w Legii polega na tym, żeby legionista jak najszybciej pieniądze wydał i wrócił goły. Jak wróci bez pieniędzy, to nie myśli o dezercji. W Afryce mieliśmy przypadki, że legioniści w kurwach się zakochiwali i uciekali z jednostki. W praktyce małżeństwo nie wyglądało kolorowo. Baba wyruchała faceta z pieniędzy, które oszczędzał przez całą służbę, i kopa w dupę. Potem wracał taki zawszony i brudny. Kładł się pod bramą i leżał. No to się go brało. Odwszawianie, degradacja, trzydzieści dni ancla i z powrotem w Legii.

Rozdział VII

„Gizmo” idzie w koronę

Wiosna 2003 roku. Siedziałem w największej sali gdańskiego sądu na procesie porywaczy właściciela fermy lisów spod Gdańska – Pawła Dębskiego. Tak oficjalnie się mówiło o Dębskim, bo nieoficjalnie miał ksywę „Rynkarz” i hurtowo handlował kokainą.

Tego dnia z wolnej stopy miał odpowiadać Marek Kłosiński, bardziej znany w półświatku pod pseudonimem „Gizmo”. Kiedy sędzia wywołał jego nazwisko, na salę wszedł dobrze zbudowany mężczyzna w dresie z trzema paskami. Na oko dobiegał trzydziestki. Swobodnym krokiem zmierzał do miejsca dla świadków. Nie chciał siadać z innymi podsądnymi na ławie oskarżonych. Potwierdził swoje dane. W tym momencie z ostatnich ław dla publiczności wstało dwóch barczystych łysoli w czarnych garniturach. To „Siwy” i „Lucek” – dwie legendy Centralnego Biura Śledczego w Gdańsku. Znani z niekonwencjonalnych metod i ciągnących się za nimi podejrzeń o korupcję. W eleganckich garniakach za grubą forszę i czarnych golfach bardziej przypominali włoskich mafiosów. Taki już mieli styl.

„Siwy” podszedł do sędziego i błysnął policyjną blachą. „Lucek” stanął obok „Gizma”, odchylił marynarkę i pokazując broń, wycedził:

– Centralne Biuro Śledcze. Jesteś zatrzymany. – Dobrze znał Kłosińskiego, bo już kilka razy go aresztował.

Skuł podsądnego i wyprowadził z sali rozpraw. „Gizmo” kolejny raz trafił na drugie piętro Komendy Wojewódzkiej w Gdańsku, gdzie mieści się lokalny oddział Centralnego Biura Śledczego. Od wielu lat był świetnie znany funkcjonariuszom. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej wyszedł z kryminału przy Kurkowej, bo sąd nie chciał już przedłużyć dwuletniego tymczasowego aresztowania w sprawie porwania lisiarza.

Naprzeciwko „Gizma” usiadł nadkomisarz Wolski. Szczupły, niewysoki blondyn w okularach, wyglądał niepozornie. Od końca lat dziewięćdziesiątych rozpracowywał gang porywaczy działający na Wybrzeżu. Szczególnie za skórę zaszedł mu szef bandy – Tomasz Holk, pseudonim „Kłapa”, i to jego chciał dorwać. Bandyta prawdopodobnie ukrywał się w Niemczech, bo miał podwójne

obywatelstwo i kiedy nie rozrabiał w Polsce, to kradł auta za zachodnią granicą. To jednak nie utrudniało mu kierowania bandą porywaczy na Wybrzeżu. „Gizmo” jeszcze nie wiedział, o co chodzi, ale przez cały czas z ust nie schodził mu uśmiech. Był pewien, że niczego na niego nie mają. Ot, kolejne zatrzymanie w bandyckiej karierze, nic nowego.

– Tym razem tak szybko nie wyjdiesz – powiedział Wolski. – Przyklejamy cię do trzech porwań, napadu i działania w zorganizowanej grupie zbrojnej.

Nadkomisarz wyjął z teczki wyjaśnienia „Johnny'ego”, kumpla Kłosińskiego. To kilkanaście gęsto zapisanych kartek, na końcu podpis „Johnny'ego”. „Gizmo” kojarzył ten koślawy charakter pisma. Z pewnością to nie fałszywka, choć ze strony psów można się spodziewać wszystkiego. Nienawidził ich od dziecka. Pobieźnie przeczytał protokoły przesłuchań i poczuł, że tym razem nie ma żartów. Już kilka lat spędził za kratkami, ale to były krótkie wyroki za rozboje i tymczasowe aresztowania.

– Teraz przyklejamy ci zarzuty i z pudła nie wyjdiesz przez najbliższych piętnaście lat. – Uśmiechnął się Wolski. – Koniec z imprezami, ruchaniem i tym wszystkim, co robiłeś na wolności. Żadnych drągów i wódy. Decyduj, co chcesz robić. Masz trochę czasu na przemyślenia. Wsypiesz mi „Czarnego” i resztę gdyńskiej ekipy, to będziemy rozmawiać. Z wnioskiem o areszt i tak idziemy do sądu, bo znając ciebie, zaraz zapadniesz się pod ziemię. Będziesz siedział na ence [pojedyncza cela dla szczególnie niebezpiecznych bandytów – przyp. autora]. Jutro ktoś wpadnie do ciebie do pudła i powiesz, co postanowiłeś. Jeśli się zgodzisz, będziesz miał mokre widzenia i namówimy prokuratora na świadka koronnego. W innym wypadku możesz liczyć na wyjście koło pięćdziesiątki. Twój wybór.

Wolski na zachętę postawił przed „Gizmem” szklankę herbaty.

– Nie musisz się śpieszyć... Wypij spokojnie i zacznij myśleć o swoim zasranym życiu.

Wieczorem agenci CBS odeskortowali Kłosińskiego na dołek przy komendzie. Tej nocy trudno mu było zasnąć. Myślał o propozycji Wolskiego. Gdyby zaczął gadać, na stałe przyłgnęłaby do niego łąka konfidenta. Musiałby się wyprowadzić z Gdyni, bo ekskumple na pewno chcieliby się mścić. Wiedział, że nie będzie żartów z gdyńską grupą, w której tak naprawdę dorastał. Miał opinię twardziela, bo kompani znali jego bezwzględność, a pod celą lubił się przechwalać służbą w Legii Cudzoziemskiej.

Wspomina członek gangu pruszkowskiego (.w 2001 roku siedział z Kłosińskim w jednej celi): „Gizmo” wieczorami siadał i opowiadał, jak to z chłopakami z Legii szaleli we Francji. Mówił o strasznym drylu i zamordyzmie, jaki panował wtedy w tej formacji. Opowiadał też o jakichś akcjach w Afryce i strzelaniu do czarnych. Przechwalał się, ile to kurew wyruchał. Wiadomo, jak na celi siedzi kilku chłopca, to takich opowieści wieczorami się słucha. Wszyscy wiedzieli, że „Gizmo” siedzi za porwania, i ludzie się go bali, bo ciągnęła się za nim fama, że potrafi porządnie przypierdolić. Na mieście nikogo się nie bał. Słynna była historia, jak bejsbolem złał szefa chuliganów Arki Gdynia. Obił chłopca przy świadkach. Lał tak, że kij mu się złamał i musiał prosić kumpla o wymianę. Jak dostał drugi, to dalej napierdalał tamtego gościa. Ten drugi kij też złamał na kibolu.

To nie byle jaki wyczyn, bo pobity był graczem drużyny rugby i całkiem niezłym zawodnikiem w napieprzance na stride. Wszyscy wiedzieli, że może skrzyknąć ekipę hoolsów. Oczywiście do tego nie doszło, bo „Gizmo” był już wtedy w gangu i żaden kibol nie odważyłby się mu podskoczyć. Nawet będąc jednym z przywódców chuliganów. Po tej akcji ludzie mieli respekt dla „Gizma”. Pięściami i bejsbolem wywalczył poważanie na ulicy, a to jest najważniejsze. W więzieniu budował swoją legendę na służbie w Legii Cudzoziemskiej.

„Gizmo” to chłopak z gdyńskiego Witomina. W dzieciństwie mieszkał z rodzicami i młodszą siostrą w pięćdziesięciometrowej klatce w czteropiętrowym bloku przy ulicy Chwarznieńskiej. Ojciec zasuwał od rana do wieczora w stoczni, a matka stała za ladą w pobliskim spożywzaku. Nie mieli czasu dla Marka. Chłopaka od dziecka wychowywała ulica, a właściwie kibole Arki Gdynia, bo w tej dzielnicy niepodzielnie rządziła banda z Ejsmonda. Od małego był wysportowany. Już jako ośmiolatek zaczął trenować taekwondo. Startował nawet z sukcesami w Pucharze Polski. Jego smykałki do sportu nie dostrzegał ojciec. Mawiał, że chłopak ma się uczyć, a nie machać kopytami.

– Za każde przewinienie leje mnie jak psa – zwierzał się Marek kolegom. – Nienawidzi mnie. Tylko szkoła i nic więcej. Nigdy z nim nie rozmawiam. Nie akceptuje mojej pasji do taekwondo. W ogóle się mną nie interesuje i nie obchodzi go, co robię. Od zawsze ma mnie po prostu w dupie.

„Gizmo” nie przepadał za nauką. Słabo się uczył, za to dobrze tłukł kolegów. Sporo wagarował. Trzymał się z kibolami Arki Gdynia. Klubowa bojówka to przedszkole dla bandytów. Tam stawiali pierwsze kroki bracia Promyk, „Zeus” czy „Ciemny”.

Bojówka Arki jest znana w Polsce, z powodzeniem naparza się w ustawkach z hoolsami Lechii czy Legii. Późniejsi bandyci podczas bitew z konkurencją przechodzą pierwsze bojowe lekcje. Na legendarnej górcie na stadionie przy Ejsmonda często można było zobaczyć rezydenta Pruszkowa na Wybrzeżu – „Jodkinsa”, który był zagorzałym kibolem Areczki. Dumnie siedział wśród karków w żółto-niebieskich szalikach. To właśnie wprost ze stadionu zbierał narybek do ściągania haraczy i handlu narkotykami. Punktem przerzutowym drągów była kibolska knajpa w Gdyni Chyloni potocznie zwana barem.

Równie silna ekipa hoolsów była na Witaminie.

W takim towarzystwie dorastał Kłosiński. Wychowała go ulica. Wiedział, że aby przetrwać, musi się świetnie bić. Inaczej to on będzie ofiarą. Przemoc towarzyszyła mu od dziecka. Cechowała jego ulubiony sport. Adrenalina, jaką zapewniają walki, uzależniała. Później już trudno było żyć, jak się komuś nie przywalało. „Gizmo” lubił się bić. Walka wyzwalała w nim niesamowitą agresję, a do tego podniecała, podobnie jak seks.

Mając siedemnaście lat, pierwszy raz uciekł z domu. Kiedy wrócił, ojciec go złał.

Z kumplem z podwórka mieli plan, żeby prysnąć do Francji i wstąpić do Legii Cudzoziemskiej. Myślał, że tam potrzebują takich ludzi jak on. Ucieczka z Polski miała definitywnie odmienić jego życie.

Kiedy skończył osiemnastkę, już wiedział, że wyjedzie z kraju. Oczywiście nic nie mówił rodzicom. Wyrobił paszport i w wakacje wyjechał z Trójmiasta. Na plecach targał stary plecak z aluminiowym stelażem, a w kieszeni chował trzysta dolarów. To kasa, którą udało mu się uciułać na dorywczych fuchach. Stówę podkradł rodzicom, bo przypadkowo odkrył tajną skrytkę za barkiem. Razem zebrało się trzysta dolców.

Kilkanaście miesięcy wcześniej zniesiono wizy do Francji, więc nie było większego problemu z wyjazdem. W Warszawie wsiadł do autokaru jadącego do Paryża. W kieszeni miał adres punktu werbunkowego w stolicy Francji. Nie zdawał sobie sprawy, że Miasto Świąteł to wielka metropolia i że po wyjściu z autokaru utonie w rzece pędzących ludzi. Jego kumpel z podwórka, który również postanowił uciec do Legii, miał plan Paryża. Zanim zasnęli w autokarze, okazało się, że na podobny sposób na życie zdecydowało się też dwóch innych Polaków. W autokarze było więc czterech przyszłych legionistów.

Wystawię wam trzystu chłopa!

Kłosiński obudził się rano po nocy spędzonej na dołku. Był głodny i bolały go plecy. Sporo myślał o swojej sytuacji. Wiedział jedno: pójdzie do pierdła, ale na pewno nie będzie siedział za kumpli przez piętnaście lat. Nie czuł już żadnej lojalności wobec chłopaków z gangu. Teraz musiał myśleć tylko o sobie, w przeciwnym razie nie wyjdzie z kryminału do końca życia. Jak przypną mu te zarzuty za porwania i napad z bronią w rękę, to nie będzie miał szans na szybsze wyjście. Już siedział i wiedział, że w samej tylko sprawie porwań czeka go kilka lat w areszcie w oczekiwaniu na proces. Potem kolejne lata w pierdłu w oczekiwaniu na wyrok. Był młody i nie miał zamiaru gnąć za kumpli w kryminale. Uzmysłował sobie, że jak wyjdzie na wolność, to będzie stary, a najlepsze lata życia upłyną mu za kratkami. Zresztą kumple też nie byli lojalni. Dopiero co widział wyjaśnienia „Johnny'ego”, a jak inni się posypią? To nie będzie jedynie sprawa kilku porwań i rozbojów. „Gizmo” utrzymywał się z bandyterki od 1995 roku. Był prawdziwym gangusem.

Kiedy rano odwiedził go w celi Wolski, „Gizmo” był już pewien, że będzie sypać.

Kłosiński: Dobra. Idę na współpracę. Są jednak warunki. Wsadzacie mnie na enkę w Sztumie. Nie chcę mieć z nikim kontaktu. „Kłapa” ma kasę i opłaconych gości w wielu więzieniach. Jak się dowie, że sprzedaję, to mnie zapierdolą. Nie sypnę tylko jego. Wystawię wam na tacy kilkuset gości.

„Gizmo” wiedział, o czym mówi. „Kłapa” to kompletny świr. Potrafił zabić lub zlecić morderstwo za mniejsze przewiny. Zdrada to największy kaliber. O psychopatycznym charakterze bossa przekonał się jego zaufany człowiek od porwań i rozbojów „Mario”. Plotka głosiła, że z okupu za porwanie członka konkurencyjnego gangu uszczknął sobie kilka tysięcy dolarów. To niewiele, bo wówczas przytulili dwieście i pół miliona, ale „Kłapa” nie wybaczył oszustwa. W 2000 roku „Mario” po prostu zniknął. Ponoć jest zakopany gdzieś w Borach Tucholskich. Od lat jest za nim wystawiony list gończy, ale policjanci niespecjalnie go szukają. Wiedzą, że „Mario” już dawno w piachu leży i nie ma potrzeby tropić bandziora. Są nawet szczęśliwi, że gangsterzy wszystko załatwili między sobą. „Ot, jednego gnoja mniej” – kwitują.

Gangstera, którego wówczas porwano, również do dziś nie odnaleziono. Znaczą ciała nie odnaleziono, bo z zeznań członków bandy ostatnie chwile „Sławka” są dobrze znane. Umierał w cierpieniach – postrzelony po uprowadzeniu leżał w kanale w garażu na działce w Borach Tucholskich. „Kłapa”

i jego ludzie wiedzieli, że „Sławek” ma dużą kasę, bo przez lata hurtowo ściągał kokainę z Kolumbii. Żeby wymusić numery kont w szwajcarskich bankach, wyrwali mu paznokcie u rąk i wiertarką podziurkowali kolana.

„Gizmo” znał te historie i wiedział, do czego jest zdolny „Kłapa”. Miał prawo bać się zemsty.

Prawdziwa historia „legionisty”

Mówi gdyński przestępca: Marka znałem z Gdyni jeszcze ze szczeniackich lat. Pamiętam, jak snuł opowieści o wstąpieniu do Legii Cudzoziemskiej. Wyjechał za granicę z kumplem z podwórka. Chyba z rok nie było go w Polsce. Kiedy wrócił na Wybrzeże, lubił opowiadać o Marsylii i Paryżu. Snuł jakieś wizje związane z Legią, ale przyznawał, że spierdolił, bo tego wariactwa nie dało się wytrzymać. Ten epizod budował mu jednak legendę na mieście, bo ludzie się go po prostu bali. Jak zaczynał kogoś lać, to nie znał umiaru. Chłopaki z miasta mieli do niego zaufanie, bo wiedzieli, że może iść na trudną robotę i nie pęknie. Jak będzie trzeba, to przypierdoli że hej. Gość zawsze był znany z bezwzględności, a przy tym wiedzieliśmy, że nie jest konfiturą i nikogo nie sprzeda.

Kłosiński wysiadł z autokaru w Paryżu. Nie znał żadnego języka, bo w Trójmieście zdążył skończyć jedynie trzy klasy zawodówki mechanicznej. Miał jednak szczęście, bo nowo poznani kumple z autokaru mieli dokładną mapę i po godzinie błędzenia zatłoczonymi uliczkami Paryża znaleźli drogę do punktu werbunkowego. Kasę musieli oszczędzać, bo we Francji wszystko cholernie drogie. Część drogi pokonali pieszo, a potem skakali przez bramki w metrze i na gapę dojechali prawie pod punkt werbunkowy. Mieli ze sobą flaszkę wódki i przed wejściem rozpili ją we trzech. „Gizmo” nie tknął jednak alkoholu, choć nowi kumple z niego kpili. Nie pił, odkąd zaczął trenować taekwondo. Wódka może rozwesela, ale do sportu jest niepotrzebna. Przy flaszcze chłopaki gadali o Legii. Żaden z nich nie był wcześniej w wojsku, więc nie mieli pojęcia, co ich czeka za murem. Po przekroczeniu bramy wpadli w normalną procedurę przyjmowania do Légion Étrangère: pierwsze przesłuchanie i badania lekarskie. Cała czwórka bez problemu przeszła wstępną selekcję i dostała zgodę na wyjazd do Aubagne. Tam już szczegółowa selekcja, gestapo i kolejne badania. Z czwórki, która dotarła na południe Francji, tylko jeden chłopak odpadł. Mimo młodego

wieku miał popsute zęby i lekarze go wykluczyli. „Gizmo” pomyślnie przeszedł testy i – podobnie jak Ryszard Doda – dostał bilet do Castelnaudary.

Teraz przyszedł czas na czteromiesięczną unitarkę. Jeszcze nie dostał w kość i na razie mu się podobało. Nigdy nie był w armii, więc nie wiedział, jak będzie wyglądała służba. Trochę czytał jeszcze w Polsce, ale z kilku książek, które szybko przeleciał, wyłaniał się obraz heroicznych bitew legionistów lub straszego terroru w służbie imperialistycznych interesów Francji. Tak Legię widziała jeszcze komunistyczna propaganda. „Gizmo” i jego dwaj kumple nie mieli pojęcia o realiach życia w koszarach. Po swobodzie na ulicy i wśród gdyńskich dresiarzy nie za bardzo podobało im się wojsko. Służba w Legii nie wyglądała tak jak w filmach. Treningi od rana do wieczora i wszystko trzeba było robić na rozkaz. Do tego żarcie tak podłe, że nie dało się jeść. A jak coś się nie podobało, od razu walili po pysku.

Do takiego traktowania „Gizmo” nie był przyzwyczajony. Jak na ulicy lub w zawodówce w Gdyni ktoś próbował go atakować, to od razu lał. Był niezły w chuligance, więc gdy ktoś oczekiwał, że będzie się bił tylko na pięści, potrafił dać z buta w twarz lub z wyskoku kolaniem złamać nos.

W koszarach Legii nie mógł oddać. Był taki jeden, który przyłożył kapralowi, to potem kilka tygodni składano mu złamania. Kłosińskiemu szybko przestało się podobać wojskowe życie. Po trzech miesiącach, jeszcze przed przysięgą, postanowił uciec. Miał świadomość, że będzie ścigany, ale wołał wracać do Polski. Tam ma kumpli, więc jakoś sobie poradzi. Przy pierwszej nadarzającej się okazji prysnął. Uciekł sam, bo kumpel z podwórka stwierdził, że zarobi w Legii trochę kasy i dopiero wtedy wróci do kraju. „Gizmo” uciekł z farmy w Castelnaudary. Podczas przeszukań nie oddał dwustu dolarów, które miał schowane w podeszwie buta. Pieniądze przez kilka tygodni trzymał przy sobie i nikomu się nie chwalił. Teraz biegł co sił przez wzgórza wokół Castelnaudary, żeby rano dotrzeć do miasta. Pierwsze, co chciał zrobić, to zrzucić wojskowe dresy.

Po drodze mijał niewielkie miasteczko. Świtało, ale na wąskich uliczkach było kompletnie pusto. Z pagórka, na którym się ukrywał, nie było widać ludzi. Jak podejrzewał, około szóstej w pułku się zorientują, że go nie ma. Wtedy może ruszyć pościg. „Gizmo” dostrzegł niewielki butik z letnimi ciuchami. Właściciel na noc nie schował wieszaka z koszulkami, jedynie okrył go wielką folią. Kłosiński zbiegł ze wzgórza. Czuł, że to jego szansa. Dobiegając do butiku, jeszcze sprawdził, czy przypadkiem ktoś nie idzie ulicą. Pusto. Szybkim ruchem wyciągnął spod folii czarną koszulkę. Popatrzył przez szklane drzwi. W

pomieszczeniu wisały spodnie, a na wystawie stały trampki. Wieszakiem, z którego ściągnął T-shirt, rozbił szybę i wpadł do środka. Zabrał krótkie spodenki i trampki z wystawy. Uciekł tą samą drogą, którą zbiegł ze wzgórza. Pędził ile sił. Kiedy był już bezpieczny, przebrał się w nowe ciuchy. Wyglądał jak turysta na wakacjach. Niczym nie będzie się wyróżniać w tłumie. Dresy i adidasy Legii schował pod sporym kamieniem. Nikt nie powinien tego znaleźć.

Cały dzień szedł na południe. Tak przynajmniej mu się wydawało. Kiedy po drodze zobaczył tory, postanowił iść wzdłuż nich. Krył się w krzakach, gdy widział nadjeżdżający pociąg. W końcu dotarł do niewielkiej stacyjki. Napił się wody ze starej pompy, umył zakurzoną twarz. Siedział tam blisko godzinę. W końcu przyjechał pociąg. Wsiadł i podróżował na gapę. Wieczorem dojechał do Tuluzy. Ledwo żył. Postanowił zostać na dworcu. W pobliskim parku na ławkach spało kilku bezdomnych. Zdecydował zdrzemnąć się do rana. Była ciepła jesienna noc, więc w krótkim rękawku nie było mu zimno. Zasnął w ciągu kilku minut. Rano obudził go porządkowy, który chciał oczyścić ławkę.

Kłosiński dopiero teraz zobaczył kolorowe witryny sklepów, eleganckich ludzi idących ulicami i niezłe auta. Miał swoje dwieście dolarów i szukał jakiegoś banku lub kantoru, żeby wymienić gotówkę. Kiedy w końcu mu się to udało, kupił śniadanie. Zdziwił się, ile pieniędzy poszło na śmieszny rogalik zwany croissantem i kawę. W głowie liczył złotówki i co za tę samą kwotę kupiłby w Polsce. Nie do wiary! „Gizmo” nie miał dokumentów, a jakoś musiał się dostać do Paryża. To prawie siedemset kilometrów, ale postanowił jechać stopem. Przy odrobinie szczęścia, gdyby złapał dobrą okazję, w jeden dzień mógłby się dostać do stolicy. Ale nie miał farta. Co prawda udało mu się wyjechać z miasta i wypaść na autostradę, ale ugrzązł na leśnym parkingu, jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów za Tuluzą. Spotkał jednak dwóch studentów z Polski, którzy jechali na południe Francji i też tam utknęli. Podzielili się z nim puszką rozpuszczonej mielonki i pożyczyli koc. „Gizmo” opowiedział chłopakom bajkę o kradzieży plecaka i dokumentów. Mówił, że chce wrócić do Polski. Po nocy spędzonej w altance rano złapał stopa bezpośrednio do Paryża. Nie znając języka, krążył w okolicach dworca. Miał nadzieję znaleźć jakichś Polaków, żeby pomogli mu namierzyć autobus do Polski. Wreszcie się udało. Kierowcy wytłumaczył, że skradziono mu dokumenty. Dał całą kasę, która mu została, żeby dowiózł go chociaż do polskiej granicy. Tam już sobie jakoś poradzi. Kierowca wziął łapówkę i zgodził się na taki deal. Oczywiście jeśli po drodze trafi się przypadkowa kontrola, to on o niczym nie wie. Dał Kłosińskiemu bilet i kazał usiąść. Autokar był prawie pusty. Niewielu rodaków wracało do Polski. „Gizmo” większość trasy przespał. W nocy autobus

dojechał do granicy w Słubicach. Jak się okazało, kierowca znał pogranicznika i nie było żadnej kontroli. Nawet nie obudził pasażera. Tak Kłosiński wrócił do Polski.

Zwykły dresiarz, wykidajło

„Gizmo” wrócił na Wybrzeże z podboju Francji. Początkowo pomieszkiwał u znajomych. Poszedł do starych kumpli z dzielnicy, a ci załatwili mu robotę na bramkach w dwóch gdyńskich dyskotekach. Budował sobie legendę legionisty, który zdezerterował, bo nie znosił wojskowego drylu. Chciał być akceptowany i poważany w towarzystwie, a służba w Legii, choć krótka, dawała prestiż. Przynajmniej w tym środowisku.

– Spierdoliłem, bo byle szmaciarz nie będzie mi rozkazywał – tłumaczył kumplom.

Ci chętnie proponowali go do obstawiania bramek w knajpach, bo wiedzieli, że „Gizmo” nie pęka i cały czas utrzymuje świetną formę. Codziennie trenował na siłowni. Regularnie doskonalił styl w taekwondo. Swojej wartości i zdolności nikomu nie musiał udowadniać. Kumple z ulicy wiedzieli, że jest ostrym zawodnikiem.

Obstawianie bramek w nocnych klubach wiązało się też z wsiąkaniem w półświatek. A ten wciąga i potrafi zachwycić, bo to szybka i łatwa kasa. Taki styl życia uzależnia jak heroina. Po kilku miesiącach trudno już sobie wyobrazić zasuwanie w stoczni przez osiem godzin dla paru marnych groszy. „Gizmo” nie chciał być jak ojciec, z którym już w ogóle nie miał kontaktu. Sporadycznie rozmawiał z matką i siostrą. One go rozumiały, choć nic nie wiedziały o jego nowym życiu.

„Gizmo” dzięki kontaktom z knajp poznał ludzi, którzy tak naprawdę rządzą w Trójmieście. Był rok 1995 i na Wybrzeżu rozkwitała gangsterka. Kłosińskiemu imponowali chłopaki z miasta. Zawsze mieli grubą kasę. Kelnerom potrafili rzucić w twarz dolarami, gdy inni skąpili na napiwki. Jeździli VIP-erami lub beemkami, na które nigdy nie byłoby stać jego ojca, nawet gdyby zasuwał nadgodziny do śmierci. Na takie gówniane życie „Gizmo” nie chciał tracić czasu, więc jedyne, co mu pozostawało, to prawdziwa bandyterka. Na razie jednak musiał być wykidajłą, choć marzył, że wkrótce będzie jak chłopaki z miasta.

Wtedy też zakochał się w Aśce. Szybko razem zamieszkali i wkrótce spodziewali się dziecka. Był szczęśliwy, że sam będzie ojcem. Aśce nie

wspominał o swoich nowych kumplach. Na „zlecenia” od chłopaków wychodził jak do zwykłej roboty. Nie tłumaczył, skąd ma pieniądze. Dziewczyna też nie dopytywała, bo myślała, że to kasa ze stania na bramkach. Nie dziwili jej podejrzani kumple.

„Gizmo”: Miałem jakby podwójne życie. Jedno – dom, konkubina, kochane dziecko i dbanie, by mieli to, co najlepsze; a drugie – „praca”, czyli bandyterka, z której się utrzymywaliśmy. Kradzieże i rozboje traktowałem jak zwykłą robotę. Jedni chodzą do fabryki, a ja z kumplami kroilem frajerów. Nie było w tym nic dziwnego, bo wszyscy moi znajomi podobnie zarabiali na życie. Po prawdzie jedyna normalna robota, jaką miałem przez ostatnie lata, to stanie na bramkach w dwóch knajpach, ale to było krótko i kasa niespecjalna. Większy pieniądz zarabiałem na bandyterce, więc po kilku miesiącach dałem sobie spokój z ochroną barów, bo to nie miało sensu.

Już po decyzji o tymczasowym aresztowaniu „Gizmo” został przewieziony do Sztumu. To ciężkie więzienie dla recydywistów na trasie między Malborkiem a Kwidzynem. Więźniowie mówią o nim polskie Guantanamo, bo rygor jest dużo większy niż w innych kryminałach. „Gizmo” dostał enkę, czyli celę dla szczególnie niebezpiecznych przestępców. To nora z niewielkim okienkiem na wysokości głowy. Ma sześć metrów długości i jakieś półtora metra szerokości. Miejsca starcza na kocioł i mały metalowy stolik. Sprzęty są przykręcone do podłogi. Jest jeszcze sracz i oczywiście oko kamery, które śledzi więźnia dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdy siedzi się na ence, to słońca można nie widzieć kilka lat. Skazany nie ma też kontaktu z innymi osadzonymi. Dziennie przysługuje mu godzina spaceru, ale w samotności. Enka to nie tylko absolutna izolacja i brak kontaktu z innymi, ale też ciągle upokarzanie. Na przesłuchania do sądów jeździ się w specjalnych konwojach. Nie ma możliwości samodzielnego spacerowania, zawsze w eskorcie kilku klawiszy, ze skutymi nogami i rękoma, truchtem i w pozycji pochylonej. Jedyne, co więźniowie widzą, to posadzki i dlatego mówią, że są wożeni „na Małysza”, bo postawa przypomina pozycję skoczka narciarskiego tuż przed skokiem.

Nie takiego finału spodziewał się „Gizmo”. W jednej chwili rozpadł się jego poprzedni świat. Teraz regularnie odwiedzali go w celi nadkomisarz Wolski i inni oficerowie CBS. „Gizmo” w swoich zeznaniach cofał się do połowy lat dziewięćdziesiątych:

„Gizmo”: Łąłem pod byle pretekstem. Jakoś pod koniec 1996 roku

wjechaliśmy do „Złotej Karczmy”. To taka niewielka knajpa w Redzie. Byliśmy we czwórkę: „Gumbas”, Arek, „Bambino” i ja. Kumple współwłaściciela wpierdolili kiedyś „Bambino”, więc trzeba było spłacić dług. Na dzień dobry przyjechałem wazonem z kwiatami o ścianę. Właściciel usłyszał hałasy i wyszedł z zaplecza. Wtedy chuja dopadłem i lałem, ile wlezie. Przestałem, dopiero gdy leżał i błagał o litość. Kumple mi nie pomagali. Tylko się śmiali i pilnowali wejścia, żeby nikt obcy nie wszedł.

Złamiemy mu łapę, to będzie pamiętał o długach

Początkowo „Gizmo” nie był znany w gdyńskim półświatku. Ot, kolejny dresiarz-wykidajło, jakich wielu wówczas podczepiało się pod lokalne gangi.

Pierwsze poważniejsze zlecenie dostał od „Królika”, szefa siłowni na Grabówku, gdzie przerzucał tony żelastwa. Była jesień 1997 roku. Mieli odzyskać kilkanaście tysięcy złotych długu od właściciela sklepu spożywczego, który mieszkał niedaleko klubu. Wieczorem „Gizmo” zapukał do jego drzwi w czteropiętrowym bloku. Był z dwoma kumplami. Powiedzieli, że są z mleczarni i będzie musiał z nimi pojechać i pogadać. Sklepikarz jeszcze niczego się nie obawiał, choć goście groźnie wyglądali. Ubrał się i spokojnie wsiadł do terenówki, którą przyjechali „Gizmo” z kumplami.

– Długi się oddaje – przywitał go kolega Kłosińskiego. – Pojedziemy w ciche miejsce pogadać.

Oplem frontierą pojechali dwadzieścia kilometrów za Gdynię. Krętymi drogami wjechali w lasy pod wejherowskim Koleczkowem. O tej porze w ciemnym lesie nie było żywego ducha. Gdy wysiedli z auta, słychać było jedynie szelest liści, po których schodzili z leśnej drogi. Kumpel Kłosińskiego przywalił sklepikarzowi pięścią w twarz. Gdy ten upadł, „Gizmo” złapał go za rękę i zrobił dźwignię na obojczyku. Rozległ się trzask kości, a delikwent nie wytrzymał bólu i zemdłał.

– Złamiemy mu drugą łapę, to będzie pamiętał, żeby długi oddawać – krzyczał podniecony „Królik”.

– Daj spokój. Przecież gość już ma dosyć. Kasę odda – uspokajał „Gizmo”.

Pobitego zostawili w lesie. Pojechali po kasę do właściciela hurtowni. Za pobicie dłużnika dostali po tysiącu na głowę. Pierwsza robota nie skończyła się dobrze dla „Gizma”. Sklepikarz zgłosił sprawę na policję. Wpadli „Królik” i właściciel hurtowni jogurtów. „Gizmo” musiał zniknąć. Na miesiąc wyjechał do

Niemiec. Kasę wyłożył „Królik”. Kiedy sprawa przycichła, wrócił do Polski.

Po pobiciu szefa szalikowców Arki Gdynia „Gizmo” miał coraz więcej znajomości w półświatku. Regularnie dostawał zlecenia na pobicia za długi. Nie zawsze sam jeździł na akcje. Czasem ściągał kumpli i potem odpalał im dołę. Przykładowo za pobicie dłużnika znanej sieciówki prowadzącej telesprzedaż sprzętu AGD zainkasował dwa tysiące dolarów. Wykonawca dostał pięćset zielonych. Tyle kosztowało pobicie do nieprzytomności – złamanie szczęki i nosa.

Zdarzały się też ekstrapłatne szybkie zlecenia.

„Gizmo”: Jakoś latem 1997 roku zadzwonił do mnie kumpel z bramki w „Fantomie”. Mówił, że jest robota na dyskotecę w Nadolu pod Żarnowcem, ale trzeba szybko zebrać chłopaków, bo jakaś ekipa dymi i trzeba im wpierdolić. Pojechaliśmy w pięciu. Na miejscu okazało się, że demolkę w knajpie urządzili sobie piłkarze Gryfa Wejherowo, którzy opijali zwycięstwo w lidze. W piątkę wjechaliśmy do środka i spuściliśmy wpierdol dwudziestu futbolistom.

Sprawa stała się głośna na Wybrzeżu, bo kilku piłkarzy ze złamaniami trafiło do szpitala. Oczywiście nie chwalili się, że to oni rozpoczęli zadymę.

„Gizmo”: Właściciel dyskoteki widział nas w akcji i był bardzo zadowolony. Tak mu się spodobałiśmy, że zaproponował nam robotę na całe lato w ochronie tej budy.

Fucha w Nadolu nie trwała jednak długo. Kumple „Gizma” podczas swojego dyżuru spotkali policjanta z Wejherowa, który wcześniej zalazł im za skórę. Funkcjonariusz był na urlopie z żoną i dziećmi. Krewcy dresiarze napadli na znienawidzonego psa. Złali go do nieprzytomności na oczach żony i dzieci. Policja nie odpuściła tego bandziorem i sprawę potraktowała jako punkt honoru. Szybko wyłapała sprawców. Tak się skończyła przygoda „Gizma” z Nadolem, choć on sam nie brał udziału w pobiciu policjanta.

W gangu „Kłapy”

Zadymy i lanie za długi to na razie przedszkole półświatka. Kumpel z bramki w „Fantomie” to członek gangu kajdankowców – brutalnej bandy, której znakiem rozpoznawczym było skuwanie ofiar napadów. „Jazga”, który wcześniej nagrywał

mu robotę w Nadolu, teraz zaproponował coś poważniejszego – pozorowany napad na kolegę. Ten był konwojentem w firmie ochroniarskiej i zbierał utargi ze sklepów. Napad nagrali w lesie na granicy Gdyni i Sopotu. Dla zachowania pozorów „Gizmo” prysnął znajomemu w twarz gazem i go związał. Kasy wiele nie zabrali, bo tego dnia w sejfie było jedynie pięć tysięcy złotych, ale zawsze coś. Kłosiński zarobił niecałe dwa tysiące. Policja nie zorientowała się, że napad był mistyfikacją i konwojent działał w zмовie z bandziorami.

W tym czasie „Gizmo” poznał też „Klapę” i jego ludzi. „Kłapa”, choć miał niewinną twarz i anielskie spojrzenie, był bezwzględnym przestępcą. Na bandycką ścieżkę wszedł na początku lat dziewięćdziesiątych. Podobnie jak wielu innych, zaczynał od kradzieży i rozbojów. Później poszedł w kradzieże aut. Kompanów przewyższał inteligencją i sprytem. Zebrał wokół siebie kilkunastu bandziorów i wspólnie wymuszali haracze od trójmiejskich burdeli. Świadczenie nie chcieli zeznawać, bo się bali i nie mieli gwarancji, że będą chronieni przez policję.

W 1998 roku „Gizmo” zaczął robotę dla „Kłapy”. Początkowo były to „drobne” zlecenia.

„Gizmo”: Zaczęło się od tego, że z jego kumplami jechaliśmy do autohandlu, gdzie „Kłapa” zostawił części do mercedesa okularnika. Jak się później okazało, właściciel nie dbał o te rzeczy i błotniki zardzewiały. Nie miał szacunku, więc mu porządnie wpierdoliliśmy. Porządnie to znaczy tak, że „Karol” walnął go z łokcia w twarz. Złamał gościowi kość policzkową i facet zemdlął. Później w zębach kasę przyniósł za zniszczone części – tłumaczy.

Kłosiński piął się po szczeblach przestępczej drabiny. Kumple mu ufali, bo wiedzieli, że jest charakterny. Roboty miał coraz więcej. To już nie tylko wymuszenia, rozboje i napady. Końcówka lat dziewięćdziesiątych na Wybrzeżu wiązała się z plagą porwań. Szemrani i zwykli biznesmeni, członkowie konkurencyjnych gangów, handlarze narkotyków codziennie musieli się oglądać, bo praktycznie nie było tygodnia bez uprowadzenia. Psychozę podkreślił artykuł z „Dziennika Bałtyckiego” pod znamienym tytułem „Lista do porwania”. Dziennikarze opisywali, że w półświatku krąży lista stu osób wytypowanych do uprowadzenia na samym tylko Wybrzeżu. Policja twierdziła, że to blef, ale do końca tak nie było.

Opowiada były baron SLD i przyjaciel miliardera

Ryszarda Krauzego, Jerzy Jędykiewicz: Taka lista istniała, choć policja oficjalnie temu zaprzeczała. Nie chcieli wzbudzać jeszcze większej paniki, bo przecież wtedy regularnie wybuchały bomby i ginęli gangsterzy. W tych latach to były realne groźby. Sam się obawiałem o dzieci. Ryszardowi też grożono. On nie miał ochrony, dopóki nie zaczęto straszyć mu dzieci.

Krauze wynajął dwudziestoczterogodzinną ochronę, w której pracowali byli i czynni funkcjonariusze policji i innych służb.

Mówi były agent CBS i ochroniarz biznesmena: Jak była realna próba uprowadzenia, Rysiek wyłożył 200 tysięcy dolarów. Lepiej było zapłacić i mieć choć pozory spokoju, niż ryzykować życie dzieci.

Trzy dni torturowali gościa

Najgroźniejszą ekipę porywaczy skrzyknął wokół siebie właśnie „Kłapa”. Bandyci budzili strach wśród rekinów półświatka i niezamieszanych w ciemne interesy biznesmenów. Słynęli z okrucieństwa wobec uprowadzonych. To ryzykowny, bo jest wiele momentów możliwej wpadki, ale bardzo intratny biznes. Minimalna kwota za uwolnienie uprowadzonego to 100 tysięcy złotych, a himalaje sięgały kilku milionów dolarów. Był też prosty sposób na uniknięcie zgłoszenia sprawy na policję.

Tłumaczy członek trójmiejskiego gangu: Niewinnych nie ruszaliśmy. Jak porywało się złodzieja albo dilera i nawet porządnie mu wlało, to gość nie zgłaszał tego psom. Co miał powiedzieć? Ze porwała go konkurencja, bo zaczął dilować na obcym terenie? Dostawał wpierdol i płacił za życie.

Tak wyglądało porwanie złodzieja samochodów, „Strusia”, który pracował dla „Kłapy”, ale nie rozliczył się z kasy: „Gizmo” z dwoma kumplami uprowadzili go na gdyńskim Witaminie i wywieźli do lasu pod Wiczlinem. „Struś” nawet nie próbował uciekać, bo wiedział, że nie ma szans.

„Gizmo”: Jeszcze przed porwaniem zaplanowaliśmy, że złamiemy mu nogę. To kara, którą wymierzył mu „Kłapa”. Lałem go w kostkę, aż spuchła jak bania. Wtedy wiedziałem, że kość już pękła. Kiedy gość leżał na ziemi, to podszedł do niego „Karol” i powiedział, że trzeba go oznakować. Wyciągnął nóż i zrobił mu uśmiech do ucha. „Struś” ma tę bliznę do dzisiaj. Zanim odjechaliśmy,

to przy nas dzwonił po pogotowie, ale wiedzieliśmy, że nas nie wsypie, bo przecież był członkiem naszego gangu. Jak jechaliśmy do centrum, po drodze mijął nas radiowóz na sygnale. Oczywiście „Struś” nigdy nie powiedział, kto go tak urządził.

Milczał też diler o pseudonimie „Sperma”, któremu banda „Kłapy” złamała rękę. Podobnych uprowadzeń, w których brał udział „Gizmo”, było kilkanaście. Omertę przerwał dopiero „Rynkarz”, człowiek, który kasę z handlu kokainą zainwestował w fermę lisów pod Gdańskiem.

Bandyci porwali go spod domu w wielkanocną sobotę 1999 roku. Akurat wychodził po chleb do świątecznego koszyczka. Na ulicy porywacze zbili go, narzucili mu na głowę worek i zapakowali do bagażnika samochodu. Wywieźli go do wynajętej rudery w Gdańsku Letnicy. „Rynkarz” przez trzy tygodnie przeżywał gehennę – był przykuty do drewnianego pała w piwnicy. Nie mógł tam nawet wstać, bo nora miała jedynie nieco ponad metr wysokości.

Przez pierwsze trzy dni „Gizmo” i jego kumple chcieli złamać ofiarę i jak najszybciej zmusić rodzinę do zapłacenia stu tysięcy dolarów okupu. Codziennie go bili. W maltretowaniu nie mieli umiaru. Wyróżniał się potężny dryblas, na którego kumple wołali „Psychopata”. To Grzesiek Gromada znany w mieście pod pseudonimem „Karol”, tak od lat wołali na niego znajomi.

Gdy okazało się, że „Rynkarz” ma w gotówce tylko sześćdziesiąt tysięcy dolarów, bandyci byli wściekli. Już podzielili między sobą sto tysięcy „zielonych”, a tu kasy jest prawie o połowę mniej.

– To tej kurwie nie przejdzie! – krzyknął „Karol” i chwycił żelazko. – Na pewno ma więcej kasy, tylko trzeba umieć ją wyciągnąć z bankomatu.

Reszta przystała na jego pomysł. Zaczęły się trzydniowe tortury. Gorącym żelazkiem przypalali ofierze plecy, ręce i podbrzusze. Zrobiły się rany, które zaczęły ropieć. Porywacze nie opatrywali oparzeń, a jedynie zalepiali je brązową taśmą samoprzylepną.

– Niech zdycha, dopóki nie dostaniemy kasy! – „Karol” instruował kumpli.
– Nie dawać tej kurwie żadnych lekarstw ani jedzenia. Najwyżej jak nam coś zostanie, to tej szmacie można rzucić.

Przez pierwsze dni po uprowadzeniu „Rynkarz” dostawał jedynie wodę i resztki ze stołu. Leżał jak zwierzę na ziemi w piwnicy. Podczas telefonicznych negocjacji błagał rodzinę o zapłacenie okupu, bo dłużej nie wytrzyma. W rozmowach pośredniczył jego wspólnik od biznesu z Niemiec – Peter Wilard.

„Rynkarz” nie wiedział, że to właśnie on wystawił go gangowi, ale przecież w narkobiznesie nie ma reguł. Każdy, kto decyduje się na gangsterkę, musi gdzieś w tyle głowy mieć taką świadomość. Wilard wiedział, że „Rynkarz” zarabia na kokainie sprowadzanej z Kolumbii, więc musi mieć kasę. Choć byli współnikami, nie przeszkadzało mu to zarobić trochę grosza kosztem kumpla.

„Rynkarz”, gdy leżał w norze w Letnicy, modlił się jedynie o to, by rodzina jak najszybciej zebrała kasę, bo zamęczą go na śmierć. Czuł, że porywacze nie będą mieli skrupułów, żeby go odpalić. Nie był pewien, czy go nie zabiją, nawet gdy rodzina zapłaci, choć wybulenie okupu jest jedyną szansą na przeżycie.

W końcu porywacze dostali żadaną kasę. Kurier bandy odebrał sześćdziesiąt tysięcy dolarów na peryferiach Gdyni.

– Najlepiej chuja zabić, bo widział moją twarz – powiedział do kumpli „Karol”.

„Gizmo” wyskoczył, że można by go zastrzelić i zakopać gdzieś na Kaszubach. W końcu jednak dali spokój z morderstwem. Wyciągnęli „Rynkarza” z piwnicy.

– Zbieraj się, kurwo. Wychodzisz na wolność, ale pamiętaj, że jak pójdziesz na psy, to zajebimy ciebie i całą twoją rodzinę – postraszył „Karol”.

Założyli porwanemu worek na głowę i wywieźli do lasu w Oliwie. Dali mu pięćdziesiąt złotych na taksówkę i puścili w okolicach zoo. Nie przewidzieli, że uprowadzony będzie sypać. Wcześniej, jak porywali ludzi związanych z półświatkiem, nikt nie chciał zeznawać.

Ale „Rynkarz” po tym, co przeżył, nie chciał milczeć. Zgłosił się na policję i opowiedział o udreće:

– Żeby potwierdzić porwanie, ci ludzie kręcili film, na którym musiałem mówić, żeby rodzina załatwiała gotówkę na okup. Podczas tego nagrania miałem zakrwawione ręce i podbite oczy. Żebym tak tragicznie nie wyglądał, porywacze założyli mi na nos ciemne okulary. Nie jestem w stanie powiedzieć, kto mnie porwał i bił, bo mieli na głowach kominiarki. Jak siedziałem w piwnicy, to zalepili mi oczy szeroką ciemną taśmą klejącą. Nie wiem, jak wyglądali.

Policja wpada na trop „Gizma”

Przez dwa miesiące policja nie miała żadnych tropów – żadnych portretów pamięciowych, odcisków palców czy czegokolwiek. Kiedy śledczy już stracili nadzieję, że sprawa ruszy z miejsca, w ujęciu porywaczy pomógł przypadek. Kobieta zastrzegająca anonimowość zadzwoniła na komendę i powiedziała, że w ruderze przy ulicy Starowiejskiej mieszka jakiś bandzior, który ma broń.

Pojechało tam kilku funkcjonariuszy. W mieszkaniu zastali „Karola” i jego kolegę. Podczas przeszukania znaleźli pistolet maszynowy, amunicję, kominiarki i lewe dokumenty na skradzioną terenówkę. Jeden z sąsiadów powiedział, że jakoś po Wielkanocy „Karol” coś zakopywał w ogrodzie. Funkcjonariusze znaleźli świeżo usypany kopczyk. Pod niewielką warstwą ziemi były zakrwawione resztki ubrań. Policyjni technicy odkryli też ślady krwi w niewielkiej piwniczce, do której prowadziły schody ukryte pod klapą w korytarzu. Było niemal pewne, że w budzie „Karola” kogoś przetrzymywano lub zamordowano.

Kilka tygodni zajęło śledczym połączenie porwania „Rynkarza” z odkryciami w melinie „Karola”. Na Starowiejską przywieźli uwolnionego pod koniec kwietnia 1999 roku mężczyznę. Ten po zejściu do piwnicy od razu rozpoznał pał, do którego był przykuty przez trzy tygodnie. Świetnie też pamiętał charakterystyczny zapach stęchlizny i wilgoci ziemianki. Rozpoznał kolor piachu, na którym musiał spać przez trzy tygodnie.

– To tu mnie maltretowali – pewnie stwierdził „Rynkarz”.

„Gizmo” nie wiedział o pechowej wpadce „Karola”. Dowiedział się o niej kilka dni po zatrzymaniu kumpla. Jeszcze nie wiedział, że chodzi o porwanie „Rynkarza”, ale miał złe przeczucia. „Karol” po uprowadzeniu nie zmienił numeru telefonu. Jeśli psy złapały go ze starym aparatem, to po billingach mogły dojść i do niego. Poza tym nie pamiętał, czy dobrze posprzątało mieszkanie przy Starowiejskiej. Znając „Karola”, to pewnie nie. Jak się żegnali, obiecał wyczyścić „kwadrat”, ale był już po kilku głębszych i pewnie wcale nie posprzątał. „Gizmo” wiedział, że jak „Karol” zaczyna pić, to pije tydzień. W tym czasie lepiej się do niego nie zbliżać. „Jeśli podczas przeszukania psy znajdą kominiarki czy inne fanty z porwania, to już po mnie”, myślał Kłosiński.

Długo się nie zastanawiał. Aśce powiedział, że musi pilnie wyjechać. Nie tłumaczył, że wkrótce będzie poszukiwała go policja. Nie był też pewien „Karola”. Czy zacznie sprzedawać kumpli?

Każdy przestępca wie, że w podbramkowej sytuacji nie ma co liczyć na współników, bo mogą go wsypać. Najlepiej nie mieć zaufania do nikogo, nawet do żony, bo ona też może sprzedać. Wszystko jest jedynie kwestią ceny. Dlatego „Gizmo” zdecydował się na ucieczkę, choć wiedział, że będzie strasznie tęsknił za pięcioletnim synem.

Przez miesiąc ukrywał się w melinach u kumpli. Później wynajął mieszkanie na gdyńskim Pogórze. Już wiedział, że jest poszukiwany, bo policjanci weszli w mieszkanie rodziców na Witominie, gdzie nie mieszkał od pięciu lat. Za chwilę

zapukają do drzwi Aśki. To jedynie kwestia czasu. „Gizmo” czuł się jak lis, który próbuje wywinąć się nagonce, choć wie, że i tak mu się nie uda. Nienawidził tego wiecznego stanu podenerwowania każdym szmerem na klatce schodowej. Na ulicy co chwilę oglądał się za siebie. Przez okno sprawdzał, czy jakieś nieznane samochody nie stoją na przybłokowym parkingu. Ścigany – kurewskie uczucie.

„Gizmo” miał na razie na koncie krótką odsiadkę za rozbój w Gdyni. Dostał dwa lata w zawiasach, bo pobił pijanego gościa i zabrał mu portfel z drobnymi, kurtkę i telefon. Teraz, jeśli policja przyklei mu porwanie ze szczególnym udręczeniem ofiary, czekało go dobre kilka lat kryminału.

Trzysta tysięcy dolarów za życie dziecka

Żeby się ukrywać, potrzebował gotówki. Kumple zaproponowali mu kolejną poważną robotę. Tym razem mieli porwać Michała Sosnowskiego, syna bogatego trójmiejskiego biznesmena. Gość nie będzie skąpił kasy. Organizator, „Pusty”, obiecywał, że będzie starał się wyciągnąć od starego milion dolarów. Ryzyko spore, ale też mogła wpaść niezła gotówka.

Akcję zaplanowali na koniec stycznia 2000 roku. Chłopaka mieli zwinąć spod domku letniskowego nad jeziorem Sudoń w Sycowej Hucie pod Kościerzyną na Kaszubach.

Mówi jeden z bandytów: Wiedzieliśmy, że co tydzień jeździ tam dymać swoją nową dziewczynę, Madzię, skromną pracownicę banku, która myśli, że złapała Pana Boga za nogi. .. Wspominał nam o tym „Olo”.

Z porwaniem nie powinno być problemu. Parka dojedzie na miejsce około osiemnastej. Będzie kompletnie ciemno i raczej pusto. O tej porze roku nie ma tam letników, a Sycowa Huta jest zupełnie wymarła. Pojechali w dwa samochody, było ich sześciu. Kiedy audi A4 młodego Sosnowskiego podjechało pod daczę, „Gizmo”, „Willy”, „Pusty” i „Kontrast” w czarnych kominiarkach wybiegli z bronią do auta. Nie musieli niczego tłumaczyć. Kałasznikowy wycelowane w parę mówią wszystko. Skuli ich kajdankami i zapakowali do bagażnika terenowej vitary. Audi zepchnęli do rowu. Akcja trwała zaledwie dwadzieścia siedem sekund. To lepiej, niż kiedy próbowali, ale teraz byli na strasznym speedzie i totalnym wkurwie. Gdyby ktoś przypadkiem wszedł im w drogę, toby zabili jak psa. W żyłach buzowała adrenalina podrasowana sterydami i amfetaminą, którą wzięli przed porwaniem. Z narkotykiem nie przesadzali, chcieli być jedynie

szybsi. Kierowcy obu aut byli trzeźwi, a gdyby ich z porwanymi zatrzymała policja, to i tak nie miałyby znaczenia, czy są naszprycowani amfą.

Porwanych wywieźli do altanki w Gdańsku Jasieniu. Tam trzymali ich cztery dni. Młodzi leżeli skuci kajdankami na łóżku w zamkniętym pokoju. Nie mieli jednak źle. „Pusty” wiedział, że musi ich dobrze traktować, bo gruba kasa może przepaść.

– Włos im z głowy nie spadnie, jeśli nie zawiadomisz policji – tłumaczył ojcu Michała.

Ten prosił jedynie, by nie bić syna i dziewczyny. Po czterech dniach negocjacji postanowił przekazać trzysta tysięcy dolarów okupu. Gotówkę przywiózł osobiście pod most w Jasieniu. Choć już dzień po porwaniu zawiadomił policję, to o przekazaniu pieniędzy nie wspomniał funkcjonariuszom.

Przekazanie gotówki to najbardziej ryzykowny moment porwania. Bandyci dobrze o tym wiedzą. Na odbiór pojechali we trójkę: „Johnny”, „Gizmo” i „Pusty”. Umówili się pod mostem w Jasieniu. Kiedy zobaczyli ojca chłopaka, spuścili linkę. Ten przywiązał do niej reklamówkę z dolarami. „Gizmo” czuł zapach gotówki, gdy wciągał na lince ciężki pakunek. Już był pewny, że się udało... Nie było zasadzki, bo teraz musiałyby ich zatrzymać policja.

Kiedy pewnie trzymał torbę w rękach, wszyscy pobiegli do zaparkowanego przy moście passata. Ruszyli z piskiem opon. Pędzili tak kilka kilometrów. Wtedy schodziła z nich adrenalina. Zatrzymali się w lesie i policzyli gotówkę. Udało się. Wieczorem zabrali dziewczynę i chłopaka do auta i zawieźli na parking IKEA przy trójmiejskiej obwodnicy. Zostawili im drobne na taksówkę i odjechali.

Najwięcej kasy na porwaniu zarobił główny organizator „Pusty”. „Gizmo” dostał tylko dziesięć tysięcy dolarów, ale nie protestował. To i tak spory zarobek, jak na cztery dni roboty. Poza tym jedynie ubezpieczał kumpli podczas uprowadzenia i krótko pilnował pary w altance na działce.

To największy konfident!

Dzięki tej fusze miał kasę na kolejne tygodnie ukrywania się przed policją. Zgubiły go jednak kontakty z siostrą i matką. Policja podsłuchiwała ich telefony i w końcu nakryła melinę Kłosińskiego. „Gizmo” ponownie trafił za kratki wiosną 2000 roku. Siedział półtora roku, bo Sąd Najwyższy nie przedłużył tymczasowego aresztu. W procesie „Rynkarza” odpowiadał z wolnej stopy. Dlatego „Lucek” z CBS zatrzymał go na sali sądowej.

Kiedy rok później znowu go wsadzali, wiedział, że za wszelką cenę musi stamtąd wyjść. Nawet kosztem kumpli. Zresztą jego też nie oszczędzili. Wolski przecież pokazywał mu kartki z podpisem „Johnny'ego”.

Przez kilka miesięcy nadkomisarz i inni funkcjonariusze CBS regularnie odwiedzali Kłosińskiego, który spokojnym głosem opowiadał o swojej działalności w gangach.

„Gizmo”: Prawda jest taka, że od dwudziestego roku życia byłem bandytą. Z tego się utrzymywałem i żyłem na niezłym poziomie – mówił przesłuchującym.

„Gizmo” w swoich zeznaniach znowu cofnął się do połowy lat dziewięćdziesiątych. Żył nie tylko z porwań i rozbojów. Największą kasę zarabiał na narkotykach. Kokainę i amfetaminę kupował na kilogramy od „Cwejka”, kumpla legendarnego mafiosa Nikodema Skotarczaka, czyli „Niko-sia”. Po promocyjnych cenach, bo brał hurtowe ilości – zwykle za gram wychodziło raptem dwanaście złotych. Później towar rozprowadzał po swoich dilerach.

„Gizmo” nie oszczędzał nikogo. Z jego opowieści wyłaniał się obraz zorganizowanej przestępczości z przełomu wieków – gangsterzy nie byli przywiązani do stałych składów osobowych – do różnych robót dobierali sobie innych współników. To, że akurat z kimś poszedłeś na jakąś robotę, nie oznaczało, że wkrótce nie staniesz się ofiarą swoich kumpli. Trudno też mówić o przyjaźni. Ktoś był w bandzie, a za chwilę go nie było, bo został zamordowany przez konkurencję albo siedział w więzieniu. Pokrótce życie gangstera to tylko jazda bez trzymanki w przerwach między kolejnymi odsiadkami. Nikt też nie wiedział, czy akurat kompan od porwania nie jest wtyczką policji albo wkrótce nią nie zostanie.

Właśnie z uwagi na te różne układy podczas popełniania przestępstw zeznania „Gizma” były tak cenne. Dzięki nim za kratki powędrowało kilkaset osób.

Mówi przestępca związany z gangami w latach dziewięćdziesiątych (dziesięć lat odsiadki w różnych więzieniach w Polsce): To chyba największy konfident na Wybrzeżu. Wsyłał z trzysta osób z całej Polski. Zarabiał na porwaniach i narkotykach, więc miał wielu znajomych. Na mieście ludzie wiedzieli, że jest ostrym zawodnikiem i żadnej roboty się nie boi. Mieli do niego zaufanie. Dodatkowo robiła mu ta Legia Cudzoziemska, choć nikt nie dopytywał, jak długo tam służył. Wystarczyło, że pod celą snuł opowieści o białym kepi. To wzbudzało zazdrość.

Teraz nikt nie ma dla niego szacunku. To skończony konfident. Nie musiał przecież wsypać tylu ludzi...

Kłosińskiemu opłaciła się współpraca z prokuraturą. Dostał tzw. statut małego świadka koronnego, czyli maksymalne złagodzenie kary za sypanie kumpli. Za kilkanaście porwań, hurtowy handel narkotykami i napady rabunkowe dostał jedynie cztery lata więzienia. W 2007 roku wyszedł na wolność i od razu zniknął z kraju. Ukrywa się przed swoimi byłymi kumplami. Przyjeżdża jedynie na wezwania sądu, gdy ma zeznawać przeciwko innym gangsterom. Z obawy przed zemstą unikał nawet spotkania z kuratorem sądowym, który przez kilka miesięcy bezskutecznie poszukiwał go w mieszkaniu jego rodziców. Bał się, że to jedynie pretekst, a za rzekomym kuratorem stoją gangsterzy, których wsypał.

– Ma się czego obawiać, bo tę kurwę żywcem bym pogrzebał – mówi jeden ze skazanych po zeznaniach Kłosińskiego. – Ludzie już poukładali sobie życie po gangsterskich czasach, a tu nagle przychodzi psiarnia i wyciąga sprawy sprzed lat.

Z listu Kłosińskiego:

Z momentem opuszczenia aresztu śledczego w Gdańsku w 2007 roku wyjechałem poza granice kraju. Podjąłem pracę i pracuję legalnie. Zintegrowałem się ze społeczeństwem, prowadząc uczciwy tryb życia. Decyzja o wyjeździe z kraju była w moim przypadku koniecznością z uwagi na fakt współpracy z organami ścigania, gdzie ujawniłem okoliczności mojej działalności przestępczej i jednocześnie ujawniłem grupy przestępcze działające na terenie kraju. Telefonicznie rozmawiałem z Panią kurator, ale poinformowałem ją, że z uwagi na to, że obawiam się o swoje bezpieczeństwo, nie udzielię żadnych informacji na swój temat.

Karma powraca, mówi stare porzekadło. „Lucek”, skorumpowany gliniarz z CBS, który w 2003 roku zatrzymał „Gizma” na sali sądowej, pół roku później wyleciał z policji. Przez kilka lat kręcił się w szarej strefie. Starał się zaistnieć w środowisku przedsiębiorców. Sprzedał swoje kontakty i opowiadał bajki o pracy wywiadowczej w biznesie. Nie każdy się na to nabierał, ale za rzekomą „ochronę kontrwywiadowczą” udało mu się wyłudzić od kilku osób po kilkanaście tysięcy złotych. Interes jednak nie szedł, bo już nie był funkcjonariuszem służb. By spłacić długi za szaleństwa sprzed lat, w końcu zaciągnął się jako najemnik. Pływa jako ochroniarz na statkach w rejonie Zatoki Adeńskiej.

Rozdział VIII

Chłopcy w krótkich spodenkach

Ministerstwo Sprawiedliwości nie prowadzi statystyk zbrodni dokonywanych przez byłych najemników. Tego typu informacje pojawiają się jedynie w kronikach kryminalnych jako ciekawostki w sensacyjnym życiorysie przestępcy. „Były legionista” w tytule artykułu potęguje ciekawość, bo Légion Étrangère od dziesięcioleci otacza aura tajemnicy i przygody.

Opowiada emerytowany oficer CBS: Obecność w gangach ludzi po robocie w służbach, wojsku czy zagranicznych jednostkach, takich jak Legia Cudzoziemska, nie może dziwić. W dużym stopniu zorganizowaną przestępczość lat dziewięćdziesiątych tworzyli esbecy i ich agenci. Potem to ewoluowało. Na początku lat dziewięćdziesiątych Polacy masowo zaciągali się do Legii. Po kilku latach wracali. Jeszcze młodzi, a coś musieli robić.

Często w gangach spotykamy byłych antyterrorystów, żołnierzy wojsk specjalnych czy legionistów. Powód jest prosty: ci ludzie są szkoleni do zabijania, a w najlepszym przypadku do krzywdzenia innych. To zawodowcy. Przy nich zamroczeni dragami dresiarze latający z bejsbolami to chłopcy w krótkich spodenkach. Nawet jeśli jeden z drugim trochę potrenował sztuki walki czy poprzerzucił żelazo na siłowni, to byłemu komandosowi do pięt nie dorasta. W latach dziewięćdziesiątych było widoczne przenikanie się obu światów. Policjanci i żołnierze jednostek specjalnych stali na bramkach w knajpach i burdelach. Dorabiali do groszowych pensji. Gangsterzy i psiarnia dobrze się znali. Gangi wchłaniały ludzi z doświadczeniem, bo byli świetnie przeszkoleni nie tylko w napierdalance, ale również w strzelaniu.

Co się dzieje w psychice człowieka narażonego na przemoc i odpowiadającego tym samym, może obrazować przypadek Radosława Perlaka. Ten syn poznańskich naukowców pragnął być wojskowym, jednak polska armia go nie chciała. Kiedy skończył osiemnaście lat, rzucił naukę i wyjechał do Francji. Zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej. Służył kilkanaście miesięcy w elitarnym desantowym 2. REP na Korsyce. Latem 1999 roku przyjechał na przepustkę do Polski. Na bazarze kupił broń, bo – jak twierdził – dzięki niej czuł się pewniej.

Była upalna końcówka czerwca, początek wakacji. Na wypoczynek do wujka w Silpii Małej koło Włoszczowej przyjechał szesnastoletni Marek ze Śląska. Tego dnia chłopak miał urodziny. Rano poprosił kolegę z wioski, żeby poszedł z nim na jagody. Kiedy chłopcy spacerowali po lesie, minął ich młody mężczyzna w spodniach moro i czarnej koszulce. Szedł z ciemną torbą. Był to Radosław Perlak.

– Jak daleko jest do najbliższej wioski? – zapytał nastolatek.

– Do Silpii będzie jakieś półtora kilometra – odpowiedział Marek.

Perlak już o nic więcej nie pytał. Z torby wyciągnął scorpiona i posłał serię do chłopców. Położył trupem Marka, a jego kolegę ciężko ranił. Później, jakby nic się nie stało, odszedł. Kiedy ranny odzyskał świadomość, doczołgał się do drogi. Tam poprosił przypadkowego przechodnia o pomoc. Ruszyła gigantyczna policyjna obława. Na nogi postawiono policjantów w całym województwie, a do Silpii Małej ściągnęło kilkuset mundurowych. Tyraliera uzbrojonych funkcjonariuszy przeczesywała lasy wokół Włoszczowej.

Perlak miał szczęście – złapał malucha na stopa. Tym sposobem wymknął się z okrążenia. Dojechał do Częstochowy. W mieście wzbudził podejrzenia dwóch policjantów z patrolówki. Zatrzymali go do kontroli.

– Co masz w torbie? – zapytał jeden z mundurowych.

Wtedy Perlak szybkim ruchem wyciągnął scorpiona i wpakował kilka kul wprost w pierś funkcjonariusza. Drugi próbował schować się za murkiem i dostał serię w plecy. Kiedy policjantowi skończyła się amunicja, Perlak mógł go zabić, ale odpuścił.

– Gdybyś miał z czego strzelać, tobym cię zabił – rzucił rannemu.

Policjanci byli ciężko ranni, ale lekarzom udało się ich uratować. Perlak uciekł na teren byłych zakładów „Warty” i tam poddał się ochroniarzom.

Jeszcze tego samego dnia był przesłuchiwany przez prokuratora. Nie krył, że zabijał ludzi w Afryce, gdzie miał chronić cywilów. Nawet się szczycił, że „osobiście zabił dwunastu Murzynów”. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego strzelał do chłopców.

Perlak: Kiedy zobaczyli, że mam broń, zaczęli krzyczeć. Pewnie się przestraszyli. Powiedziałem, żeby się zamknęli, ale oni nadal krzyczeli. Zacząłem strzelać, zupełnie nie panując nad tym, co się działo. Strzelałem, ponieważ w Legii zostaliśmy nauczeni, że jeśli jest jakiś problem, to się strzela i go likwiduje, a później ewentualnie wojsko załatwia sprawy z tym związane.

Podczas pierwszych przesłuchań Perlak nie uchylał się od odpowiedzialności. Przyznał się do wszystkich zarzutów. Liczył na złagodzenie kary. Na sali sądowej zmienił taktykę. Dziennikarze relacjonujący proces pisali, że był zimny i wyrachowany. Nie okazał skruchy i wyparł się wcześniejszych wyjaśnień. Twierdził, że zostały zmanipulowane przez policję, a on jest niewinny. Przy masie zebranych dowodów i zeznaniach świadków te słowa brzmiały banalnie. Jego tłumaczenia nie przekonały sądu.

– Na szczęście dla oskarżonego kodeks karny nie przewiduje obecnie kary śmierci – stwierdził sędzia w uzasadnieniu wyroku dożywocia. To kara za zamordowanie szesnastolatka i ranienie trzech osób.

Perlak, odsiadując dożywotni wyrok więzienia, pisze książkę o resocjalizacji i polskim więziennictwie. Chętnie udziela się w prasie. Nie kryje twarzy, choć motywów zbrodni sprzed lat nie potrafi wytłumaczyć i nigdy tak naprawdę nie powiedział, dlaczego zamordował niewinnego chłopca. Przez wiele lat siedział na ence jako szczególnie niebezpieczny przestępca. O warunkowe zwolnienie będzie mógł się ubiegać w 2034 roku.

* * *

Wyjątkowo łagodnie sąd obszedł się z innym mordercą, który wcześniej nosił mundur Legii Cudzoziemskiej – Mariusz Krępy za zabójstwo żony w 2010 roku dostał jedynie piętnaście lat. Ten dziś czterdziestodwuletni mężczyzna po służbie w białym kepi pracował w ochronie. Po zatrzymaniu został oskarżony o uduszenie i podpalenie kobiety. Tłące się zwłoki znalazł kierowca w zaspie śnieżnej koło drogi na Gniezno. Po poszlakowym procesie były legionista dostał stosunkowo niski wyrok, bo sędziowie uznali, że działał w afekcie po kłótni z żoną.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział IX

Kontraktorzy w Iraku i Pakistanie

Irak, wiosna 2004 roku. Każdy biały poruszający się po ulicach to potencjalny cel dla rebeliantów i sunnickiej milicji. Misja stabilizacyjna wojsk amerykańskich była nieskuteczna, a zabójstwa wojskowych zdarzały się niemal codziennie.

Pod koniec marca w Faludży sunniccy ekstremiści zaatakowali dwa dzipy firmy ochroniarskiej Blackwater. Podczas starcia zginęło czterech najemników. To nie był koniec jatki. Irakijczycy nienawidzą amerykańskiej firmy, bo jej pracownicy słyną z okrucieństwa wobec cywilów. Rozwścieczony tłum włókł przez miasto zmasakrowane zwłoki: Scotta Helvenstona, Jerka Zovko, Wesleya Batalona i Michaela Teague; powiesił je na przęsłach mostu nad Eufratem. Podpalił trupy wiszące na przewiązanych wokół nóg linkach. Wiwatował. Świat obiegły zdjęcia rozradowanych dzieci na tle nadpalonych ciał najemników. Fotografie zszokowały Amerykę. Pod naciskiem opinii publicznej marines przypuścili atak na miasto, którego nie udało się wyrwać z rąk rebeliantów. To zemsta za lincz.

W tym samym czasie polscy żołnierze bronili się w City Hall w Karbali przed oddziałami Armii Mahdiego. Była to największa bitwa Wojska Polskiego po II wojnie światowej. Polacy i Bułgarzy bronili się przez cztery dni, nie tracąc żadnego żołnierza. Rebelianci byli wściekli. Tylko jednego dnia przeprowadzili w Karbali zamachy, w których zginęło sto czterdzieści osób.

W Iraku było tak niebezpiecznie, że Polska Akcja Humanitarna zdecydowała się na wycofanie z kraju ostatnich dwóch pracowników, mimo że ci cały czas się kamuflowali. Poruszali się jedynie zdezelowanymi samochodami, które zmieniali co kilka dni. Mimo zaciemnionych szyb jeździli na tylnych siedzeniach pasażerów, bo kierowca musiał być tubylcem. Polak musiał ukrywać twarz za chustą, a jego koleżanka wychodziła na ulicę w abai, typowym stroju szyitek zakrywającym całą postać. Te środki bezpieczeństwa nie wystarczały. Nie można było być pewnym lokalnego przewodnika, bo okup za porwanego Europejczyka mógł sięgnąć kilku milionów dolarów. Na Wielkanoc Polacy opuścili Bagdad jako

jedni z ostatnich cywilów po dziesięciu miesiącach spędzonych w dolinie Tygrysu i Eufratu.

W maju do Polski dotarła szokująca informacja – w zamachu zginęli korespondent wojenny TVP Waldemar Milewicz i algierski montażysta z polskim obywatelstwem Mounir Bouamrane, a operator kamery Jerzy Ernst został ranny. Polacy jechali z Bagdadu do Nadżafu. W Al-Latifiji ich czarny daewoo prince został ostrzelany z broni maszynowej. Dwaj dziennikarze zginęli na miejscu.

W Iraku panowała prosta zasada – jeśli jesteś rozpoznawalny, stanowisz potencjalny cel. Najbardziej niebezpieczne były drogi. Po zastrzeleniu Milewicza polscy dziennikarze, poza nielicznymi wyjątkami, już nie opuszczali baz wojskowych. W kraju operowali jedynie żołnierze Polskiego Kontyngentu Wojskowego.

Mówi były oficer GROM-u: Wyjazdy Polaków jako żołnierzy kontraktowych zaczęły się od czasów Iraku, kiedy żołnierze Wojska Polskiego złapali pierwsze kontakty z firmami, które ochraniały bazy irackie. To procedury amerykańskie. Ochrona jest powierzana zewnętrznym firmom. Choć po prawdzie często ochrona bazy to emerytowani koledzy żołnierzy. Były sytuacje, że amerykańscy żołnierze siedzieli w bazie wojskowej, a potem brali urlop i za pięć tysięcy dolarów pilnowali tej samej bazy, ale już jako kontraktorzy. Polacy zobaczyli, że w ten sposób można zarobić. Ryzyko jest to samo, a pieniądze kilkukrotnie większe, bo przecież pięć kawałków za pilnowanie bramy, sprawdzanie przepustek i siedzenie na wieży to spora kasa. Dla porównania w tym czasie polski żołnierz na misji zarabiał od siedmiuset pięćdziesięciu do tysiąca dwustu dolarów. Umowy są różne, bo to indywidualna kwestia. Najczęściej zależy od rodzaju konfliktu, do którego są wysyłani kontraktorzy. Może opiewać na miesiąc, dwa miesiące, pół roku czy rok. Wszystko zależy od stawek. Czasami firmy PMC (Private Military Companies) wyznaczają też okres próbny. Co istotne, przyszły kontraktor musi zwrócić uwagę na detale, bo po podpisaniu umowy może się okazać, że za broń i wyżywienie będzie musiał sam zapłacić.

Jednak najistotniejszą rzeczą dla kontraktora i jego rodziny jest ubezpieczenie. Bo co rodzina będzie mieć po śmierci najemnika? Amerykanie w Blackwater tak skonstruowali kontrakty, że wdowa po żołnierzu dostaje pieniądze do momentu ponownego zamążpójścia. Wraz z powtórny ożenkiem renta wygasa. Na gotówkę po zmarłym mogą też liczyć dzieci.

Podczas pierwszej misji w Iraku polska armia przejęła amerykańskie zwyczaje. Baz wojskowych pilnowali ochroniarze z Mongolii albo Ukrainy, którzy byli dużo tańsi. Choć nie można powiedzieć, że żołnierze na bramie są mniej ważni niż ci w środku. Przecież od nich zależy życie wszystkich w bazie. Brama, z uwagi na bezpieczeństwo, to punkt kluczowy. Amerykanie o tym wiedzą. Często bram pilnują byli żołnierze sił specjalnych.

Mówi żołnierz biorący udział w misjach w Iraku:

Pamiętam, że u Amerykanów w bazie dowódcą zmiany był kontraktor po Navy SEALs. Taki człowiek wie, za co bierze pieniądze, stojąc na bramie. Wojsko to wojsko: albo się samo ochrania, albo ma do pomocy kontraktorów. Podobnie wygląda ochrona urzędów i placówek dyplomatycznych, linii lotniczych czy konwojów humanitarnych. Być może nieco przemilczana jest ochrona szybów i rurociągów, a przecież tym również zajmują się firmy ochroniarskie. Ktoś tego wszystkiego musi pilnować. I to będzie wojsko, policja albo PMC. Do ochrony VIP-ów są wykorzystywani prawie wyłącznie kontraktorzy.

„Kaśka” i „Żuk” giną w zasadzce

Na początku czerwca 2004 roku dołączyli do nich pierwsi Polacy – czterej byli żołnierze GROM-u, którzy zaciągnęli się do amerykańskiej firmy Blackwater. Sytuację w Iraku znali świetnie – jeszcze w maju byli żołnierzami JW 2305, a kilka tygodni wcześniej stacjonowali w Bagdadzie, gdzie poznali chłopaków z Blackwater. Skusiły ich wielkie pieniądze. Kontraktor mógł miesięczne zarobić trzydzieści tysięcy dolarów, czyli ponad sto tysięcy złotych. To przy kilku tysiącach żołdu suma astronomiczna, która mogła skusić każdego żołnierza na misji. Pierwszego czerwca pracę w Blackwater zaczęli „Kaśka”, „Żuk”, „Maniek” i „Vojs”. Trafili do bazy w Pałacu Wodnym w Bagdadzie. Choć zwykle nowi rekruci przechodzą szkolenia w forcie w USA, to specjalny instruktaż w ośrodku firmy nie dotyczył Polaków. Amerykanie dobrze wiedzieli, że mają do czynienia z profesjonalistami, bo jeszcze na misji byli GROM-owcy podpisali z Blackwater półroczne kontrakty.

Mówi były oficer GROM-u: Każdy na misji uważa, że jest urodzony pod szczęśliwą gwiazdą. Jesteśmy tak skonstruowani, że nawet jak coś się stanie koledze, to nie dopuszczamy myśli, że nam też coś mogłoby się stać. Trzeba jednak podkreślić jedną rzecz. Żołnierze jednostek specjalnych stosunkowo

rzadko giną na misjach, bo biorąc pod uwagę czas akcji, nie są długo narażeni na niebezpieczeństwo w porównaniu na przykład do wojsk patrolujących zagrożone tereny. Specjaliści są zrzucający na tyły wroga, załatwiają sprawę i znikają. Nie wystawiają się na cel, jak służby patrolowe czy ochronne. Tę świadomość mieli chłopcy, którzy odchodzili z GROM-u, ale skusiły ich wielkie pieniądze. Dla kontraktora jest istotne, że teraz może być zwykłym ochroniarzem, który ma chronić VIP-a, i jednocześnie głównym celem do unieszkodliwienia. To kolosalna różnica i dużo większe niebezpieczeństwo utraty życia.

Była sobota, 5 czerwca 2004 roku. Dwa terenowe suburbany należące do Blackwater wyjechały z Pałacu Wodnego, gdzie stacjonowały amerykańskie cywilne i wojskowe władze, i skierowały się w stronę lotniska. Mieli jechać po cywila. Planowany odbiór gościa miał się odbyć w bazie wojskowej na terenie portu lotniczego.

Zwykle kontraktorzy z Blackwater opuszczają bramy rezydencji autami opancerzonymi. Tego dnia jeden pancerny suburban był niesprawny.

Czterech najemników musiało jechać zwykłą terenówką. Trafiło na „Zuka”, „Kaśkę” i dwóch Amerykanów, Jarroda Little i Chrisa Neidricha. Pozostali – dwaj Polacy i Amerykanin – zapakowali się do opancerzonego wozu. Wjechali na trzypasmową drogę na lotnisko. Nic podejrzanego się nie działo. Na głównej trasie przelotowej Bagdadu ruch był taki jak zwykle. Kiedy przejechali kilkaset metrów, z daleka zobaczyli kilka zniszczonych aut osobowych, jakich tysiące suną po drogach Iraku. Przystarzałe modele z lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych to norma na Bliskim Wschodzie. Na tym tle nowe suburbany komandosów się wyróżniają. Irakijczycy wiedzą, że w Pałacu Wodnym stacjonują agenci CIA oraz najemnicy z Blackwater. Właśnie takimi opancerzonymi terenówkami jeżdżą po Bagdadzie. Kiedy dwa wozy blackwatersów pędziły w stronę lotniska, z daleka nie było widać, że kilka aut jadących z naprzeciwka ma opuszczone szyby. Polacy nie przypuszczali, że właśnie wjeżdżają w zasadzkę rebeliantów, choć ataki na tej drodze to codzienność mimo wielu amerykańskich patroli. Flummery z ciężkimi karabinami maszynowymi stoją co kilkaset metrów.

Schemat działania bojówek zwykle jest podobny – czujka śledząca auta wyjeżdżające z pałacu telefonicznie informuje o ruchu na bramie. Na sygnał do ataku czekają kilkaset metrów dalej bojówkarze w autach. Gdy mijają cel, otwierają ogień.

Tak też się działo w tym przypadku. Atak przypuścili mężczyźni jadący czterema osobówkami. Kiedy auta się mijają, zaczęła się kanonada. Kontraktorzy

z Blackwater nie mieli szans, by wcześniej dostrzec napastników. W tumanach dymu widać było jedynie plujące ogniem czarne lufy wystające z okien aut. Wystrzału granatnika nie było słycać w seriach z kałasznikowów. Pocisk uderzył w pierwszego czarnego suburba, który podskoczył i od razu stanął w płomieniach. To auto nie było opancerzone. W jego stronę poleciało też kilka granatów ręcznych. Dopełniły zniszczenia. Drugi suburban próbował zasłonić palący się samochód kolegów, ale było już za późno na pomoc. Rozerwane ciała Polaków i Amerykanów płonęły w aucie.

Trwał ostrzał. Bojówkarze dziurawili oba wozy seriami pocisków. Dwaj Polacy i Amerykanin bronili się przez kilka minut. Próbowali pomóc kolegom uwięzionym w płonącej terenówce, ale w aucie widzieli jedynie zmasakrowane ciała dwóch GROM-owców: porucznika Krzysztofa Kaśkosa „Kaśki” i chorążego Artura Żukowskiego „Żuka” oraz ich amerykańskich kolegów. Żadnych szans na pomoc, a wokół było naprawdę gorąco. Co chwila powietrzem targały eksplozje kolejnych granatów. Polakom i rannemu Amerykaninowi udało się pod osłoną ognia przebiec na drugą stronę jezdni. Zatrzymali przypadkowe auto i uciekli w stronę amerykańskich posterunków.

„Kaśka” i „Żuk” zginęli w zaledwie piątym dniu kontraktu dla Blackwater. Wkrótce potem sukcesem w zamachu na CIA pochwaliła się iracka odnoga Al-Kaidy – Dżamiat al-Tawhid wal Dżihad. To organizacja kierowana przez jordańskiego terrorystę Abu Musaba az-Zarkawiego.

Rodziny dowiedziały się o śmierci „Kaśki” i „Żuka” od ich kolegów z GROM-u. Kilka tygodni trwało sprowadzenie ciał komandosów. Procedury się przedłużały, bo do rozpoznania zwłok konieczne były badania DNA. Polska armia w ogóle nie pomagała w transporcie trumien z Iraku, bo dwaj komandosi formalnie nie byli już żołnierzami, a tylko kontraktorami. Rodziny musiały same załatwiać formalności. Pomagali im koledzy zabitych. W końcu na początku lipca ciała „Kaśki” i „Żuka” przyleciały do Polski. Koszty transportu i pochówku pokryła Blackwater. Wojsko zapewniło jedynie asystę honorową podczas przywitania ciał w Polsce.

Pogrzeby nie miały charakteru wojskowego. Nie było salwy honorowej. „Kaśka” został pochowany na niewielkim cmentarzyku we Wrocławiu, niedaleko osiedla, gdzie dorastał. Na uroczystości nie brakowało jedynie przyjaciół z GROM-u i szkoły oficerskiej. Przyjechał też twórca jednostki generał Sławomir Petelicki.

Dwaj pozostali GROM-owcy, którzy zostali ranni podczas zamachu, też

wrócili do Polski. To był koniec ich kariery kontraktorów.

Podczas wojny w Iraku w latach 2003–2008 zginęło trzech polskich kontraktorów. Poza chłopakami z GROM-u w zasadzkę wpadł też były komandos z Lublińca, który pracował dla brytyjskiej firmy Aegis.

Kolejna ofiara wśród najemników to Konrad Rygiel, który zginął w Afganistanie podczas misji rozpoznawczej w czerwcu 2010 roku. Rygiel od 2002 roku służył w Légion Étrangère.

W dolinie Tagab, pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Kabulu, żołnierze Legii mieli się spotkać z przedstawicielami lokalnych władz i pomóc francuskim lekarzom. Tam talibowie przygotowali zasadzkę. Stanowisko legionistów zostało ostrzelane z broni maszynowej i przeciwpancernej. Dwudziestoosmioletni Polak zginął od odłamków. Ranni zostali jego trzej koledzy. Dla sierżanta Rygla była to już druga misja w Afganistanie. Służył w elitarnym 2. REP, czyli w komandosach Légion Étrangère od 2002 roku. Podczas wojkowego pogrzebu w Calvi Konrada Rygla żegnał nawet ówczesny prezydent Francji Nicolas Sarkozy.

Liczba kontraktorów rannych podczas akcji nie jest oficjalnie znana. Nie jest też znana dokładna liczba Polaków pracujących jako kontraktorzy. Nikt nie prowadzi takich statystyk, a firm ochroniarskich są na rynku tysiące.

Mówi były oficer GROM-u: Nie każdy się chwalił takim wyjazdem. Na podstawie informacji od chłopaków, którzy byli na misjach, można przypuszczać, że dla firm zatrudniających kontraktorów pracowało kilkanaście osób z przeszłością w Wojsku Polskim. Na pewno nie jest to jakaś zawrotna liczba. W Polsce najbardziej kojarzymy Blackwater, bo zasłynęła tym, że podczas pracy dla niej zginęło dwóch chłopaków z GROM-u.

Jak szacują moi rozmówcy z wojsk specjalnych, w ciągu ostatnich lat blisko dwudziestu Polaków przewinęło się przez Blackwater, jedną z wielkiej trójki firm, obok Aegis i DynCorp, zatrudniających kontraktorów. Firma mająca siedzibę w Karolinie Północnej zarabia miliardy dolarów dzięki kontraktom z rządem USA na świadczenie usług dla wojska. Jej założyciel Erik Prince ma świetne układy z republikanami i to napędza koniunkturę na kontraktorów z Blackwater. Rząd USA płaci tysiąc dwieście dolarów dziennie za pracę jednego najemnika.

To właśnie najemnicy z Blackwater jesienią 2007 roku ewakuowali helikopterem w Iraku polskiego ambasadora Edwarda Pietrzyka po ataku rebeliantów.

Masakra na placu Nusoor

Dobra passa dla spółki skończyła się jednak 16 września 2007 roku. Tego dnia jej ochroniarze eskortowali amerykańskiego urzędnika ze strzeżonej zielonej strefy na lotnisko. Podczas przejazdu kolumny wybuchła bomba. Eksplozja nikomu nie zrobiła krzywdy, ale najemnicy spanikowali i wezwali posiłki z bazy. Podczas ewakuacji cztery auta się zgubiły i wjechały omyłkowo do innej dzielnicy. Kluczyły uliczkami Bagdadu i w końcu trafiły na zatłoczony plac Nusoor w zachodniej części miasta. Tego już było za wiele jak na ich nerwy. Tłum nie chciał ustąpić, a Amerykanie, żeby wymusić przejazd, rzucali w ludzi butelkami z wodą. Zwykle tak postępują. Iraccy policjanci próbowali okiełznać tłum, ale ich wysiłki na niewiele się zdawały. Ciżba napierała na samochody. Nicholas Slatten nie wytrzymał i puścił serię z karabinu maszynowego. Kule trafiły w jadącego z naprzeciwka starego mercedesa, na miejscu zginął młody kierowca. Auto toczyło się jeszcze kilkanaście metrów. Tłum wpadł w panikę, a to jeszcze bardziej rozwścieczyło blackwatersów. Walili na oślep z karabinów maszynowych. Strzelali we wszystkich kierunkach. Któryś krzyknął, żeby przestać, ale nikt go nie słuchał. Kanonada trwała dwadzieścia minut.

Najemnicy zabili siedemnastu Irakijczyków i ranili dwadzieścia cztery osoby. Wśród zabitych był jedenastoletni chłopiec. Masakra uszła Amerykanom płazem. Pod naciskiem Irakijczyków ruszyło śledztwo, które miało wyjaśnić zasadność użycia broni. Postępowanie ujawniło też inne praktyki blackwatersów, czyli m.in. polowania na cywilów po podrzuceniu im broni lub amunicji. To stanowiło pretekst do przeszukań i morderstw. Awantura wokół firmy skutkowałą wyrzuceniem z pracy ponad stu ochroniarzy, którym udowodniono nieuzasadnioną agresję wobec Irakijczyków. Podczas śledztwa w Kongresie USA, które z pewnością miało też aspekt polityczny, na plus dla firmy zaliczono skuteczność – żaden z dygnitarzy nie zginął podczas służby kontraktorów z Blackwater.

Ale Blackwater została w Bagdadzie znienawidzona. Jednak chęć linczu na Amerykanach nie była podyktowana tylko wściekłością tłumu. Osama bin Laden obiecał bojownikom dżihadu po pięćdziesiąt tysięcy dolarów za głowę każdego kontraktora z Blackwater.

Po masakrze na placu Nusoor lokalne władze zażądały od Amerykanów wyrzucenia firmy z Iraku. Amerykanie mydlili oczy i zmieniali nazwy:

Blackwater przeistoczyło się w Blackwater Worldwide, potem w Xe, a dziś nazywa się Academi.

Mówi były operator GROM-u: Obserwując firmy PMC i szkolenia, można zauważyć, że trafia tam wielu przypadkowych ludzi. W pewnym momencie zabrakło żołnierzy. Do tych firm brano wszystkich, którzy mieli amerykański paszport. Sytuacje związane z Blackwater wynikały z tego, że kontraktorzy nie wytrzymywali ciśnienia, bo nigdy nie byli żołnierzami. Tu trzeba szukać drugiego dna.

– Gdzie w takim razie leży problem? – pytam.

– Problemem jest to, że ludziom się wydaje, że są fajni i dadzą sobie radę, a tak nie jest.

– Nie ma porządnej weryfikacji?

– Co innego weryfikacja tu, w Warszawie, a co innego weryfikacja w Iraku czy Afganistanie. Nie przez przypadek ktoś opisał syndrom PTSD. Nie każdy na to cierpi, ale najsłabszy element tak. Problem wynika z tego, że ktoś sobie nie daje rady na wyjeździe. Dla komandosa najważniejsze jest opanowanie w sytuacji stresowej. Czasami się wydaje, że ktoś do ciebie strzela, a strzela obok... I to jest ten problem. Nigdy nie można tracić głowy. Doświadczenie bojowe, znajomość lokalnych zwyczajów i prawa jest kluczowa w takich sytuacjach. Od tego są siły specjalne, a nie pierwszy lepszy poborowy, który sobie jedzie na wojnę. Jak każdy jedzie na wojnę, to później ma syndrom PTSD. Po powrocie nie radzi sobie ze sobą. Na misji musiał strzelać do ludzi, a nie był do tego przygotowany.

– Więc co jest najważniejsze?

– Radzenie sobie ze stresem i umiejętność przetwarzania danych. Tak jest na całym świecie. Po to szkoli się siły specjalne. To są specjalistyczne szkolenia, które trwają wiele czasu. Tak było z cichociemnymi. Różne specjalności, łączność, podrabianie dokumentów.

To muszą być ludzie, którzy wiedzą, po co idą do sił specjalnych. Przede wszystkim do takich jednostek idzie się na ochotnika, czyli człowiek już jest odpowiednio zmotywowany. Gdyby każdy mógł trafić do sił specjalnych, to nie nazywałyby się siłami specjalnymi, tylko normalnym wojskiem. Litwini mają jeszcze bardziej restrykcyjny nabór do swojej jednostki specjalnej, odpowiednika GROM-u. Tam najpierw przez co najmniej rok trzeba być w komandosach, żeby potem trafić do Żaliukai. Nie jest traktowana jako równoległa jednostka. Do firm PMC zaczęli napływać przypadkowi ludzie i

zaczęły się problemy.

Wyrok dla najemników z Blackwater za masakrę na placu Nusoor zapadł dopiero wiosną 2015 roku. Sąd w Waszyngtonie za zabicie irackich cywilów skazał na dożywocie jednego z najemników, a trzem innym wymierzył karę trzydziestu lat więzienia.

Od pierwszej wojny w Zatoce Perskiej udział kontraktorów w stosunku do regularnej armii stopniowo wzrastał. Szacuje się, że wtedy kontraktorzy stanowili tylko 1 procent zaangażowanych żołnierzy, w 2003 roku – 10 procent, a już pięć lat później na dwóch żołnierzy przypadał niemal jeden najemnik. Według ostrożnych szacunków w 2010 roku w Iraku przebywało około stu tysięcy kontraktorów.

Wojna z talibami

Poza Irakiem drugi Polski Kontyngent Wojskowy operował w Afganistanie. Początkowo liczył jedynie dwustu żołnierzy, ale w latach 2010–2011 rozrósł się do dwóch i pół tysiąca.

Mówi były oficer GROM-u: Myśląc o kontraktorach, skupiamy się na kwestiach widowiskowych związanych z działalnością wojska, czyli sytuacjach, gdzie widzimy chłopaków w akcji z bronią, a rzeczywistość wygląda nieco inaczej. Pamiętam, że w Afganistanie szukano techników do obsługi śmigłowców. Rekrutację prowadziła wśród Polaków afgańska armia, bo my jako nieliczni lataliśmy na ruskim sprzęcie. Na kontraktorów poszukuje się, tak jak w zwykłym wojsku, żołnierzy wszystkich specjalności: medyków, techników, pilotów czy komputerowców. W Afganistanie spotkałem kolegę, który miał kontrakt łącznościowy. Robota nie należała do wyjątkowo niebezpiecznych. Chodził po bazach i sprawdzał odbiorniki. Jedyne ryzyko wiązało się z tym, że przebywał w Afganistanie, a nie pracował na przykład w telekomunikacji. Inny kontraktor to kolega z dzielnicy, choć wiele lat wcześniej wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Był zatrudniony na amerykańskim okręcie. Miał potrzebną wiedzę, zgłosił się i firma zatrudniła go w marynarce.

– Główna motywacja kontraktorów to gotówka? – pytam.

– Nie zawsze, ale na pewno to bardzo ważny argument. U niektórych chłopaków zwycięża chęć przygody. Są goście, którzy cały czas muszą się

sprawdzać i coś sobie udowadniać. Jak chcą, to jadą na misję jako kontraktowi. Może czasem wynika to też ze zwykłej ludzkiej próżności. Ot, żeby się popisać w towarzystwie. Co istotne, żołnierze jeżdżą, bo znają taką robotę z misji i uważają, że to dla nich bezpieczne. Podam przykład. Choć bardzo pospadały stawki, to nadal w modzie są wyjazdy do ochrony statków przed piratami w rejonie Afryki i nadal wielu chłopaków chce w ten sposób zarobić. Jeżeli na statek jedzie ekipa czterech czy sześciu i znają się od lat, to jadą prawie jak na wakacje. Na zorganizowaną wycieczkę z elementem ryzyka.

Kluczowe dla kontraktorów jest ubezpieczenie. To najważniejsza pozycja w umowie. Dla najemnika liczy się bardziej niż sama miesięczna pensja.

Mówi żołnierz po kilku kontraktach w krajach muzułmańskich: Mogą ci proponować robotę na lotnisku w Afganistanie albo Iraku za dwa i pół tysiąca dolarów miesięcznie. Bez żadnego ubezpieczenia. Nie dość, że to niewielkie pieniądze, to jeszcze ogromne ryzyko. Zginiesz i rodzina dostaje guzik, a nie pieniądze. Co wtedy z takiego kontraktu?

Polscy żołnierze są ubezpieczeni na dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych na wypadek śmierci. Taką sumę otrzymuje rodzina, jeśli wojskowy zginie na misji. Kontraktorzy sami muszą negocjować wysokość ubezpieczenia.

Opowiada były najemnik: W umowie miałem zawarte tajne ubezpieczenie, o którym nawet żona nie mogła wiedzieć. Chodzi o to, że ubezpieczyciele chcą uniknąć sytuacji, gdy na przykład żona „sprzątnie” męża, żeby dostać kasę po jego śmierci. W moim przypadku stanęło na milionie złotych, ale znam przypadki, że ubezpieczenie na wypadek śmierci wynosiło milion dolarów. Chodzi o to, żeby po śmierci kontraktom rodzina nie musiała już pracować. Rynek się popsuł, ale są misje, które wymagają specjalnych kwalifikacji i umiejętności, a w takich przypadkach firmy są skłonne zawrzeć umowę na tak wysokie odszkodowanie.

Prócz Afganistanu szczególnie niebezpieczne tereny to północny Pakistan, w którym de facto rządzą plemiona, a pakistańska armia rzadko zapuszcza się w te rejony.

Bezpiecznie nie jest nawet w Islamabadzie. 20 września 2008 roku potężna eksplozja targnęła centrum pakistańskiej stolicy. Był to samobójczy zamach na hotel Marriott, w którym często zatrzymywali się Europejczycy i Amerykanie

(w tym agenci CIA). Zamachowiec zdetonował przed wejściem ciężarówkę z materiałami wybuchowymi. Zginęły pięćdziesiąt cztery osoby, w tym czeski ambasador Ivo Ždarek. Dwieście sześćdziesiąt osób odniosło obrażenia. Ładunek wybuchowy był tak potężny, że przed hotelem powstał dziesięciometrowy krater. Eksplozja zrujnowała budynek.

Pakistańskie władze oskarżyły o zamach talibów powiązanych z Al-Kaidą. Przed zamachem Marriott był uważany za bezpieczne miejsce biznesowych spotkań, jednak jednoznacznie kojarzył się z Amerykanami i Europejczykami.

Nikt też specjalnie nie krył, że hotel często odwiedzali agenci CIA, więc atak nie był przypadkowy.

W Pendżabie ryzykowny kontrakt dla Oil & Gas Development Company Limited realizowała Geofizyka Kraków. Projekt nosił nazwę „Soghri 3D”. Polacy na zlecenie Pakistańczyków robili przede wszystkim tak zwane zdjęcia sejsmiczne w pagórkowatej i wysuszonej przez słońce prowincji. Stosowali głównie wibratorową metodę wzbudzania fal sejsmicznych. Pozyskane w ten sposób dane przetwarza się i interpretuje i na tej podstawie obrazuje się geologiczną budowę podłoża. Prace były trudne i niebezpieczne, bo pomiarów dokonywano na terenie o blisko sześciusetkilometrowej powierzchni. Na miejscu pracowało osiemnastu polskich naukowców. Na zbieranie pomiarów musieli jeździć właśnie oni, bo Pakistańczyków wykorzystywano jedynie do prostych prac.

Geofizyka miała swoją bazę niedaleko Pind Sultani, niewielkiej miejscowości sto kilometrów na zachód od Islamabadu. Do granicy z Afganistanem jest stąd niespełna dziewięćdziesiąt kilometrów. Prawie niezamieszkaną bezkres ciągnie się po horyzont. Jedynie gdzieś na bezdrożach są rozrzucone niewielkie wioski. Miejscowi żyją tu tak samo jak tysiąc lat temu, ale nie można im ufać, bo gdy się zdenerwują, mogą wyciągnąć pochowane w namiotach kałasznikowy.

Pod Pind Sultani naukowcy mieszkali w kontenerach. Obóz był prowizorycznie ogrodzony, a pięciu Polaków pilnowali pakistańscy ochroniarze. To stamtąd codziennie wyjeżdżała zwykła terenowa toyota land cruiser na badania w terenie. To bardzo monotonna, wręcz nudna robota. Wymagała ciągłego powtarzania tych samych czynności. Zaczynało się od wyznaczenia powierzchni do sprawdzenia, następnie sześć wibratorów ustawiało się w jednej linii i potem powoli sunęło przez wyznaczony obszar, na którym wcześniej pakistańscy robotnicy rozłożyli geofony – czujniki służące do rejestrowania drgań sejsmicznych i przetwarzające je na impulsy elektryczne. To w zasadzie rodzaj

sejsmografu. Urządzenia następnie się zaczytywało, a wyniki przekazywało do rekordera, czyli pojazdu rejestrującego. Jeśli prowadziło się badania na polach ryżowych, to nie było problemu z wierceniem i prace przebiegały szybko. Gorzej, gdy naukowcy trafiali na skałę. Wtedy trzeba było użyć dynamitu.

Praca monotonna i powtarzalna, ale tak właśnie wyglądało tworzenie mapy 3D podziemnych złóż dla Pakistańczyków. Sprawę dodatkowo utrudniały wielkie upały. Pagórkowaty teren był wypalony przez słońce. Gdy maszyny ruszały, podnosiły się tumany kurzu. Przy pięćdziesięciu stopniach nie było czym oddychać. O schronieniu w cieniu nie było co myśleć, bo w pobliżu rosły tylko pojedyncze krzewy.

Porwanie Piotra Stańczaka

Był ranek 28 września 2008 roku. Do szarego land cruisera wsiadła pakistańska obstawa – kierowca i dwóch ochroniarzy – oraz Piotr Stańczak, czterdziestodwuletni inżynier górnictwa po Politechnice Krakowskiej.

Przebywał w Pakistanie od sierpnia na kontrakcie dla Geofizyki. To zaledwie kilka tygodni w Pendżabie. Wcześniej w Małopolsce również zajmował się tworzeniem podziemnych map złóż naftowych. Do wyjazdu nie był specjalnie przekonany, ale zadecydowały pieniądze. W Pakistanie geolog może zarobić ponad dziesięć tysięcy na rękę. Po rozmowach z najbliższymi Stańczak poleciał do Islamabadu.

Wspomina były pracownik Geofizyki: Piotr w ogóle nie miał jechać na ten pomiar. Tak się zdarzyło, że człowiek, który powinien to zrobić, miał kaca i źle się czuł. Nie byłby w stanie spędzić całego dnia poza bazą, tłukąc się terenówką po wertepach. Padło na Piotra.

Land cruiser wyjechał z bazy pod Pind Sultani. Pakistańscy ochroniarze nie wzięli drugiego auta obstawy. Jechali szutrową drogą do rekordera. Po czterech kilometrach dotarli do ciężarówki, gdzie umieszczono aparaturę do pomiarów sejsmicznych.



Obóz w Pind Sultani w Pakistanie, zaledwie cztery kilometry dalej porwano Piotra Stańczaka. Polscy inżynierowie mieszkali w kontenerach.

Talibowie wyłonili się jak spod ziemi. Zasadzka była dobrze przygotowana. O wyjeździe geologa z bazy prawdopodobnie dostali cynk od pakistańskich robotników zakładających geofony. To biedacy z pobliskich wiosek, przez Polaków określani mianem mafii Guiaba – tak nazywa się miejscowy bonzo, który rekrutuje miejscowych do pracy dla Europejczyków. Dla wieśniaków jest panem życia i śmierci, bo to on decyduje, kto będzie pracował dla nafcjarzy. Za kilkadziesiąt dolarów są w stanie sprzedać każdego.

Kiedy Stańczak wyszedł do rekordera, talibowie zaatakowali land cruisera. Dobrze wiedzieli, do kogo mają strzelać. Kierowca i jeden z ochroniarzy nie mieli szans, bo bandytów było kilkunastu. Momentalnie ich zabili. Drugi ochroniarz jeszcze próbował uciec z auta, ale został ścięty serią z kałasznikowa. To byli członkowie ugrupowania Tehrik-i-Taliban i zależało im tylko na jednym – porwaniu Piotra Stańczaka. Wiedzieli, że za Polaka mogą dostać nawet kilka milionów dolarów okupu. Uprawdzili go i przetrzymywali tuż przy granicy z Afganistanem. Nie bili go i nie znęcali się nad nim. Piotr dostawał tutejsze

jedzenie i był przyzwoicie traktowany. Powód był jeden – talibowie chcieli pieniądze za jego głowę. Członkowie Tehrik-i-Taliban mają dwa źródła dochodów: porwania i produkcję opium. To dzięki okupom i gotówce za narkotyki mogą kupować broń.

Dwa tygodnie po porwaniu sekretarka w redakcji tygodnika „Dawn” w Islamabadzie otworzyła kopertę z płytą CD. Był na niej nagrany kilkuminutowy film. Przedstawiał Stańczaka siedzącego przed pakistańską chatą, na której zawieszono czarną flagę z arabskimi napisami. Obok Polaka stało dwóch zamaskowanych terrorystów z kałuszami w rękach. Talibowie celowali w Piotra, ale ten nie wydawał się przerażony. Tygodnik „Dawn” opublikował film na swojej stronie internetowej. To klasyczne zagranie terrorystów: po uprowadzeniu wysyłają do lokalnych redakcji filmy ze swoimi żądaniami. Podobnie było po porwaniu dziennikarza „Wall Street Journal” Daniela Pearla w 2002 roku.

Porwany mówił po polsku: Nazywam się Piotr Stańczak, jestem z Polski, pracuję w Pakistanie, teraz jestem w rękach pakistańskich talibów. Jestem z nimi i czuję się dobrze. Traktują mnie przyzwoicie. Oni czują się zagrożeni. Chcą być również wolni i dlatego proszę wszystkich Polaków, którzy mnie oglądają i słuchają, żeby wywrzeć nacisk na nasz rząd, żeby uwolnili tych, którzy są w więzieniach, wtedy również ja będę wolny.

W imieniu terrorystów poprosił o wypuszczenie na wolność stu dziesięciu talibów więzionych w Pakistanie. To żądanie niemożliwe do spełnienia dla Pakistańczyków, którzy walczą z mudżahedinami, choć czasami władze w Islamabadzie stosują fortel – wypuszczają więźniów na kilka godzin, a po uwolnieniu porwanych ponownie ich zatrzymują. Jednak Piotr o tym nie wiedział. Po ujawnieniu żądań terrorystów w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych rozpoczęły się nerwowe narady. Najbliżsi geologa o porwaniu dowiedzieli się od polskich dziennikarzy. Jego siostra płakała na antenie telewizji: To dla mnie szok, nie mogę w to uwierzyć, to niemożliwe.

Pod koniec października premier Donald Tusk spotkał się z szefem pakistańskiego rządu. Rozmowy niewiele dały. Polskie służby dyplomatyczne nie zdradziły kulisów negocjacji. W listopadzie minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski zapewnił, że Piotr nadal żyje. Pod koniec tego miesiąca jego rodzina ujawniła, że otrzymała list z żądaniami porywaczy. Pakistański rząd nie zamierzał jednak ustępować. W grudniu nadal trwała walka o życie Piotra. Do Islamabadu pojechał specjalny wysłannik polskiego rządu Zenon Kuchciak. Ten wieloletni urzędnik MSZ-u wsławił się w latach dziewięćdziesiątych odnalezieniem i doprowadzeniem do uwolnienia pięciu Polaków porwanych w

Czeczeniu. W Pakistanie jednak niewiele wskórał, bo głównie ukrywał się w ambasadzie. W negocjacjach pomagali też byli oficerowie WSI, którzy mieli kontakty w Afganistanie. Jednak sytuacja Piotra nie uległa zmianie.

Pod koniec 2008 roku tygodnik „Dawn” ponownie opublikował w sieci żądania terrorystów. Tym razem porywacze grozili, że jeśli władze nie przerwą impasu, to Polak zostanie zamordowany. Padła konkretna data dekapitacji – 4 lutego 2009 roku. Piotr do końca wierzył, że zostanie uwolniony. Nie załamywał się. Talibowie, widząc jego postawę, zaproponowali mu nawet przejście na islam. To tylko zagrywka, bo wtedy mieliby propagandowy oręż w postaci Europejczyka, który nawrócił się na ich wiarę i przyłączył do dżihadu. Polak odmówił, dyplomatycznie tłumacząc, że musi się poradzić rodziny. Nie wiedział, że pakistański rząd nie pójdzie na żadne ustępstwa i jego los jest przesądzony.

8 lutego film z egzekucji Piotra Stańczaka pokazała telewizja Al-Dżazira. Przed śmiercią geolog wygłosił jeszcze rozpaczliwy apel do polskiego rządu, bo do końca ufał, że uda się go uwolnić. Zginął w mękach, talibowie poderżnęli mu gardło i ucieli głowę. Dzień później premier Tusk poprosił media, by nie emitowały filmu z egzekucji.

Rzecznik talibów, przedstawiający się jako Muhammad, powiedział w rozmowie z Agencją Reutera, że polski inżynier nie żyje, a jego ciało wydadzą tylko wtedy, gdy zostaną spełnione ich żądania.

– Zabiliśmy tego mężczyznę po tym, jak władze Pakistanu odmówiły uwolnienia naszych towarzyszy – stwierdził.

W kwietniu za pięćdziesiąt tysięcy dolarów Polacy wykupili od talibów ciało Piotra Stańczaka. Został pochowany na cmentarzu w rodzinnym Krośnie. Polskie służby specjalne nie zdradzają kulisów nieskutecznych negocjacji z terrorystami.

Porwanie i egzekucja Piotra Stańczaka to oficjalnie koniec działalności Geofizyki Kraków w Pakistanie. Premier Tusk był wściekły z powodu niefrasobliwości polskich służb podczas tych trudnych negocjacji decydujących o życiu Piotra. Pewne jest jednak, że po likwidacji WSI i ujawnieniu agentów w raporcie Macierewicza polski wywiad w Pakistanie nie działał tak jak wcześniej. Dodatkowo polskie działania zdyskredytowali Amerykanie, którym udało się wykupić swojego obywatela po 109 dniach jego niewoli.

Po tym tragicznym wydarzeniu w pakistańskich mediach pojawiły się też artykuły krytykujące metody dbania o bezpieczeństwo w obozie Geofizyki Kraków.

Dla „Pakistan Tribune” mówił Nasir Khan Durrani, oficer miejscowej policji:

Dziwne, że cudzoziemski specjalista został wysłany do stanowiska w opuszczonym, odludnym miejscu bez odpowiedniej ochrony. Wokół terenu nie było drutu kolczastego ani żadnych innych zabezpieczeń.

Po uprowadzeniu i morderstwie Piotra Stańczaka dalsze losy kontraktu Geofizyki Kraków dla Oil & Gas Development Company Limited stanęły pod znakiem zapytania. Choć spółka-córka PGNiG była w Pakistanie od dziesięciu lat, nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby talibowie porwali pracownika polskiej firmy.

Opowiada proszący o anonimowość inżynier (na czterech kontraktach przepracował w Pakistanie ponad dwa lata): Po porwaniu Piotra nastąpiła prawdziwa psychoza strachu. Jeszcze w 2005 roku w Islamabadzie czy Karaczi można było spotkać białych. Zwykle byli to Amerykanie lub Europejczycy pracujący dla zachodnich korporacji i agencji CIA poszukujący Osamy bin Ladena. Wtedy ich ochroną zajmowali się talibowie, choć dochodziły nas plotki, że mogą też być niebezpieczni. Miałem kontrakt informatyczny i wiele podróżowałem po Pakistanie, choć oczywiście jedynie po największych miastach i z zachowaniem wszelkich zasad bezpieczeństwa. Zawsze z ochroną. Inaczej nie poruszałem się w związku z pracą. Sytuacja diametralnie się zmieniła w 2008 roku. Najpierw zamach w Marriotcie, a potem porwanie Piotra. W tym czasie ze strachu wiele zachodnich korporacji zaczęło zwijać interesy w Pakistanie. Dalszy pobyt w tym państwie wydawał się zbyt niebezpieczny.

Premier Donald Tusk zażądał zerwania kontraktu przez Geofizykę Kraków i natychmiastowej ewakuacji pozostałych geologów. Był jednak pewien problem. Rozwiązanie umowy kosztowałoby Polaków siedemdziesiąt milionów dolarów. To oznaczałoby upadek firmy i wyrzucenie na bruk tysiąca dwustu pracowników. Władze spółki, żeby ratować kontrakt, musiały zatrudnić kontraktorów do ochrony pracowników. Trzeba było też zmienić zasady bezpieczeństwa. Przez kilka dni po porwaniu żaden z polskich pracowników nie opuszczał bazy pod Pind Sultani. Dodatkowo chroniły ich wzmocnione oddziały pakistańskiego wojska.

W połowie października 2008 roku osiemnastu polskich pracowników Geofizyki wróciło do kraju. Na miejscu pozostało prawie czterystu pakistańskich współpracowników spółki. Kontrakt dla Oil & Gas Development Company Limited został zawieszony.



Pomnik w miejscu porwania Piotra Stańczaka

Rozdział X

„Wydma pustynna” w Krakowie

Jesień 2016 roku. Z „Białym” spotykamy się w Krakowie.

– Jest taka herbarciarnia na Kazimierzu, gdzie są genialne herbatki. Tam robiliśmy odprawy z chłopakami przed wyjazdami do Pakistanu, bo można wypić oryginalną herbatę i w spokoju porozmawiać – zaciąga z typowym krakowskim akcentem.

Umawiamy się więc w „Czajowni”.

„Biały” to Darek. Czterdziestodziewięcioletni właściciel firmy ochroniarskiej „Last Bastion”. Niewysoki i trochę przysadzisty, mocno ściska prawicę na przywitanie. Nieco jowialny typ z szelmowskim uśmiechem z dumą mówi, że jest krakusem od urodzenia. Od razu zamawia „wydmę pustynną”. Choć to mieszanka chińskich herbat z marokańską miętą, jest często podawana w krajach Orientu i kojarzy się z Pakistanem. Nawet na krakowskim Kazimierzu.

To właśnie „Biały” po morderstwie Piotra Stańczaka przejął kontrakt na ochronę pracowników Geofizyki. Miał w krótkim czasie zapewnić bezpieczeństwo polskim inżynierom.

Darek, choć ma lekką nadwagę, zwinnie się porusza. Od dziecka trenował dżudo, zaczynał w sekcji Wisły Kraków. Po podstawówce uczył się na mechanika, ale i tak główną jego pasją pozostawał sport. Dzięki niemu nie musiał wkladać wojskowych kamaszy. Wojsko odrobił w klubie. Wielkich sukcesów nie osiągnął, ale zwykle kręcił się koło podium. Najwyżej uplasował się na piątym miejscu podczas Mistrzostw Polski.

Kiedy kończył odrabiać wojsko, Polska wkraczała w nową rzeczywistość. Upadała komuna, a „Biały” nie miał za bardzo pomysłu na życie. W 1989 roku na rynku w Krakowie otworzył się nowy kantor potocznie zwany „Studenckim”. Byli cinkciarze szybko wyczuli koniunkturę i rozkręcali kolejne punkty sprzedaży. Jest kasa, więc musi być też ochrona. Rynek potrzebował wysportowanych i w razie czego potrafiących przyłać młodych wilczków. „Biały” dostał robotę w kantorze. Stał na bramce od rana do wieczora. Robota nie była ciężka, a przyzwoity grosz spływał do kieszeni. Był tylko jeden kłopot – przestał trenować

dżudo, nieregularnie się odżywiał i zaczął tyć. Nie tylko przybierał na wadze, ale też coraz gorzej się czuł, mimo swoich nieco ponad dwudziestu lat. Po pół roku stania na bramkach wyłądownął u swojej lekarki sportowej, bo miał ciśnienie jak sześćdziesięcioletek. Nawet po pokonaniu kilku stopni schodów łapał zadyszkę.

Lekarka po krótkim badaniu powiedziała:

– Albo znajdziesz sobie pracę, gdzie będziesz się ruszał, albo pójdiesz do piachu. Nie da się przerwać wyczynowego sportu i nic nie robić. Z twoim nadciśnieniem długo nie pociągniesz. Darek, ja nie żartuję...

„Biały” poczuł dreszcz po słowach znajomej lekarki. Zbyt długo się znali, by miała tak żartować.

Darek: Zastanawiałem się, co ze sobą zrobić, a miałem kolegę z sekcji, który poszedł do antyterrorystów. Pomyślałem, że to fajna sprawa, a jednocześnie uratuję swoją skórę, bo po słowach pani doktor już nie chciałem stać na bramce. Wcześniej słyszałem o komandosach i misztalowcach. Ale pogłębionej wiedzy nie miałem. Na szczęście u nas na sekcji był policjant. Powiedział, żebym przyszedł, to zobaczę, czy warto. Udało mi się przejść badania. Dowódca prewencji w Krakowie od razu się zgodził, bo znali mnie z sekcji dżudo. Wiedzieli, że jestem zawodnikiem, bo policjanci też przychodzili się szkolić na matę. Na policjanta operacyjnego mnie nie ciągnęło, chciałem iść do antyterrorystów, bo kojarzyli mi się z fajną robotą i ratowaniem ludzi.

W poczekalni u policyjnego lekarza „Biały” spotkał dowódcę pododdziału antyterrorystów, „Krzywego”. Zapytał o możliwość przyjęcia do kompanii antyterrorystycznej. Ten jak zwykle był oszczędny w słowach.

– Zdasz, chłopie, egzaminy, to cię przyjmiemy – skwitował.

Darek: No i zdałem egzaminy i tak na osiemnaście lat zostałem w antyterrorystach. Po prawdzie to byłem zakochany w AT. Uwielbiałem tę robotę. Cała historia zaczęła się od antygangów, czyli załóżka CBŚ. Znałem chłopaków, którzy to tworzyli, bo razem trenowaliśmy. Zawsze chciałem ludzi ratować, a AT z tym mi się kojarzyło. Czasami się zastanawiałem, czy nie lepiej by było, jakbym został strażakiem, ale w końcu zostałem w policji. Do tego niezły dowódca mi się trafił, bo „Krzywego” zazdrościły nam inne jednostki, gdyż bardzo dbał o swoich ludzi. Przynajmniej tak mi się wydawało jako młodemu gliniarzowi. Mimo że zarabialiśmy grosze, atmosfera w AT była fajna. Tam zbierali się sami pasjonaci, bo kto chciałby nadstawić karku za taką kasę.

Wszyscy musieliśmy na sobie polegać i mieć do siebie stuprocentowe zaufanie, bo w AT nie ma miejsca dla samotnych kowbojów. Liczy się drużyna.

Jak zostałem kominiarzem

„Biały” zaczynał jako operator, potem został dowódcą drużyny, by skończyć na stanowisku instruktora. Kumple wołają na antyterrorystów czarni lub kominiarze. Ksywka pochodzi od czarnego munduru, który noszą podczas akcji. Jest ich pięćdziesięciu pięciu, a drużyna, którą dowodził „Biały”, liczyła siedmiu operatorów. W teamie każdy musi polegać na każdym, a podczas akcji liczą się sekundy. To o tyle istotne, że akcje ateciaków zazwyczaj są błyskawiczne.

Lata dziewięćdziesiąte to krwawe porachunki gangów w całej Polsce. Trup ścielił się gęsto w Warszawie, na Wybrzeżu i na przejściach granicznych. Podobnie było w Krakowie, gdzie gangi walczyły o strefy wpływów, haracze z burdela i knajp oraz rynek zbytu na narkotyki, choć pod Wawelem nie było tylu trupów.

– Haracze były modne, bo to łatwa kasa dla ludzi z miasta. Może nie było tak ostro jak w Warszawie, ale jak człowiek raz zapłacił, to potem już tylko równia pochyła. No, ale żeby nie oberwać, każdy płacił. Nie było wyjścia – wspomina krakowski biznesmen prowadzący w latach dziewięćdziesiątych duży lokal na Rynku Głównym.

Te wojny czasem zakrawały na groteskę, jak wtedy, gdy krakowscy gangsterzy zakupili bombę od bandytów z Trójmiasta i wpadli na dworcu kolejowym w Krakowie z ładunkiem wybuchowym w siatce, zanim zdążyli go podłożyć. Na czoło krakowskiego półświatka wysunęły się dwie grupy „Marchewy” i „Pyzy”, którzy skrzyknęli wokół siebie co odważniejszych dresiarzy oraz kiboli Wisły i Cracovii. Oczywiście szalikowcy stali po przeciwnych stronach barykady. To młode wilki, które w przeszłości próbowały swoich sił w sportach walki, ale im kariera nie wyszła. Znając kilka ciosów i mieszając je ze zwykłą chuliganką, potrafili kozaczyć na Starym Mieście.

Bandyci wiedzieli, kto jest w AT, ale krzywdy policjantom po służbie nie robili. Tych, co trenowali dzudo, znali z zawodów i imprez.

Gangsterów kreujących się na mafijnych bossów „Biały” znał jeszcze z czasów, gdy stał na bramce w kantorze. Któregoś dnia bandzior z gangu „Pyzy” zagadał go podczas przypadkowego spotkania w klubie na Starym Mieście:

– Darek, znamy się trochę czasu i nigdy krzywdy z mojej strony nie miałeś. Powiedz mi tak szczerze, co byś zrobił, jak byś miał do mnie strzelać?

– Jak byś komuś krzywdę robił, to bez skrupułów bym strzelał – odpowiedział „Biały”.

Bandyta tylko na niego popatrzył. Już nic nie mówił. Wtedy skończyły się jakiegokolwiek pytania ze strony znajomych, których poznał podczas roboty na bramce. „Biały” nie musiał nigdy strzelać ani do „Marchewy”, ani do „Pyzy”, za to rzucał ich „na glebę” podczas zatrzymań.

„Biały”: Te osiemnaście lat w psiarni to zatrzymania złodziei, wariatów i lokalnych watażków, którzy uważali siebie za nie wiadomo jaką mafię. Nie liczyłem nigdy tych akcji, bo pewnie i trudno byłoby to wszystko zliczyć. „Marchewę” i „Pyzę” też zatrzymywałem. Wielokrotnie z lokalnymi bandziorami jeździłem w konwojach, jak w przypadku gangu morderców właścicieli kantorów z Nowego Sącza. Najlepsze, że większość zatrzymanych znałem wcześniej z miasta. Takie życie...

Praca w policji lat dziewięćdziesiątych to nie tylko brawurowe zatrzymania gangsterów, ale też koszmarnie niskie pensje. Antyterrorysty, żeby przeżyć, dorabiali na bramkach w knajpach.

Formalnie nie było na to zgody przełożonych i część oficerów krzywo patrzyła na nocne fuchy. Ale właściciele barów sami prosili o to antyterrorystów. Gangsterzy, widząc policjantów po służbie, byli spokojniejsi i, co ważniejsze, do lokali nie wprowadzali narkotyków.

Mówi były policjant z Krakowa: Chodziliśmy na bramki, ale jak się robiło cicho, to nas zwalniali. A jak gangusy wracały, to znowu nas prosili, ale wtedy odmawialiśmy, bo nie wchodzi się drugi raz do tej samej rzeki, skoro nas wyrzucano.

„Biały” też przez kilkanaście miesięcy dorabiał w ten sposób, ale lokalna prasa podniosła raban, zrobiła się afera i „bramki” się skończyły. Policjanci, którzy chcieli pozostać w służbie, unikali bramek, a za stójkowych zaczęli robić ludzie z miasta. Gangi dresiarzy przejęły interes w całym Krakowie.

„Biały”: Myśmy tak mało zarabiali, że nie mieliśmy pieniędzy, żeby przeżyć. Kiedyś dowódca mnie zapytał, jak wyrabiam z kasą. Tłumaczę, że nie wyrabiam. Dwójka dzieci, mieszkanie i przedszkole. Nigdy nie jeździłem jakąś super- furą,

a co miesiąc mi brakowało do pierwszego jakieś pięćset złotych. Te czasy, choć wesołe, to dla policjantów bieda z nędzą... Jedyne profity ze służby w antyterrorystach to możliwość robienia tego, co się kocha: nurkowanie, skoki ze spadochronem czy wspinaczka. Ludzie za takie rzeczy płacili duże pieniądze.

Służba w AT to też monotonia i nuda konwojów i ochrony sędziów podczas rozpraw. Trzy lata trwały wyjazdy do kryminału w Tarnowie i dowożenie bandy bezwzględnych morderców – „gangu Chowańców” – do sądu w Nowym Sączu.

Wspomina były policjant: Jak dziś pamiętam, że trzy dożywocia były. To goście, którzy potrafili zabić za pięćdziesiąt złotych. Podobnie było z Ryszardem Boguckim, który w Nowym Sączu odpowiadał za morderstwo bossa Pruszkowa „Perszinga”. Jak proces ciągnął się kilka dni, to musieliśmy stacjonować na miejscu. Taka robota.

Jednak AT to nie tylko brawurowe rajdy na mafijnych bonzów. Część policyjnej wierchuszki postrzega kominiarzy jako tępych osiłków, więc gdy trzeba wykonać fizyczną robotę, też posyłają antyterrorystów.

Wspomina były krakowski ateciak: Jak przed sylwestrem trzeba było rozkuć łańcuch na Rynku Głównym, żeby postawić stanowisko dowodzenia, to posyłali nas. Mieliśmy młoty i łomy, a do tego uznawano nas za siłaczy, więc zdaniem przełożonych nadawaliśmy się do takiej roboty.

Jak jest pełnia albo wieje halny, to wiadomo, że jakiś szalenciec musi się trafić. Policjanci nawet nie muszą obstawiać, bo to pewne jak w banku. Kiedy samobójca grozi skokiem, to na akcję jedzie AT. Dopiero kilka lat później próbami samobójczymi zaczęli się zajmować zwykli funkcjonariusze.

Absurdów było więcej. „Biały” wspomina akcję wejścia do fabryki amfetaminy pod Krakowem. Policja dostała cynk o chemicznej manufakturze i miała dwa tygodnie na przeciwiczenie wejścia. Kominiarze ćwiczyli w bunkrach, które miały podobną budowę jak piwnice, gdzie produkowano narkotyki. Na odprawie dowódca powiedział, że akcja odbędzie się wyjątkowo bez użycia broni. Policjanci zamiast pistoletów maszynowych mieli mieć pałki tonfa.

– No dobrze, a jak gangusy będą miały broń, to co? Mamy atakować pałkami?
– dopytywał policjant.

– Nie będzie takiej potrzeby, mamy informacje, że oni nie będą strzelać, bo w fabryczce są substancje chemiczne i wybuchowe – odpowiedział oficer.

Na szczęście pomysł ataku na gangsterów bez broni nie doszedł do skutku. Policyjni komandosi weszli – jak zwykle – z drzwiami i pistoletami.

Połowa lat dziewięćdziesiątych w policji to nie tylko marne wynagrodzenia, ale również pierwsze kontakty z Amerykanami. Antyterrorysty wyjeżdżali na szkolenia do USA. Wtedy pododdział „Białego” zaczął rozkwitać. Po wyjazdach zmieniły się standardy. Po upadku PRL policja na nowo się kształtowała, tak też było z antyterrorystami. Mieli trochę taktyki z wojska, a trochę własnych wynalazków. Metodą prób i błędów policja organizowała się przeciwko gangom. Po wizytach w USA zaczął się tworzyć konkretny model działania AT wykorzystujący doświadczenia SWAT i Secret Service. Ruszyła ochrona VIP-ów, a antyterrorysty wspomagali Biuro Ochrony Rządu.

„Biały”: Dzięki temu miałem przyjemność ochraniać prezydenta Busha i innych prezydentów.

Rozwijała się też cała kompania AT, wychodząc naprzeciw zagrożeniom. Wojny gangów nabierały rozmachu. Bandyty nie ograniczali się tylko do strzelania do siebie. Bomby wybuchły pod samochodami konkurencji, burdelami i restauracjami. To najprostsza metoda zastraszania i wymuszania haraczu. Policja nie zostawała w tyle. Powstały pierwsze sekcje pirotechniczne. Tak też się działo w krakowskim AT.

„Biały” od dziecka kochał wodę. Chciał w tym kierunku rozwijać się w antyterrorystach. Specjalizował się w nurkowaniu. Tyle że w policji taka robota nie polega na przyjemnych zejściach pod wodę w celu podziwiania podwodnego świata. Robota nurka znaczy jedno – wyciąganie topielców.

„Biały”: Wyciągnąłem z wody dwanaście osób – dwójkę dzieci i dziesięcioro dorosłych. Pewnie gdzieś w psychice twarze tych ludzi zostają, ale nie mam czegoś takiego, żeby mi się śniły po nocach. Nigdy nie miałem koszmarów z topielcami. Nie mam żadnych traumatycznych wspomnień, choć pamiętam, że pierwszego topielca pod wodą dotykałem.

Lata dziewięćdziesiąte to krwawy konflikt w krajach byłej Jugosławii. Polska policja od 1992 roku tworzyła kontyngent w Kosowie UNPROFOR. „Biały” trzykrotnie jeździł na misje pod egidą ONZ. Stacjonował w Mitrowicy i Priz- nie. Wyjazdy wiązały się z ryzykiem, ale oznaczały też dużo większe pieniądze, choć i tak nieporównywalne z tym, co otrzymywali żołnierze ONZ. Polacy dostawali dziewięćset dolarów, a ich zagraniczni koledzy, którzy wykonywali identyczną

robotę, dwa i pół tysiąca.

„Biały” : Na pierwsze misje powinni jeździć sami komandosi. Sześćdziesiąt procent wyjeżdżających nie nadawało się do tego, a pojechało tam jedynie ze względów finansowych. Początkowo nawet nie mieliśmy sprzętu. Na miejscu byliśmy zaraz po wojnie i nie wszyscy radzili sobie ze stresem. Były przypadki, gdy policjanci się załamywali z powodu tego, co widzieli, ale to wynikało z tego, że w ogóle nie powinni znaleźć się w Kosowie – tłumaczy.

W brygadzie awans na instruktora nie oznaczał, że przestawało się jeździć na akcje. W AT nie było wtedy sekcji bojowych i instruktorskich. Panowała zasada, że wszyscy jeżdżą na interwencje. Różnica była taka, że w większości przypadków instruktor dowodził drużyną i odpowiadał za całość operacji.

„Biały” : Zawsze byłem skupiony na pracy. Najważniejsze, żeby wrócić ze wszystkimi, z którymi wyjechałem. To był dla mnie priorytet podczas akcji. No, ale nastał rok 2007 i jakoś w tyle głowy zaczęła mi świtać myśl, że chciałbym zacząć robić coś nowego. W pododdziale więcej bym nie osiągnął, bo musiałbym iść do szkoły oficerskiej, a nie było wówczas takiej możliwości. Poprzestałem na stopniu aspiranta sztabowego. Stwierdziłem, że odejdę na emeryturę i założę swoją firmę ochroniarską. Tak powstał „Last Bastion Security”.

Od Iraku do Pakistanu

„Biały” zaczął działać na rynku cywilnym. Po osiemnastu latach w policji i trzech misjach w Kosowie miał renomę, a przede wszystkim znali go ludzie. Wpadły pierwsze zlecenia, w których pomagał mu kolega z czerwonych beretów po misji w Iraku.

Gdy potrzebował więcej ludzi, to podpierał się kolegami, którzy byli w służbie albo już poza służbą. Utrzymywanie stałej liczby specjalistów kosztuje.

Pojawiły się pierwsze niecodzienne zlecenia. Przyjechała dziewczynka, która chciała odzyskać cementownię w Nowej Hucie. Problem polegał na tym, że po upadku komuny dogorywający zakład kupili Turcy, a ostatni właściciel aktualnie przebywał w Jordanii. Trzeba było jechać na Bliski Wschód i szukać człowieka oraz dokumentów.

W biznesie są też wpadki, czy raczej nieuczciwi kontrahenci, co w tej branży

jest niemal normą. „Biały” szkolił ludzi do ochrony w Iraku.

„Biały”: Chodziło jedynie o to, żeby się nie pozabijali. Dla mnie nie ma znaczenia, kto jest VIP-em. Ważne, że zespół ma pojechać razem i wrócić razem. Takie zlecenie nie było problemem, bo kontraktorów szkoliłem już podczas służby.

Najważniejsza jest zasada – cokolwiek by się działo, to zawsze razem wracamy. Szkolenie kulało, ale gwoździem do trumny było to, że po całej tej imprezie nie dostałem ani grosza. Gość, który mnie wynajął, po prostu mi nie zapłacił.

Były oficer CBS z Gdańska: To normalne w tym biznesie, gdzie poza byłymi ludźmi służb kręcą się ludzie z półświatka i różnego rodzaju naciągacze. Najczęściej żeby przejąć jakiś kontrakt, trzeba najpierw zainwestować, na przykład w szkolenia czy różnego rodzaju certyfikaty. To nie są małe pieniądze. Chodzi o kwoty rzędu siedmiu do piętnastu tysięcy złotych. O takich przynajmniej słyszałem. Delikwent płaci za to, że może sobie przez dwa dni postrzelać i pobiegać po lesie. Prowadzi się z nim rozmowy, obiecując kontrakt za dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie, a potem nic z tego nie wychodzi, bo tak zwana wielka firma okazuje się bandą naciągaczy. Mam kolegę, który w ten sposób wtopił dziesięć tysięcy. Przez pięć dni zabawiał się w komandosa pod Poznaniem. Miał jechać do Afganistanu, a gównem z tego wyszło...

Zima 2009 roku. „Biały” dostał telefon od kumpla ze służb, że jest robota w Pakistanie, ale nikt nie chce się tego podjąć. Miał jeszcze w głowie komunikaty o porwaniu i morderstwie polskiego geologa w Pendżabie. Kraków jest mały i zaraz wiadomo, że chodzi o kontrakt właśnie dla Geofizyki. Informacje o zleceniu rozchodzą się pocztą pantoflową w branży ochroniarskiej.

„Biały”: Powiedziałem, że jeśli w ogóle miałbym wejść w ten kontrakt, to konieczny będzie rekonesans w Pakistanie. Bez tego nie ma mowy, żebym jechał. Nikt nie robił wcześniej takiej roboty, a do tego dochodziło wielkie ryzyko, więc nikt specjalnie się nie garnął do tego wyjazdu. Pamiętajmy, że na początku lutego talibowie ucieli głowę Piotrowi. Pewne było, że w Pakistanie nie będzie żartów. Tak naprawdę trudno powiedzieć, jak do takiego wyjazdu się przygotować, bo zawsze może być element zaskoczenia.

Następnym problemem był kategoriyczny sprzeciw polskiego rządu. Premier

Tusk nie chciał doprowadzić do kolejnej kompromitacji po nieudanych negocjacjach o życie Piotra Stańczaka. Był wściekły do tego stopnia, że straszył dymisjami prezesów Geofizyki, jeśli firma ponownie zorganizuje wyjazd do Pakistanu. „Jak pojedą, to mogą od razu przynieść swoje rezygnacje” – powiedział swojemu współpracownikowi.

Były oficer centrali ABW w Warszawie: Mieliśmy świadomość, że jeśli coś się wydarzy i talibowie porwą kolejnego Polaka, to wybuchnie potworny skandal. Platforma Obywatelska i tak się obawiała spadków sondażowych po śmierci Stańczaka. Sprawa trochę się rozmyła i nie było większych konsekwencji, choć za geologa ktoś powinien beknąć. Mieliśmy sygnały, że w razie kolejnego porwania Pakistańczycy zachowają się identycznie jak w przypadku Stańczaka, czyli żadnych ustępstw wobec terrorystów. Okup byłby jeszcze do załatwienia, ale talibowie zwykle żądali wypuszczenia swoich kamratów, a to nie wchodziło w rachubę. Więc jasne było dla nas, że porwanie jakiegokolwiek Polaka oznacza jego śmierć.

Dodatkowo był jeszcze jeden kłopot. Pakistańczycy są bardzo drażliwi, jeśli chodzi o wszelkiego rodzaju kontraktorów. Mają prawdziwego fioła na punkcie niezależności. Poza tym jeszcze nie ucichły echa wyczynów Blackwater w Afganistanie i Iraku. Lokalna prasa szeroko opisywała, jak pijani najemnicy strzelali do cywilów. W ogóle nie było mowy o wynajęciu Amerykanów, ale i Polacy nigdy nie otrzymaliby zgody na działania stricte kontraktorskie. Istniała jedna droga obejścia drażliwego tematu – polscy kontraktorzy mogą wyjechać, ale formalnie mają być jedynie doradcami do spraw bezpieczeństwa w Geofizyce. Co ważne, nie mogą oficjalnie nosić broni. Innej metody na pryncypialnych Pakistańczyków nie było. Tylko w ten sposób dało się sprawę załatwić.

Zimą 2009 roku „Biały” z kolegą z desantu pojechał na dwa tygodnie do Pakistanu. Oglądał obóz pod Pind Sultani. Znając ryzyko w Pendżabie, był podłamany poziomem bezpieczeństwa, jakie zapewniano polskim inżynierom. Wiedział jedno -jeśli nic się nie zmieni, absolutnie nie podpisze kontraktu i nie wyjedzie do Pakistanu. Ma rodzinę, a nic nie zwróci mu życia, zarobionej gotówki zaś nawet nie zobaczy na oczy.

Po powrocie z Pakistanu „Biały” poszedł wprost do Marcina Stefańskiego, prezesa Geofizyki odpowiedzialnego za ochronę inżynierów. W rękę trzymał gęsto zapisaną kartkę.

– Panie prezesie, tu są moje warunki. Jeśli pan je spełni, to pojedziemy. Tam

jest bardzo niebezpiecznie. Można taki kontrakt zrobić, ale trzeba zachować wszelkie zasady bezpieczeństwa, jakie się da. Każdy błąd może kosztować życie. Wiele trzeba zmienić. I to począwszy od umocnień, a skończywszy na ochronie pracowników.

– No tak, ale będzie pan zarabiał więcej niż szef placówki – skwitował smutno prezes.

– To trzeba podwyższyć pensję kierownikowi, bo ryzyko jest ogromne – odpowiedział „Biały”.

Kilka dni później odbyła się narada w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Urzędnicy dopingowani przez Tuska twardo obstawali przy tym, że nie ma mowy, aby Polacy ponownie wyjeżdżali do Pakistanu. Ryzyko jest zbyt duże. Atmosfera była gorąca. Początkowo spokojna dyskusja przerodziła się w awanturę.

– Nie ma opcji, aby ktokolwiek związany z Geofizyką kontynuował kontrakt – powiedział urzędnik MSZ-u.

– Na jakiej podstawie pan tak uważa? Był pan choć chwilę w Pakistanie? Oglądał pan obóz? – dopytywał „Desant”.

– Nie byłem – odpowiedział tamten.

– My byliśmy dwa tygodnie i można zamknąć kontrakt bezpiecznie.

Ta odpowiedź ucięła temat. W końcu urzędnicy MSZ-u ulegli. Polacy mogą jechać do Pakistanu. Przekonała ich gigantyczna kara dla Oil & Gas Development Company Limited oraz wizja upadku Geofizyki.

Kałasznikow na sznurku

W marcu „Biały” poleciał na siedmiomiesięczny kontrakt do Pakistanu. Pomagał mu były wojskowy komandos „Desant”. To doświadczony żołnierz po misjach w Iraku, więc wiedział, czego może się spodziewać w państwie islamskim. „Biały” miał do niego stuprocentowe zaufanie, bo wcześniej pracowali razem w Polsce podczas ochrony żydowskich wycieczek. Eskortowali młodych Izraelczyków, kiedy ci zwiedzali Auschwitz, Majdanek czy pozostałości getta w Warszawie. We dwójkę mieli być doradcami do spraw bezpieczeństwa w Geofizyce. Oficjalnie nie nosili broni.

Polecieli do Islamabadu. To specyficzne miasto – nowoczesna stolica położona w środku gór. Z samolotu wygląda nierealnie, bo trudno sobie wyobrazić, po co ktoś rzucił kilkupasmowe drogi i wieżowce u podnóża Himalajów. Metropolia

jest postawiona z rozmachem, choć na ulicach, jak w innych miastach, niekiedy panuje chaos. W oficjalnym centrum nie ma śladu typowej wschodniej zabudowy, bo miasto wyrosło w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku jako przeciwwaga dla wcześniejszej stolicy – Karaczi na południu kraju. To pomysł Muhammada Ayuba Khana urzeczywistniony dzięki amerykańskim dolarom, które szerokim strumieniem płynęły na rozwój gospodarczy Pakistanu. Choć na ulicach w ogóle nie widać białych, to Islamabad jeszcze do 2005 roku był uważany za stosunkowo bezpieczne miejsce na mapie Pakistanu. Jednak z miesiąca na miesiąc sytuacja się zmieniała. Europejczyków i Amerykanów było w stolicy coraz mniej, a jeśli nawet byli, to i tak nie widać ich było na ulicach, mimo że jeszcze kilka miesięcy wcześniej wynajmowali tu mieszkania. Drogie hotele, jak Marriott, stały się równie niebezpieczne jak inne miejsca publiczne.

Nikt nie afiszował się ze swoim pochodzeniem. Tak było bezpieczniej.

„Biały”: Ktoś tam mówił: „Bezpiecznie, bezpiecznie”, a jak wysadzili ambasadę Holandii, to jednak „niebezpiecznie”. Formalnie szkolenie pracowników Geofizyki rozpoczęliśmy już w Polsce. Niby wcześniej coś podobnego liznęli, ale to jakaś lipa była. Uczyliśmy inżynierów, jak przesiadać się pod ogniem z samochodu do samochodu, udzielania pierwszej pomocy oraz samoobrony, jak ktoś będzie ich szarpał. Baliśmy się tego kontraktu, bo wbrew pozorom była to potężna operacja logistyczna, a nikt wcześniej w Polsce tego nie robił. Chodziło o przeszkolenie kilkudziesięciu osób, które wcześniej nie miały nic wspólnego z tego typu działalnością. Na jakąkolwiek pomoc ze strony polskiej ambasady nie mogliśmy liczyć. Dla mnie najważniejszy jest zdrowy rozsądek. I albo robimy coś dobrze, albo nie robimy tego wcale. Nie miałem zamiaru przywieźć kogoś w worku...

Pakistańska siedziba Geofizyki mieściła się w willowej dzielnicy Islamabadu. Zgodnie z założeniem miała się nie rzucać w oczy, choć po porwaniu Stańczaka pilnowali jej miejscowi ochroniarze. Podobnie było z obozem pod Pind Sultani, do którego pojechali Polacy. Placówka leży na lekko pofałdowanym stepie. Gdy terenówki suną szutrową drogą, spod kół unoszą się tumany kurzu. Co jakiś czas zza niewielkich pagórków wyrastają ubogie jurty. Wieśniacy żyją w biedzie, bo w przeciwieństwie do urodzajnego południa ziemia na północy kraju jest wyjałowiona. Na piaszczystej glebie raczej niewiele urośnie. Tam, gdzie wieśniacy odkryją spłachetek żyzniejszej gleby, zaraz sadzą orzeszki ziemne i trzcinę cukrową. Ludzie szukający pracy żyją jak Cyganie. Ich skórzane jurty płyną po stepie, szukając zaczepienia przy większych miejscowościach, gdzie

można znaleźć jakieś zajęcie. To jedyna szansa na marnie płatną robotę, ale lepsze to niż nic.

„Biały” i „Desant” przekroczyli bramę obozu niespełna miesiąc po zamordowaniu Piotra Stańczaka. Jeszcze nie opadły emocje i Pakistańczycy co rusz wspominali Polaka, choć sami niewiele wiedzieli, a informacje czerpali z lokalnych gazet i plemiennych plotek. Też bali się talibów, bo wiedzieli, jaki los spotyka miejscowych współpracujących z Europejczykami. Mieli świadomość, że terroryści nie będą mieć litości dla nikogo. Na parkingu stała toyota land cruiser, z której uprowadzono Polaka. Na kabinie były widoczne dziury po kulach, a za siedzeniem straszyły zaschnięte brunatne plamy krwi zamordowanych Pakistańczyków. Przez pięć miesięcy od porwania nikt nie wyczyścił samochodu.

Teraz „Biały” i jego kumpel mieli siedem miesięcy na wzmocnienie ochrony inżynierów. Na taki okres podpisali pierwszy kontrakt.



Samochód Geofizyki Kraków. Po uwagach kontraktorów zakleiono wszystkie napisy identyfikujące polską firmę.

Ruszyła przebudowa obozu. Wokół zaczęły wyrastać wieże obserwacyjne, a płot dodatkowo został zasłonięty specjalnymi kotarami. Tak by nikt z zewnątrz nie mógł zobaczyć, co się dzieje w środku. Zasłony uniemożliwiały też

zaobserwowanie, kiedy i ile aut wyjeżdża z terenu. Bramę wjazdową zablokowały betonowe zapory, które uniemożliwiają szybki przejazd. Samochód musi zwolnić i zakręcić w rękawie. Na ogrodzeniu Pakistańczycy zamontowali koncentrinę – „podrasowany” drut kolczasty, gdzie miejsce kolców zajmują żyłki. Sforsowanie takiego zabezpieczenia bez poważnych obrażeń jest w praktyce niemożliwe.

Stanowiska ochroniarzy osłoniły worki z piaskiem. Pakistańscy mundurowi ułożyli je jednak niechlujnie. Nawet gdy polscy konsultanci polecali ustawiać na zakładkę, oni robili po swojemu. Pokładli worek na worku i konstrukcja mogła paść po lekkim pchnięciu, ale na to nie było rady. Taki jest Pakistan i tacy są Pakistańczycy. Swoje wiedzą i byle Europejczyk nie będzie wymyślał, co jest lepsze dla żołnierza.

Jednym z warunków przyjęcia kontraktu była jak najmniejsza liczba osób do ochrony. Główną siłą w Pendżabie zaś byli członkowie Frontier Constabulary – paramilitarnej milicji, której tradycje sięgają czasów brytyjskiego imperium. Początki formacji datuje się na 1913 rok.

Gdy Polacy przyjechali do Pind Sultani, Pakistańczycy nie przedstawiali żadnej wartości bojowej. To przypadkowa zbieranina trzydziestu mężczyzn. Najczęściej młodych, bo służba we Frontier Constabulary dawała jakieś perspektywy. Liczyli, że otrzymają certyfikat ochroniarza i potem znajdą normalną pracę. Po prawdzie Frontier Constabulary to takie lokalne pospolite ruszenie. Niby dostają minimalny żołd od państwa i karabiny, ale część sprzętu muszą sobie sami kupić. Kiedy stanęli w szeregu, wyglądali zabawnie, bo naszywki FC sami sobie robili i każda wyróżniała się oryginalnością. Obowiązkowo nosili wąsy, sandały, a karabin musiał wisieć na sznurku. Arsenał Pakistańczyków to broń z całego świata. Łatwiej byłoby wyliczyć, czego ci wojacy nie mieli na stanie. Czegóż tam nie było: przedwojenne SKS-y, steery, kałachy i czeskie czetki. Jedno je łączyło: opłakany stan techniczny. Po kilku dniach Polaków już nie dziwiły popękane magazynki, wykrzywione lufy czy niesprawne celowniki. Niby Pakistańczycy mieli szkolenia, ale mimo to nie potrafili się wyzbyć niebezpiecznego zwyczaju noszenia amunicji po kieszeniach szarawarów.

Już na wstępie okazało się, że Pakistańczyków jest za mało. Dwudziestu nadawało się do ochrony i szkolenia, a pozostali bardziej służyli pomocą, bo kucharz, fryzjer czy obsługa pralni nawet nie potrafili strzelać. Polacy poprosili

o dodatkowy pluton. Pod bronią musiało być cały czas sześćdziesięciu chłopów. Jeden pluton miał jeździć w ochronie osób zbierających wyniki pomiarów w terenie, a drugi chronić obóz. I tak na zmianę.



Autobus pakistańskiego „pospolitego ruszenia”, czyli Frontier Constabulary

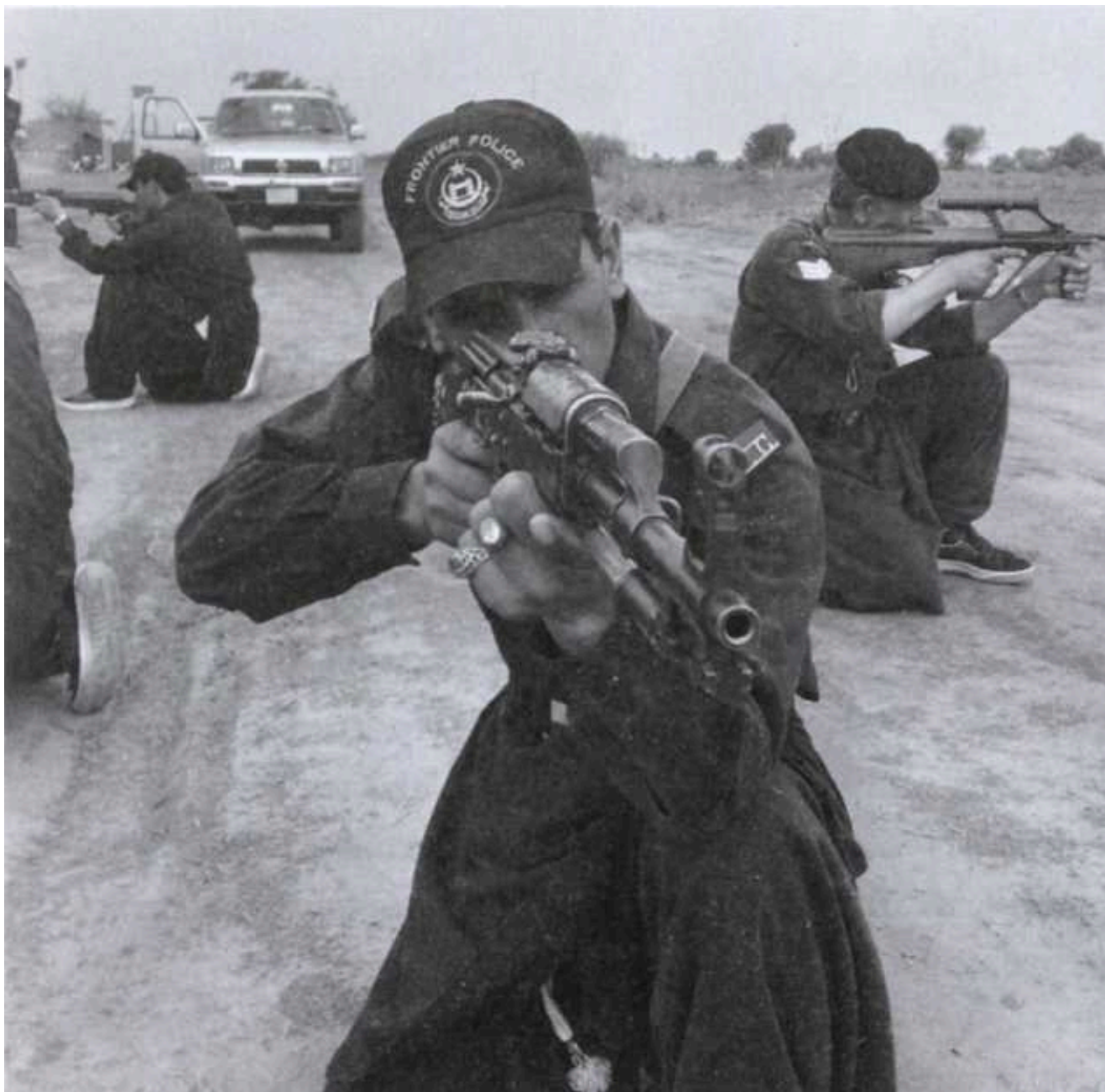
„Biały”: Byli bardzo chętni do pracy i nauki. Dziwiło ich, że ktoś z Europy chce ich czegoś uczyć. Codziennie od rana mieliśmy treningi. Robiliśmy z nimi wszystko to, czego sam się nauczyłem w antyterrorze, wojsku i na misjach. Typowe szkolenie dla kontraktorów w Afganistanie. Uczyliśmy ich ochrony VIP-a i zachowań w kryzysowych sytuacjach, czyli co robić w trakcie zasadzki, jak jedno auto ma ochraniać drugie, jak zwierać szyk bojowy. Oczywiście zaczynaliśmy od podstaw, czyli udzielania pierwszej pomocy. Zabawnie to wyglądało, jak mieli sobie wdmuchiwać powietrze metodą usta-usta. Pakistańczycy robili z rąk trąbkę i w ten sposób chcieli ratować człowieka. Trenowaliśmy codziennie, prócz piątków i niedziel.

Pakistańczycy byli zadowoleni ze szkoleń, bo wcześniej nikt ich niczego nie uczył. Na treningach zyskiwali dodatkowo, bo w ramach nagrody mogli liczyć na worek cukru bądź kozę. To była specjalna premia za nieunikanie zajęć. Dla nich

to niesamowite wyróżnienie i byli szczęśliwi z tej niecodziennej formy zapłaty. Nie przeszkadzało im, że w ciągu całego dnia nie było w ogóle przerw. To typ ludzi, który nie narzeka i przyjmuje rzeczywistość taką, jaka jest. Podczas szkoleń Pakistańczycy niewiele mówią. Skromnie żyją i tą skromnością się cieszą.

Zupełnie inaczej zachowywał się ich dowódca, pięćdziesięciolatek o spalonej słońcem skórze i sumiastym wąsie. Śmiał się, gdy patrzył na biegających po polu podwładnych. Nie wierzył w europejskie szkolenia. Lepiej, gdy go nie było w pobliżu, bo bardziej przeszkadzał, niż pomagał, a sam szkolić się nie chciał, bo był święcie przekonany, że wszystko wie najlepiej. Dochodziło do absurdów, bo nawet jego podwładni nie chcieli go słuchać. Wiedzieli, że stanowisko zawdzięcza znajomościom, a na wojsku w ogóle się nie zna.

Zmienił się też obóz pod Pind Sultani. Nad stacją Geofizyki zaczęły górować wieże obserwacyjne, a bramy pilnowała zewnętrzna firma ochroniarska. To najlepsza metoda zabezpieczenia. Ochroniarze, zazwyczaj emerytowani wojskowi, znali swój fach. Wiedzieli, że nikogo obcego nie mogą wpuścić. Jeśli którykolwiek z pracowników bądź współpracowników opuszczał teren obozu, musiał mu towarzyszyć uzbrojony policjant.



Szkolenie Frontier Constabulary — reakcja na atak i ustawienie żołnierzy podczas ochrony VIP-a



Ćwiczenia chwytów obezwładniających z członkami Frontier Constabulary

„Biały”: Mieliśmy świadomość, że przed uprowadzeniem Piotra Stańczaka talibowie musieli zrobić rozpoznanie albo mieli wtyczkę w obozie. Bez tego nie udałoby się im wychwycić momentu wyjazdu geologa do rekordera. W Pind Sultani czuliśmy się w miarę bezpiecznie, bo gdyby talibowie robili rozpoznanie, musieliby zwrócić na siebie uwagę z racji niewielkiego zaludnienia, a miejscową ludność mieliśmy raczej po naszej stronie.

Pamiętam taką sytuację, że jak uczyliśmy Pakistańczyków taktyki i samoobrony, to pod nasz obóz podeszli jacyś cywile. Chowali się po krzakach, żeby zobaczyć, co robimy. Ci nasi żołnierze, same młode chłopaki, pogonili po tych krzakach i wszystkich wyłapali. Tak się spieszyli, że nie zdążyli butów włożyć. Gonili ich w skarpetkach.

Pakistańczyków trzeba było jednak przez cały czas kontrolować. Ochrona na wieżach co godzinę musiała meldować gotowość. To był jedyny sposób sprawdzenia, czy strażnicy nie ucinają sobie drzemki. Strażnicy wieszali sobie specjalne tabliczki z kilkoma zdaniem w urdu i języku angielskim. Kaligrafowali:

„Słyszę wyraźnie i wszystko jest OK”.

Lepiej przeszkoleni żołnierze nie do końca podobali się jednemu z kierowników projektu „Sorghy 3”. Polak był znany z zamiłowania do trunków wysokoprocentowych, a „karta pijaka” (dokument obowiązujący w Pakistanie, dzięki któremu można kupić określoną ilość alkoholu) mu nie wystarczała i korzystał z miejscowej kontrabandy. Awanturą z ochroniarzami skończyła się wpadka przemytników wódki w bramie Geofizyki.

Były pracownik Geofizyki wspomina: Podobnych przypadków było więcej, bo gość cały czas musiał popijać wódkę albo whisky. Jednak na to nie było rady. Kierownik to kierownik i komu mieliśmy się skarżyć?

U Szahida, pakistańskiego zaopatrzeniowca, w obozie można było kupić wszystko. Jedynym ograniczeniem była cena. Obrotny handlowiec potrafił załatwić na lewo każdy towar. Dzięki układom z Polakami i kontrabandzie dorobił się sporego majątku.

Dar od Allaha

Pakistańczycy to dumny naród. Europejczykowi trudno się było wkupić w łaski wieśniaków z pendżabskich plemion, nawet gdy przekazywał im cenną wiedzę. Biały człowiek mógł imponować, ale nie mógł dyrygować. Musiał być lokalny pośrednik, bo ziomkowi łatwiej zaufać, no i można go zrozumieć... Chłopi mówili jedynie w urdu i po pendżabsku. Choć wieśniacy chętnie się uczyli sztuki ochrony, to sprawne dowodzenie Frontier Constabulary nie byłoby możliwe bez jednej osoby.

„Biały”: Na szczęście trafił się nam jak ślepej kurze ziarno miejscowy sierżant Mazhar Ikbal. Sami go zatrudniliśmy, choć wszyscy mieli do niego pretensje, bo prawie nie mówił po angielsku. Po dwóch tygodniach współpracy niemal doszliśmy do ściany. Władze Geofizyki tak nas cisnęły, że już się zastanawialiśmy, czy go nie zwolnić. Mówili nam, żebyśmy zatrudnili jakiegoś oficera, a nie sierżanta. Bałem się tego. Wiele godzin przegadaliśmy z „Desantem”. Obawiałem się, że jak dostaniemy jakiegoś skorumpowanego oficera, do tego leniwca, to nic nie zrobimy.

Zostawiliśmy tego Mazhara i to było najlepsze posunięcie w całym tym przedsięwzięciu, bo inaczej byśmy padli. To był facet, który bardzo dużo nam

pomógł i miał wielką charyzmę. Wszyscy się go słuchali, choć Mazhar przyszedł z zewnątrz i wcześniej go nie znali.

Ten niespełna czterdziestoletni emerytowany wojskowy był ochroniarzem prezydenta Pakistanu – Perveza Musharrafa. Być może poważanie, jakim go darzyli rodacy, wiązało się z wieloletnią służbą w Special Service Group, czyli pakistańskim SAS. To jedna z najlepszych na świecie brygad specjalnych. Służba w SSG jest w Pakistanie wielkim prestiżem. Mazhar był doświadczonym żołnierzem. Walczył w Kaszmirze i zdobywał wysoko położone hinduskie posterunki w Himalajach. Pakistańczycy o tym wiedzieli i dlatego mieli dla niego wielki szacunek.

„Biały”: Formalnie Mazhar był oficerem łącznikowym. My byliśmy konsultantami. Przekazywaliśmy mu, co ma być realizowane, i to on prowadził szkolenia. W Pakistanie nie było takiej opcji, żeby biały dowodził. Takie panują tam zasady.

Szkolenie Frontier Constabulary to nie tylko taktyka i ochrona. Polacy młodym ochotnikom musieli kupić buty, bo wszyscy przyszli w sandałach. Pojechali sto dwadzieścia kilometrów do połączonego z Islamabadem Rawalpindi. W stolicy są militarne sklepiki, gdzie można kupić wszystko, co spadnie z nieba dla amerykańskich żołnierzy walczących w Afganistanie.



„Biały” i Mazhar w obozie na północy Pakistanu

„Biały”: Jak wjechaliśmy w takie wąskie uliczki i gdzieś stał meczet, to autentycznie się bałem. Źle to wyglądało. Albo nam bombę podłożą, albo nas skasują. Wchodzimy do sklepiku, a gość tylko pyta, czego nam potrzeba. Tłumaczę mu, że chcemy kupić siedemdziesiąt par butów, latarki i światła chemiczne. Proste: łamiesz i świeci.

– Mamy wszystko. Kamizelki, hełmy. Z niczym nie ma problemu – odpowiedział Pakistańczyk.

Chwilę się kręciliśmy w tym markecie, ale w końcu mówię do „Desanta”: „Spadamy, bo zaraz ktoś nas zatrzyma i oskarży, że jakiś przewrót chcemy zrobić”. Trochę w urdu mówiłem, żeby sprzedawca słyszał i rozumiał, o co mi chodzi. Na szczęście obyło się bez komplikacji. Dostaliśmy buty, o które nam chodziło. Zwykle wojskowe kamasze.

Wrócili do Pind Sultani z obuwem dla żołnierzy i rozdali chłopakom. Następnego ranka zrobili zbiórkę.

– Mazhar, kto ma skarpetki? – zapytał „Biały”.

Sierżant zwrócił się do oddziału, a żołnierze ściągnęli kamasze i okazało się, że w dwóch plutonach nikt nie włożył skarpet. Po prostu nie wiedzieli, że tak trzeba, bo przez całe życie chodzili w sandałach. Na tym poranna zbiórka się nie skończyła.

„Biały”: Mazhar musiał im przez godzinę tłumaczyć, że trzeba nosić skarpetki, bo nogi się obetrą. Nie potrafili tego zrozumieć, bo nigdy nie nosili skarpet. Kilka dni później znowu robimy kontrolę. Teraz skarpetki mieli, ale nie wiedzieli, że należy je zmieniać i prać, bo nikt im tego nie wytłumaczył. Jak raz włożyli, to cały czas w nich chodzili. Wtedy znowu trzeba było ich nauczyć, że jak mają dwie pary skarpetek, to muszą je zmieniać. Takie mieliśmy przygody z tą pakistańską armią. Ale staraliśmy się o nich jak najbardziej dbać. Oni to widzieli i naprawdę się starali. Chcieli się szkolić i być coraz lepsi. Fajnie się z nimi pracowało, bo chłopaki mówiły, że pierwszy raz coś takiego przeżywają.

Radio Taliban

Z uwagi na bezpieczeństwo Polaków zmieniały się zasady. Geofizyka do najbardziej ryzykownej roboty wynajęła Rosjanina. Miał jeździć do rekorderów, żeby zbierać dane z sejsmografów. Po porwaniu i morderstwie Piotra Stańczaka polscy geolodzy już nie mieli się narażać w stepie.



Rekorder i pakistański ochroniarz w stepie

„Biały”: Właśnie podczas wyjazdu do rekordera wprowadzono Piotra. To najbardziej niebezpieczna część pracy, zatrudniono więc do niej Rosjanina. Na specjalny kontrakt. Oczywiście zgodził się na tak niebezpieczną robotę. Aleksij miał ochroniarzy Pakistańczyków. My musieliśmy ich szkolić.



„Biały” i Aleksij przy rekorderze w okolicach Pind Sultani

Rosjanin wiedział, że ryzykuje życie. Początkowo był wobec Polaków nieufny. Wcześniej wiele czasu spędził z Pakistańczykami i miał świadomość, jak oni pracują. Nieufność wynikała ze strachu o własne życie. Jak można stuprocentowo zaufać komuś, kto nie jest w stanie wstać do pracy o dziewiątej rano? Stopniowo Aleksij nabierał jednak zaufania do Polaków. Był w szoku, że „Biały” i „Desant” wzbudzają respekt u Pakistańczyków i ci w końcu poważnie podchodzą do swoich zadań. Nagle potrafili ustawić się w szyku bojowym czy jeździć w kolumnie. Zbieranina młodych wieśniaków w sandałach zaczęła przypominać wojsko. Po wielu miesiącach obserwacji tego dziwnego kraju Rosjanin nie mógł wyjść z podziwu. Pakistan nadal go zaskakiwał. To dziwny kraj i trudno go zrozumieć.

By zminimalizować ryzyko uprowadzenia, nikt nie wiedział, kiedy toyota wyjedzie w teren. Nie jeździło się też już jednym autem. Poza obsługą rekordera zawsze jechał także wóz ochrony z sześcioma przeszkolonymi ochroniarzami. Specjalne szkolenie przeszli też pakistańscy specjaliści. Rosjanin Aleksij

nadzorował podległych mu pracowników i po kilku tygodniach to oni jeździli do rekordera. Nie było sytuacji, żeby do rekordera jechał pojedynczy samochód. Zawsze formował się konwój, a na miejscu w obozie czekała drużyna w gotowości bojowej, tak zwany Quick Response Force. Polacy zdecydowali też, że ze wszystkich samochodów znikną logotypy Geofizyki.auta miały się nie wyróżniać. Nikt z zewnątrz nie mógł poznać, że to pojazdy Europejczyków. Podobnie rekorder stojący w polu, wokół którego porozstawiano posterunki. W razie jakichkolwiek dziwnych sytuacji żołnierze mieli natychmiast powiadamiać centralę.

Były kontraktor opowiada: Geodeci mieli mapy i GPS-y, ale często zdarzały się przypadki, że konwój gubił się w stepie. Potem było kilka godzin opóźnienia i nerwowa atmosfera. Komórki i telefony satelitarne czasem działały, a czasem nie.

Ryzyko było ogromne, to tereny plemienne, a punkty pomiarowe od granicy z Afganistanem dzieli zaledwie kilkadziesiąt kilometrów.

„Biały”: Cały czas słyszeliśmy talibskie radio z Afganistanu. Któregoś dnia pakistańscy pracownicy bezmyślnie zaczęli gadać z talibami na ich częstotliwości. Talibowie tak im pogrozili, że ci biedni chłopcy potwornie się wystraszyli. Spłakani uciekli z pola. Po morderstwie Piotra to nie były ze strony talibów czcze pogrożki. Pakistańczycy mieli prawo się obawiać, przecież wiedzieli, że porywacze ścięli głowę Polakowi. Wszystkie media o tym trąbiły i rzeczywiście można było się bać... Początkowo nie wiedzieliśmy, co się stało. Dlaczego Pakistańczycy uciekli z rekordera? Dopiero później nam wyjaśnili.



Wibratory wyruszają w teren na poszukiwania złóż ropy i gazu.

Po tym zdarzeniu Mazhar za zgodą Polaków zaprosił na obiad oficerów ISI (Inter-Services Intelligence), pakistańskiego wywiadu. Ci obiecali, że pomogą. Do obozu w Pind Sultani przysłali pelengatory – pojazdy jakby żywcem wyjęte z filmów o drugiej wojnie światowej.

Toporne ciężarówki przypominające chłodnie z antenami na dachach przez kilka dni jeździły w okolicy, gdzie robotnicy słyszeli talibańskie radio. Próbowaly namierzyć radiostacje mudżahedinów.

„Biały”: Szybko zlokalizowali gości. Nadawali dwadzieścia kilometrów od naszego obozu. ISI zaczęło prowadzić obserwację i po dwóch tygodniach wyłapali talibów. Zatrzymali kogoś podejrzanego o terroryzm, dwóch poszukiwanych i jakichś młodzików. Nie tłumaczyli dokładnie, co dalej się działo, ale problem się skończył. Bardzo szybko załatwili sprawę. Mogło być

nieciekawie, bo jakby na dobre przestraszyli sześciuset pakistańskich pracowników, to padłby kontrakt. Kto miałby w polu robić, skoro do tych prac wynajmowano tylko miejscowych z uwagi na ryzyko porwania? Na szczęście udało się zażegnać niebezpieczeństwo.



Konwój na bezdrożach Pendżabu. Na pakach pick-upów siedzą żołnierze Frontier Constabulary.

Polacy mieli też inny sposób na pozyskiwanie miejscowej ludności, by uniknąć ewentualnego zagrożenia. Wieśniacy żyli bardzo skromnie i cieszyli się z każdego prezentu. Byli przyjaźnie nastawieni do Europejczyków. Mazhar i jeden z pracowników Geofizyki pilnowali, aby dzieci w wioskach dostawały kredki, piórniki i zabawki. Strasznie się cieszyły, bo nigdy takich rzeczy nie widziały. Współpraca z miejscowymi nieźle się układała. A co najważniejsze, gdy ktoś obcy pojawiał się w okolicy, zaraz informowali Mazhara.

„Biały”: Wielką robotę dla nas robił ten były sierżant SSG. Bez niego nie ruszylibyśmy w takim tempie z całym projektem. Dzięki znajomości kultury i obyczajów oraz służbie w pakistańskim wojsku Mazhar wiedział, jak się poruszać po grząskim plemiennym gruncie. Wiedział, jak rozmawiać z ludźmi, żeby nikogo nie urazić i zyskać przychylność miejscowych. A oni też mu wierzyli, bo Mazhar to stuprocentowy muzułmanin. Gdzieś z tyłu głowy mieliśmy świadomość, że to jest Pakistan i tak naprawdę nikomu nie można ufać, ale temu gościowi ufaliśmy w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

Ten jeden procent to polisa na życie. W obozie „Biały” i „Desant” nigdy nie spali w tym samym czasie. Zawsze jeden z nich czuwał. Zarówno w nocy, jak i w dzień. Nawet gdy któryś chciał uciąć sobie krótką drzemkę w ciągu dnia, to musiał powiadomić kumpla. Chodziło przede wszystkim o to, żeby pilnować swoich pleców. Pendżab jest coraz bardziej niebezpieczny, a realne zagrożenie istnieje przez cały czas. Choć formalnie „konsultanci” nie mogli nosić broni, to w praktyce się z nią nie rozstawali.

„Biały”: Nie było takiej opcji, żebyśmy nie byli uzbrojeni. To zbyt niebezpieczne. Choć trzeba pamiętać, że w tych warunkach nigdy nie wiadomo, skąd przyjdzie atak...

Talibowie jak bombki choinkowe

Lato 2009. Ruszyła wielka ofensywa wojsk pakistańskich w dolinie Swat. W linii prostej to jedynie dwieście kilometrów na północ od Islamabadu. Przed wojną był to jeden z najbogatszych rejonów Pakistanu. Miasta i niewielkie kurorty leżące nad brzegiem rzeki Swat i pnące się po okolicznych wzgórzach słynęły z pełnych przepychu willi, restauracji i dyskotek.

To nie przypadek – wojna toczyła się tam od dwóch lat o diamenty i złoto wydobywane w kopalniach w dolinie. Skarby trafiały na aukcje na całym świecie. Po ofensywie talibowie zagarnęli źródła kruszców. Przejęli między innymi kopalnię w Gojaro Killay Amnavi, którą rząd Pakistanu wydzierżawił firmie jubilerskiej ze Stanów Zjednoczonych. Do pracy zagonili wieśniaków. Ci dzielili się diamentami z nowymi panami doliny. Talibowie podobny interes robili w Fiza Ghat. Obie strony były zadowolone, bo starzy właściciele kopalń uciekli. Diamenty zapewniały wieśniakom bogactwo, a talibom środki na dżihad.

Podczas wojny o dolinę Swat z bogatej prowincji uciekło około dwóch

milionów ludzi. Latem wojska rządowe stopniowo wyparły talibów w stronę granicy z Afganistanem. Pakistańczycy przejęli kontrolę nad doliną i wyłapali rebeliantów. Żołnierze SSG, którzy głównie walczyli z talibami, nie przebierali w środkach. Najmniejsze podejrzenie o współpracę z talibami to natychmiastowe spalanie całego domu. Taka postawa nie powinna dziwić. Podczas dwuletnich walk rebelianci często dokonywali samobójczych zamachów na komandosów SSG. Zginęło wielu żołnierzy, a obie strony były równie bezwzględne.

Świadczą o tym zdjęcia, które oglądam w Book House Café przy Świętokrzyskiej w Warszawie. Pokazuje mi je były oficer Wojskowych Służb Informacyjnych, który pracował w Pakistanie i Afganistanie. Fotografie zrobili żołnierze SSG podczas ofensywy w dolinie Swat w 2009 roku. Polak poznał jednego z pakistańskich podoficerów w Islamabadzie. Od niego ma te fotografie.



Żołnierze SSG w dolinie Swat

– Z uwagi na to, co na nich jest, nie mogę ich panu dać – zastrzega na początku

rozmowy.



Pakistańscy komandosi SSG w dolinie Swat po wyparciu talibów. Odpoczynek w luksusowej rezydencji. Bogactwo stało się możliwe dzięki wielkim złożom złota i diamentów.

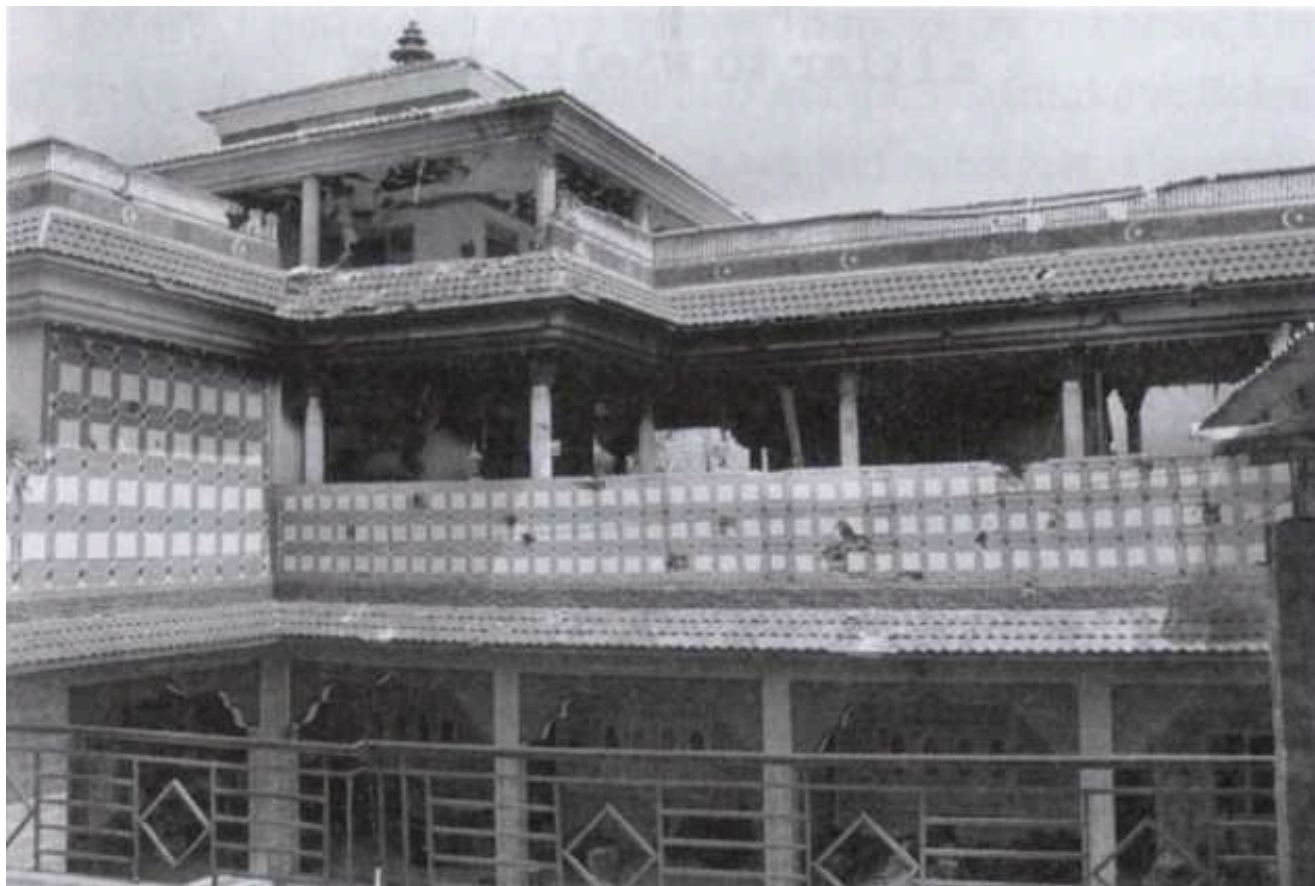
Zdjęcia obrazują metody przesłuchań talibów przez oficerów wywiadu ISI. Schwytani wiszą głowami w dół na drzewach, jak bombki na choince. Mają spętane ręce i nogi. Linki są przywiązane do gałęzi. Wokół stoją uśmiechnięci żołnierze SSG. Tortury trwają godzinami. Nie ma wyszukanych technik wydobywania zeznań. Kolejne fotografie przedstawiają katowanie jeńców - ci leżą skuleni na ziemi, zasłaniając się od ciosów kijami bądź kopniaków ciężkimi wojskowymi buciorami.

– Tak wyglądają przesłuchania na linii frontu. Kolega nie wspomniał, co dalej działo się z talibami – dodaje oficer.

Choć już latem 2009 roku minister spraw wewnętrznych Pakistanu Rehman Malik ogłosił, że dolina Swat jest wolna od talibów, to walki trwały do końca roku. Operacja „Czarna Burza” to też największy w historii Pakistanu kryzys

humanitarny, a wsparcia dla uchodźców udzielały Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. W czasie walk armia pakistańska zabiła ponad półtora tysiąca ekstremistów. Zginęło też około stu żołnierzy. Liczba ofiar cywilnych nie jest znana.

Kilka miesięcy później podobna ofensywa uderzyła w talibów na terytoriach plemiennych przy granicy z Afganistanem.



Zniszczenia w dolinie Swat po wyparciu ekstremistów. Ten piękny rejon nigdy nie wrócił do dawnej świetności, a kilka milionów ludzi zostało bez dachu nad głową.

„Biały”: Tę wojnę i stan zagrożenia cały czas się czuło. Jednak dzięki ofensywom wojsk pakistańskich mogliśmy kontynuować kontrakt w rejonie Pendżabu.

Hitler to wielki wódz

„Biały” i „Desant” na co dzień chodzili w miejscowych ciuchach. Nie chcieli rzucać się w oczy europejskim ubiorem. Nosili typowy wschodni strój – salwar kamiz – szarawary i tunikę. Fałdy szarawarów to nie przypadek – dzięki nim

człowiek się nie poci. Obaj też dla wygody zapuścili brody, jak prawie każdy muzułmanin.

Musieli poznać tutejsze zwyczaje, bo muzułmanina niezmiernie łatwo urazić. Już od przyjazdu wiedzieli jedno: o polityce i religii się nie rozmawia. To może Pakistańczyka obrazić i przysporzyć im jedynie kłopotów. „Biały” trzymał się tej zasady, ale pewnego dnia nie zdzierzył.

„Biały”: Mieliśmy w obozie chłopaka. Sympatyczny gość, ale kiedyś coś tam zagaduje i mówi, że Hitler był superwodem i wszyscy powinni go naśladować. Trzy tygodnie te słowa nie dawały mi spokoju. W końcu go spytałem o tego Hitlera, czemu takie rzeczy wygaduje.

– Mułła w wiosce wszystkim opowiada, że Hitler to wielki niemiecki wódz – odpowiedział młody.

– Chłopie, ale czy ty wiesz, że przez niego zginęło dwadzieścia milionów ludzi? Ze ten człowiek kazał masowo mordować całe narody i wywołał wojnę? – zapytałem.

– No, o tym mułła nie mówił, ale jak wrócę do wioski, to zaraz mu powiem, że się myli. Nie wiem, dlaczego nam o tym nie powiedział – tłumaczył się.

– Zaraz, zaraz. Nic nikomu nie musisz mówić. Lepiej poczytaj sobie książki, wtedy zrozumiesz i będziesz wiedział więcej – łagodziłem, bo nie chciałem, żeby chłopak chodził po wsi i podważał słowa mułły. To mogłoby oznaczać kłopoty, gdybyśmy kiedyś prosili o pomoc wieśniaków. Byłem zły, że takie głupoty wygłasza wiejski autorytet, ale jednocześnie wiedziałem, że kwestionując wiedzę mułły, możemy później więcej stracić. Dlatego starałem się jak najbardziej delikatnie wyłożyć młodemu Pakistańczykowi prawdę o zbrodniarzu. Nikogo nie można urazić.

Choć nie było tygodnia bez zamachu terrorystycznego i w miastach było niebezpiecznie, to nie widziało się biegających z bronią cywilów. Takie sytuacje mogły się zdarzyć na zachodnich rubieżach i terytoriach rządzonych przez plemiona przy granicy z Afganistanem. Polacy musieli jednak pamiętać, że wieśniacy mają często kałasznikowy ukryte w swoich lepiankach na stepie. To problem, bo gdy czterdziestotonowe wibratory ruszały tyralierą w pole, ziemia drżała. Wtedy czuło się lekkie łaskotanie w stopach, które przenikało w górę ciała. Takie śmieszne smeranie. Jednak wibracje czasami były tak silne, że lepianki nie wytrzymały wstrząsów – rozpadały się w jednej chwili w kopce przypominające mrowiska.

„Biały”: Mieliśmy sytuację, że cała wioska szła z bronią do naszych pracowników z pretensjami, że jakaś lepianka padła. To nie były żarty, bo prócz kałachów dzierżyli w dłoniach radzieckie granatniki przeciwpancerne RPG. Wtedy trzeba było negocjować i pokryć straty lepianki. To skromni i pogodni ludzie, ale gdy się weszło na ich teren, mogli być niemili. Wówczas wszystko zależało od podejścia i spokojnej rozmowy. Najlepiej od razu zapłacić za zniszczenia i nie dyskutować, bo tylko mogą być problemy...

Czasami kłopoty wiązały się też ze zwykłą ciekawością. Polacy uczyli członków Frontier Constabulary zachowania podczas patrolu.

„Biały”: Zdarzyło się, że ciekawski staruszek podszedł do żołnierza i chciał obejrzeć karabin. Tylko wyciągnął ręce w kierunku lufy, a wojak zgodnie z instrukcjami walnął go z całej siły w splot słoneczny, żeby nie wyrwał mu broni. Cywil leżał na ziemi ledwo żywy, nie mogąc złapać oddechu. Potem była wielka awantura, że Frontier Constabulary zabiło staruszka. Musieliśmy „na sygnale” jechać i wyjaśniać tłumowi, co zaszło, ale na szczęście w szpitalu dziadek przyznał, że to jego wina. Później nas przeproszał i zaklinał się na wszystkie świętości, że już nigdy nie złapie za lufę karabinu. W podobnych okolicznościach w Pakistanie zdarzały się śmiertelne wypadki, gdy żołnierz po prostu zabił wieśniaka.

Kontrakt na zachodnich rubieżach Pendżabu trwał siedem miesięcy. To zbyt długo. Przez ostatnie dwa miesiące „Desant” i „Biały” coraz rzadziej ze sobą rozmawiali. Byli zmęczeni ciągłym stresem i swoim towarzystwem. Ustalili, że następne kontrakty będą krótsze. Mimo że są przyjaciółmi, już nie chcą jechać we dwójkę.

Choć wojska pakistańskie wyrzuciły talibów z doliny Swat, to na terytoriach plemiennych cały czas rządzą bandy ekstremistów. Zginąć może każdy, bo mordują też wieśniaków. Po terenach, gdzie Geofizyka poszukuje złóż ropy, krążyli agenci CIA i ISI tropiący Osamę bin Ladena. Amerykanie podejrzewali, że przywódca Al-Kaidy ukrywa się na terytoriach plemiennych w pobliżu granicy pakistańsko-afgańskiej.

„Biały”: Wiem, że to zabrzmiało fantastycznie, ale któregoś dnia podczas konwoju wydawało mi się, że widziałem Osamę bin Ladena. To było podczas powrotu z lotniska w Islamabadzie. Nasz konwój jechał trasą do Pind Sultani. Niedaleko Islamabadu stanęliśmy w jakiejś niewielkiej miejscowości. Pamiętam,

że było bardzo tłoczno. Chcieliśmy kupić owoce na przydrożnym straganie i szybko wracaliśmy do samochodu. Obejrzałem się za siebie i jakieś dwadzieścia metrów dalej zobaczyłem w tłumie idącego z naprzeciwka bardzo wysokiego i szczupłego mężczyznę w jasnym salwar kamizie i turbanie. Strasznie to było dziwne, bo niesamowicie nad wszystkimi górował. Wyglądał jak pasterz w stadzie owiec. Zapomniałem o tej sytuacji. Obraz wysokiego mężczyzny wrócił do mnie po akcji SEALS-ów w Abbottabadzie. Wtedy mi się przypomniało, że raptem sto kilometrów od naszego obozu mieliśmy sąsiada poszukiwanego przez najpotężniejsze państwo świata.

Wojna z terroryzmem dla mieszkańców obozu Geofizyki pod Pind Sultani była codziennością. Prawie każdego dnia przed wschodem i zachodem nad obozem przelatywała eskadra dwóch MI-8 w asyście czterech szturmowych cobr, które wracały znad Afganistanu.

– Mieliśmy okazję oglądać symulowaną walkę powietrzną pakistańskich F-16. Taki atak, choć pozorowany, robi wrażenie – mówi „Biały”.

„Desant” i „Biały” po siedmiomiesięcznym kontrakcie jesienią 2009 roku wrócili do Polski.

* * *

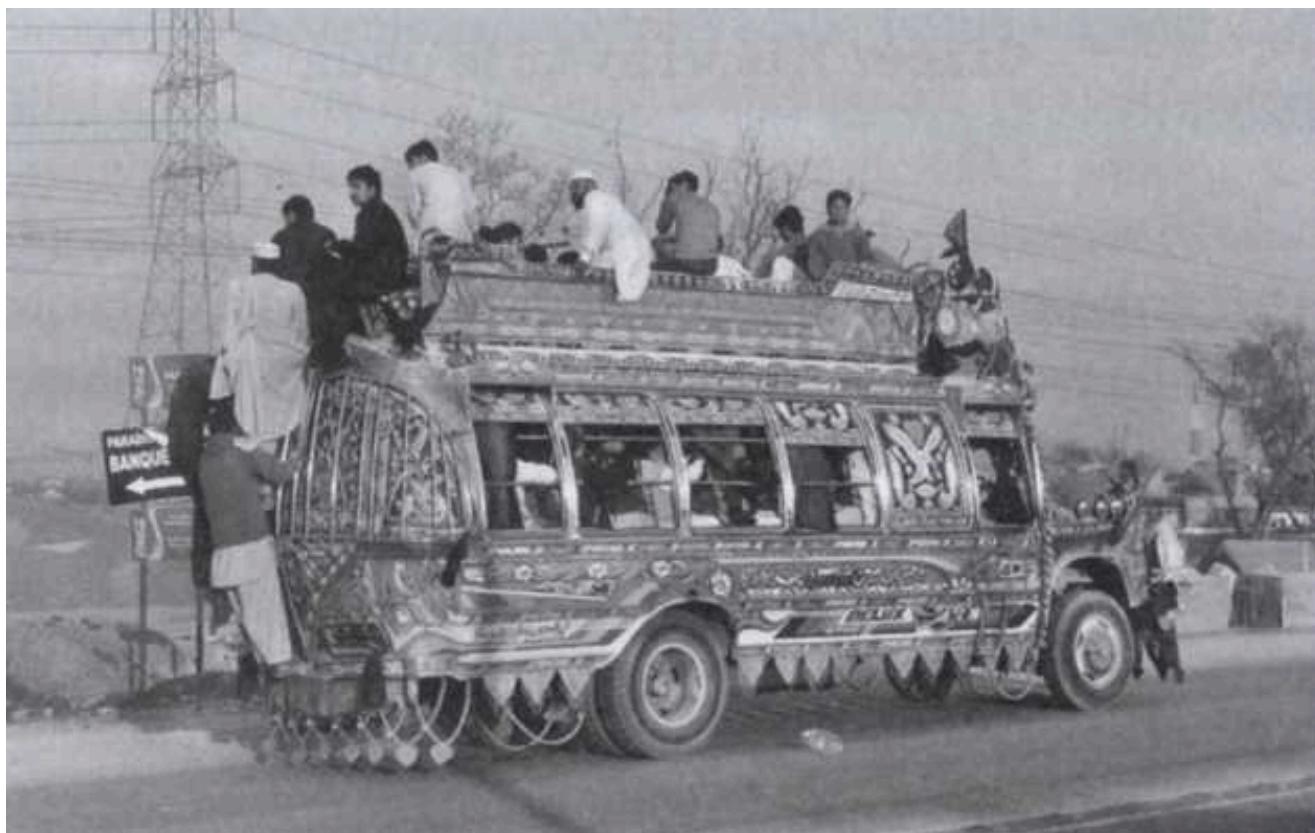
Niespełna dwa miesiące później – 30 grudnia – agenci CIA tropiący Osamę bin Ladena w Pakistanie ponieśli jedną z największych klęsk w historii Agencji. Kilka tygodni negocjowali miejsce spotkania z lekarzem Humamem al-Balawim, który miał ich doprowadzić do szefów Al-Kaidy. Szpiedzi byli przekonani, że zwербowany medyk pracuje dla dwóch wywiadów: jordańskiego GID (General Intelligence Directorate) i amerykańskiego CIA. Późnym popołudniem 30 grudnia przyjechał on zdezelowanym autem osobowym do tajnej bazy Agencji Camp Chapman w afgańskim stepie, zaledwie czterdzieści kilometrów od granicy z Pakistanem. Wbrew procedurom ochroniarze wpuścili auto bez rutynowej kontroli. Kiedy al-Balawi wysiadł, ochroniarze i agenci wiedzieli, że coś nie gra. Ruszyli z bronią w stronę Jordańczyka. Ten wykrzyknął: „La ilaha illa Allah!” (Nie ma boga prócz Allaha) i zdetonował czternaście kilogramów ładunku wybuchowego, które ukrył pod tuniką. W zamachu zginął sam al-Balawi, czterech agentów CIA, trzech najemników Xe (pod tą nazwą kryje się Blackwater, której Irak nie chce wpuścić na swoje terytorium) oraz jordański agent i afgański

ochroniarz. Wtedy stało się jasne, że Jordańczyk nigdy nie zdradził Osamy bin Ladena. Oszukał dwa wywiady i przeprowadził samobójczy zamach, w którym zginęła m.in. szefowa siatki CIA w Pakistanie. To najbardziej tragiczne wydarzenie w historii CIA od 1983 roku, kiedy to libański Hezbollah dokonał krwawego ataku na ambasadę USA w Bejrucie. Wtedy śmierć poniosło trzysta osób, w tym ośmiu pracowników Agencji.

Oficer MI6 wizytuje obóz

Karaczi to miejsce, do którego muszą trafić wszyscy przyjeżdżający do południowego Pakistanu. Miasto jest jak tętniące chaotycznym życiem mrowisko. W tym skupisku w północnej części delty Indusu żyje ponad dwadzieścia milionów ludzi. Codziennie takie ludzkie tsunami przelewa się przez ulice metropolii.

Na przedmieściach brud aż kłuje w oczy. Sterty śmieci piętrzą się na ulicach, jakby to właśnie te puste plastikowe butelki i kartony podpierały brudne i wałące się ściany slumsów. Wśród nich bawią się dzieci szukające resztek jedzenia. Niekiedy z rynsztoka wybierają pestki nadgniłych owoców. Odór psującego się jedzenia unosi się w powietrzu.



Auta Pakistańczyków są wymalowane z niesamowitą fantazją. Pasażerowie siedzą, gdzie się da, bo we wnętrzu autobusu ludzie tłoczą się już jak sardynki w puszcze.



Ruch na ulicach Karaczi jak w godzinach szczytu w największych metropoliach. Jest jednak pewna różnica: nie ma tam sygnalizacji świetlnej i żadnych reguł dla uczestników ruchu.



To normalny widok na ulicach pakistańskich miast. Jeśli ktoś ma środek transportu, to trzeba go maksymalnie wykorzystać.

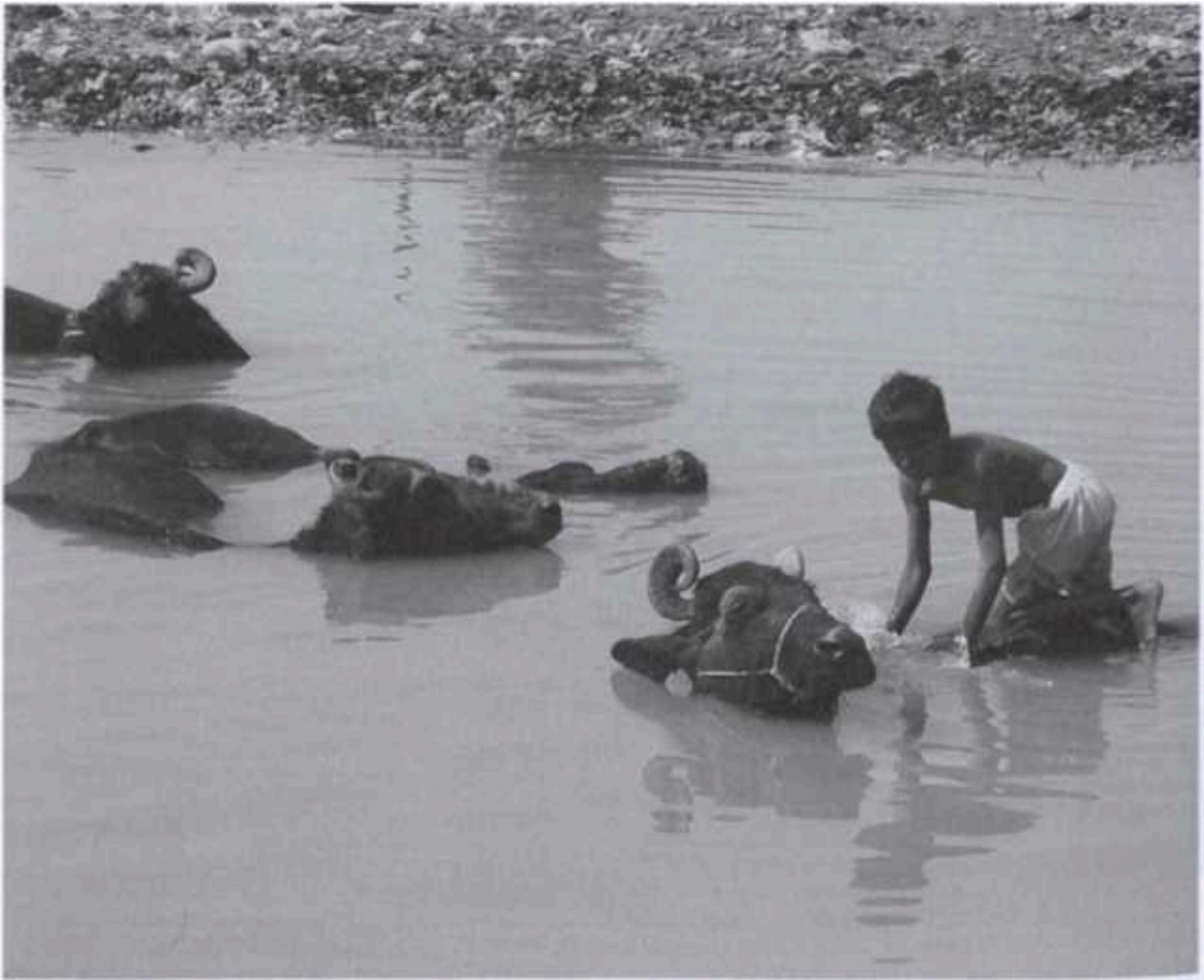


Biedne dzielnice to wielki chaos architektoniczny. Ciężko się połapać w natłoku agresywnych reklam.

Kiedy „Biały” pierwszy raz tam wylądował, miał wrażenie, jakby mokre macki fetoru cały czas go dotykały. W Karaczi powietrze jest inne niż na północy Pakistanu, wilgotne, i człowiekowi się wydaje, że właśnie wszedł do sauny.

W nowym mieście kolorowe samochody prują szerokimi ulicami i aż trudno uwierzyć, że jakoś tak przemykają bez kolizji. Klaksony i trąbki tworzą niekończące się fale dźwięków, które toną w morzu ogólnego hałasu. Nikt ich nie słyszy.

Dla Europejczyków to nie do pojęcia. Chaos wdziera się wszędzie, ale może właśnie w tym jest metoda na to szaleństwo. Mieszkańcy tego nie widzą. Dla nich to codzienność.



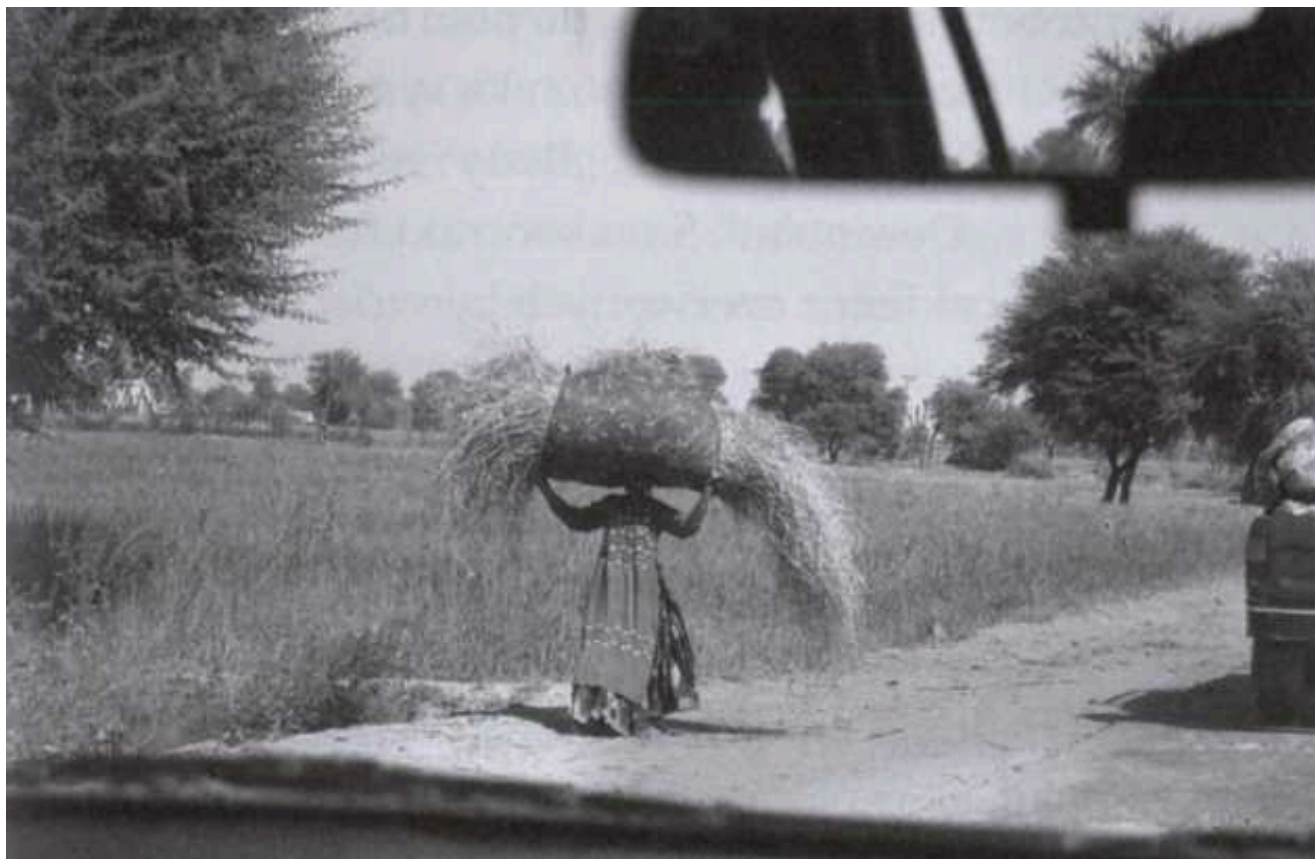
Mycie bawoła to dla tego chłopca najszcześniejsza chwila dnia

Nawet stado owiec i kóz poganianych przez pasterzy przez ulicę, przy której stoją bloki, nikogo nie wzrusza. Zwierzęta tylko beczą, jakby chciały się przyłączyć do wielkiej melodii granej codziennie na ulicach metropolii. Samochody zwalniają, a zwierzęta, pobrzękując dzwonkami, próbują przedostać się na drugą stronę jezdni. Mężczyzna z całą rodziną na niewielkim chińskim motocyklu pokrzykuje, by przepędzić owce. Pewnie nie wie, dokąd się tak spieszy, ale tak jak inni bezwiednie dołącza do dzikiej orkiestry...

Obok w rzece jest „myjnia bawołów”. Mały chłopiec z uwielbieniem czyści i chłodzi swoje zwierzę. Pakistańczycy są szczęśliwi, bo nie wiedzą, jak są nieszczęśliwi... Amerykanie chcą ich uszczęśliwić na siłę, a oni chcą po prostu żyć po swojemu.

Jedynie z góry Karaczi wygląda harmonijnie, bo sznury aut pełzną niczym gąsienice w niekończących się korkach, a wokół nich cały czas kłębią się małe

kropeczki.



Krajobraz w Sindh

W styczniu 2010 roku Geofizyka przeniosła swój obóz na południe Pakistanu. Polacy zdecydowali, że baza stanie niedaleko miejscowości Tando Adam. To jakieś dwieście kilometrów autostradą na północ od Karaczi i siedemdziesiąt od Hajdarabadu. Prowincja Sindh jest zupełnie inna od pustkowi północno-zachodnich terenów przy granicy z Afganistanem. To ciągnące się kilometrami pola uprawne. Zieleń aż po horyzont. Bujnie rosną bananowce i papryka.

Tym razem Geofizyka wydała zgodę na pobyt tysiąca pięciuset osób. Tak duży miał być obóz na południu Pakistanu. Oczywiście, jak wcześniej, większość personelu to miejscowi robotnicy zatrudnieni do prac fizycznych. Polska załoga liczyła siedem osób. Geofizyka tym razem realizowała kontrakt dla British Petrol. „Biały” na pierwszą wizytację poleciał z „Desantem”. Sam kontrakt realizował już ze znajomym skoczkiem z czerwonych beretów – „Jureckim”.

„Biały”: Obóz pod Tando Adam budowaliśmy od zera. Sporo pracy i

nerwów to kosztowało, ale obóz na tysiąc pięćset osób to nie byle co. Po pierwszym kontrakcie zmieniliśmy zasady. Jeździliśmy na dwa miesiące, a potem druga zmiana. Kiedy byliśmy na siedmiomiesięcznym kontrakcie pod Pind Sultani, to po pięciu miesiącach zaczęły się psuć relacje między mną a kolegą. Zbyt wiele czasu przebywaliśmy razem i to mało higieniczne było. Zdarzało się, że przez kilka dni w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy, bo mieliśmy siebie dość. To nic nadzwyczajnego. Duży stres i nieustanny kontakt mogą wyzwać różne emocje. Nie bez przyczyny na misjach ONZ obowiązują dwumiesięczne tury, a potem urlop.

Obóz stanął w ciągu kilku tygodni. Osiem wież obserwacyjnych, szperacze, wysoki płot, a nawet *snake pit*, czyli rów dookoła ogrodzenia. Dwa i pół tysiąca kroków liczył perymetr obozu. To tysiąc osiemset metrów kwadratowych, które musiało pomieścić pakistańskich robotników, żołnierzy, ochroniarzy i geologów z Europy i Kanady. Stały tam kontenery i namioty, w których spali pracownicy Geofizyki.

Na bramie był nawet czytnik linii papilarnych, choć nie w przypadku wszystkich Pakistańczyków działał – niektórzy mieli tak spracowane ręce, że czytnik nie radził sobie z odczytem. Wtedy jedyna metoda to osobiste rozpoznanie.

Na teren obozu nie mógł wejść nikt obcy. Na bramie stali ochroniarze – pakistańscy weterani wojny z talibami sprawdzeni podczas pierwszego kontraktu pod Pind Sultani. Ludzie i auta były sprawdzane wykrywaczem metali.

Ochroniarze najwięcej roboty mieli wieczorem, kiedy około osiemnastej tysięcy pięciuset robotników wracało z pola. Wszystkich trzeba było przeszukać i szczegółowo sprawdzić.

Podczas tego kontraktu obóz Polaków odwiedził wiceprezes BP, żeby sprawdzić postępy w poszukiwaniach ropy. Szef koncernu przyjechał w asyście agentki brytyjskiego MI6, która miała sprawdzić zabezpieczenie obozu. Angielka była w szoku. Podobnych środków bezpieczeństwa nie spodziewała się w cywilnej bazie w szczerym polu. Obóz pod Tando Adam przypominał fort wojenny, choć należał do korporacji, a nie wojska.

Zabezpieczenia były jednak konieczne. W obozie przebywało dużo więcej pracowników, półtora tysiąca chłopów to już ludzka masa. Ochroniarze mieli dużo trudniejsze zadanie, żeby nie przepuścić na teren bazy ekstremisty. Kiedy pracowali na północy Pakistanu i w wiosce pojawiał się ktoś obcy, od razu mieli sygnał. W okolicach Tando Adam, gdzie dwa razy w roku zbiera się plony

z pól, stale przewijają się tłumy wieśniaków. Nie ma możliwości osobistego rozpoznania. Stąd też specjalne środki bezpieczeństwa. Na terenie obozu znajdowała się cysterna z benzyną – bez przerwy pilnowali jej żołnierze. Podobnie było z magazynem dynamitu, który przechowywano w polu, trzy kilometry od bazy. Przy dwudziestu tonach materiałów wybuchowych czuwało pięciu żołnierzy.

Tym razem „Biały” i „Jurecki” mieli w ochronie stu żołnierzy – w tym sześćdziesięciu Sindhi Rangers. To paramilitarne jednostki dowodzone przez pakistańskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Są lepiej przeszkoleni niż pospolite ruszenie Frontier Constabulary. Cieszyli się, bo jedną z pierwszych decyzji Polaków był zakup specjalnych gogli, żeby w kurzu mogli cokolwiek widzieć.



Sindhi Rangers to - w przeciwieństwie do Frontier Constabulary – regularne wojsko. Rangarsi z dumą nosili gogle zakupione przez polskich kontraktorów.

W szkoleniu żołnierzy Polakom prócz Mazhara pomagali Musztak, Tahir-Azis i Walajat. Wszyscy zaprawieni w bojach z talibami i służbie w SSG.

„Biały”: W przeciwieństwie do Frontier Constabulary rangersów nie trzeba

było gonić do czyszczenia broni. Sami zabierali się do roboty, bo wiedzieli, że sprawna broń często oznacza życie. Również bardzo chętnie brali udział w szkoleniach. Kiedyś do naszego obozu przyjechał ich dowódca i był w szoku, że szkolimy ich żołnierzy. Dziękowali nam za zaangażowanie.

Południe Pakistanu jest spokojniejsze od zagrożonej przez talibów północy, nie wspominając o rejonach przygranicznych, gdzie rządzą plemiona. Ekstremiści do ciepłego Karaczi przyjeżdżają odpocząć, gdy zostaną ranni. Ten rejon jest uważany za neutralny i rzadziej zdarzają się tu porwania czy samobójcze ataki, choć w dużych miastach jest niebezpiecznie i, podobnie jak w innych częściach Pakistanu, białych nie widać na ulicach.



Sindhi Rangers przed wyjazdem w konwoju

„Biały”: Europejczyków czy Amerykanów nie widać nawet na lotnisku. Jak kogoś odbieraliśmy, też staraliśmy się nie rzucać w oczy. Po pracowników szli Mazhar lub Musztak. My staliśmy gdzieś z boku. To wszystko ze względów bezpieczeństwa. Nie chcieliśmy nikogo prowokować. Na miejscu w obozie poza

Sindhi Rangers mieliśmy do dyspozycji również trzydziestu ochroniarzy. Mimo że to my odpowiadaliśmy za bezpieczeństwo, ochroniarze nas też pilnowali. Podczas oczekiwania na kogoś na lotnisku największą nagrodą dla rangersów były lody w McDonaldzie. Śmiesznie to wyglądało, jak chłopcy zaprawione w trudach służby cieszą się jak dzieciaki. Czasem prosili o pakistańskiego burgera lub frytki, bo nigdy wcześniej nie jedli czegoś takiego.

Kontrakt w prowincji Sindh to nie tylko ochrona Polaków i pakistańskich robotników przed ekstremistami. Przed Geofizyką dwa podobne kontrakty na badania sejsmiczne złóż dla British Petrol podpisali Chińczycy. Pewnie otrzymaliby i trzecią umowę, ale podczas ich prac doszło do kilku wypadków śmiertelnych. Brytyjczycy, wiedząc, że taka sytuacja grozi kryzysem wizerunkowym, nie zawarli z Chińczykami kolejnej umowy, a kontrakt na południu Pakistanu przejęła Geofizyka. Dla Chińczyków to był policzek i zaczęli nieczystą grę przeciwko Polakom – geolodzy jeżdżący do rekorderów coraz częściej mieli kłopot z odczytami wyników, bo w nocy ktoś przecinał kable geofonów. Sieć przewodów podczas pomiarów jest tak wielka, że nie ma możliwości, by w szczerym polu pilnowali jej żołnierze. Do takiej operacji potrzeba by kilkuset dodatkowych ochroniarzy.

„Biały”: Chińczycy stracili gigantyczną gotówkę i prestiż. Dostaliśmy cynk, że podjudzali miejscowych, żeby przecinali nam kable rozkładanych geofonów. Musieliśmy pojechać do mułły. Prosililiśmy, żeby wieśniacy dali nam spokój. Dopiero taka rozmowa odniosła skutek i chłopci przestali ciąć kable. Innego rozwiązania problemu w Pakistanie nie ma. Zawsze trzeba załatwiać sporne czy kłopotliwe sprawy z przywódcą duchowym w danej miejscowości.

Jedynym odstępstwem od zasad bezpieczeństwa w obozie wywołał cyklon, który szalał nad Tando Adam. Wtedy wszyscy pakistańscy robotnicy wyjechali na kilka dni. Zresztą i tak nie dałoby się mieszkać w ich namiotach. Żywioł był tak potężny, że widać było, jak z minuty na minutę przybiera woda. Coś niesamowitego. Ziemia się rozmiękczyła i wszyscy tonęli w błocie. Sytuacja się unormowała, gdy po kilku dniach woda wsiąkała w glebę.

„Biały” i „Jurecki” zgodnie z nową umową z Geofizyką po dwóch miesiącach zostali wymienieni przez „Desanta” i „Szilu” – byłego komandosa Formozy.

Wiosną 2010 roku doszło jednak do wypadku, a mimo że wydarzył się on czternaście tysięcy kilometrów od Tando Adam, miał bezpośredni wpływ na dalsze losy kontraktu Geofizyki w Pakistanie. 22 kwietnia eksplozja naruszyła

platformę wiertniczą British Petrol Deepwater Horizon w Zatoce Meksykańskiej – zginęło jedenastu pracowników, a siedemnastu odniosło rany. Eksplozja zapoczątkowała największą katastrofę ekologiczną w historii Stanów Zjednoczonych. Do zatoki wyciekło pięć milionów baryłek, czyli prawie siedemset milionów litrów ropy. Szefowie BP po rozmowach z Barackiem Obamą zobowiązali się do wyłożenia dwudziestu miliardów dolarów, aby częściowo pokryć straty poniesione w wyniku katastrofy ekologicznej.

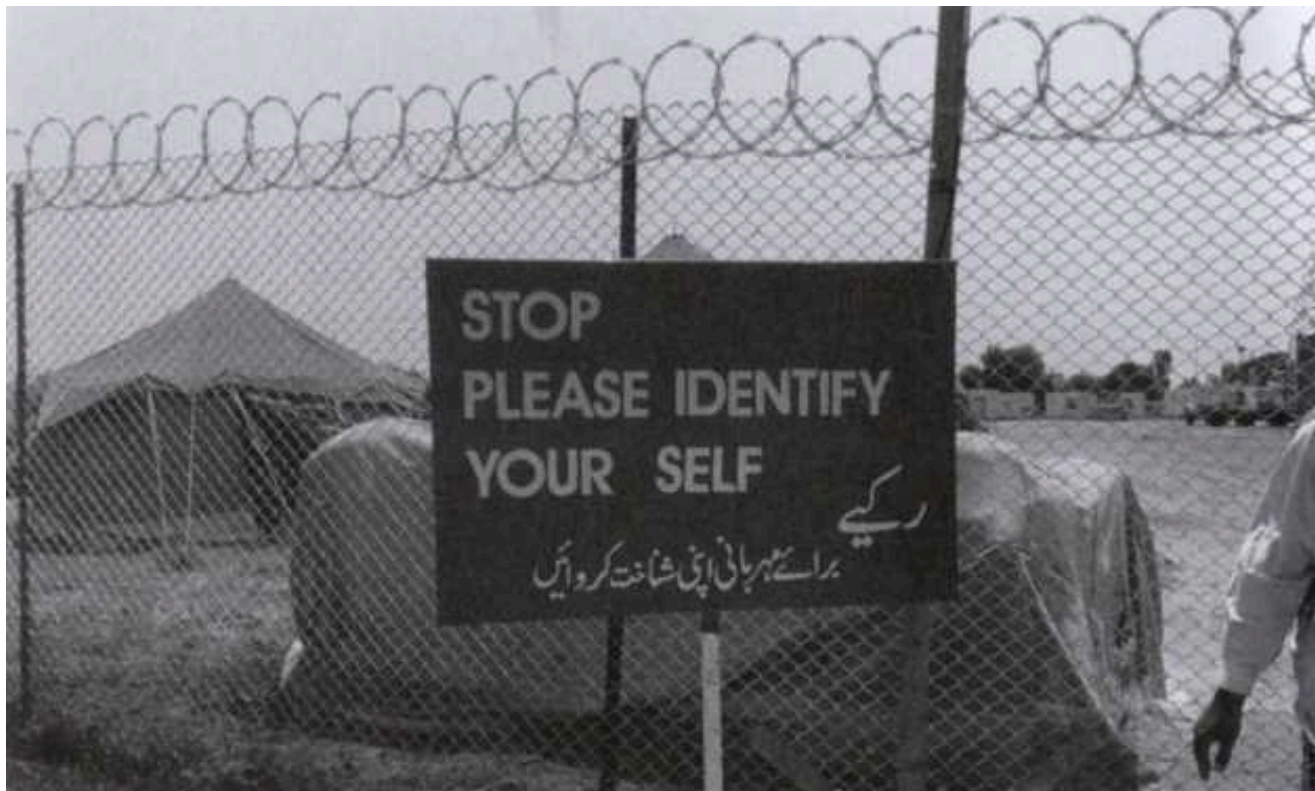
Były pracownik Geofizyki: Po wybuchu w Zatoce Meksykańskiej British Petrol przysłał kontrolera, który na siłę szukał błędów w naszym kontrakcie. Wszystkiego się czepiał. Chodziło o to, aby jak najtańszym kosztem wyciąć nas z umowy i jednocześnie nie ponosić kosztów zerwania kontraktu. Musieliśmy wypełniać wszystkie polecenia Brytyjczyka.

Nad kontraktem Geofizyki w Pakistanie pojawiły się czarne chmury.

Obóz Geofizyki Kraków w północnym Pakistanie



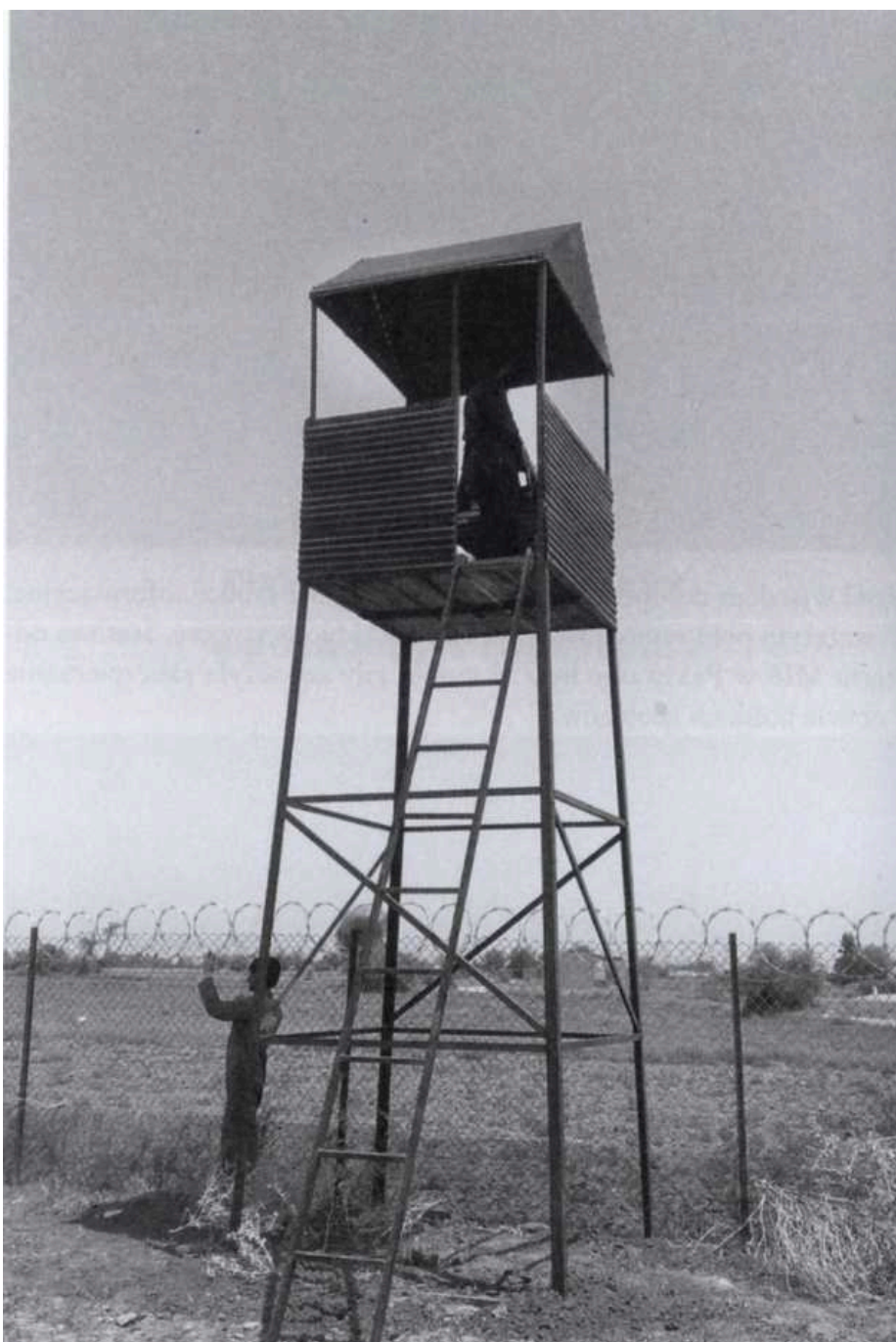
Stanowisko obserwacyjne na wieżyczce w obozie pod Pind Sultani. Dopiero po porwaniu i zabójstwie Piotra Stańczaka wprowadzono nadzwyczajne środki bezpieczeństwa, a ochroną geologów zajęli się komandosi.



Przed wjazdem do obozu umieszczono specjalne tablice informacyjne. W szczerym polu zamontowano też czytniki biometryczne. Szefowa oddziału MI6 w Pakistanie była w szoku, gdy zobaczyła zabezpieczenia w obozie polskich geologów.



Żeby wjechać do obozu, trzeba było pokonać specjalne rękawy. Na bramie wszystkich sprawdzali przeszkoleni ochroniarze.



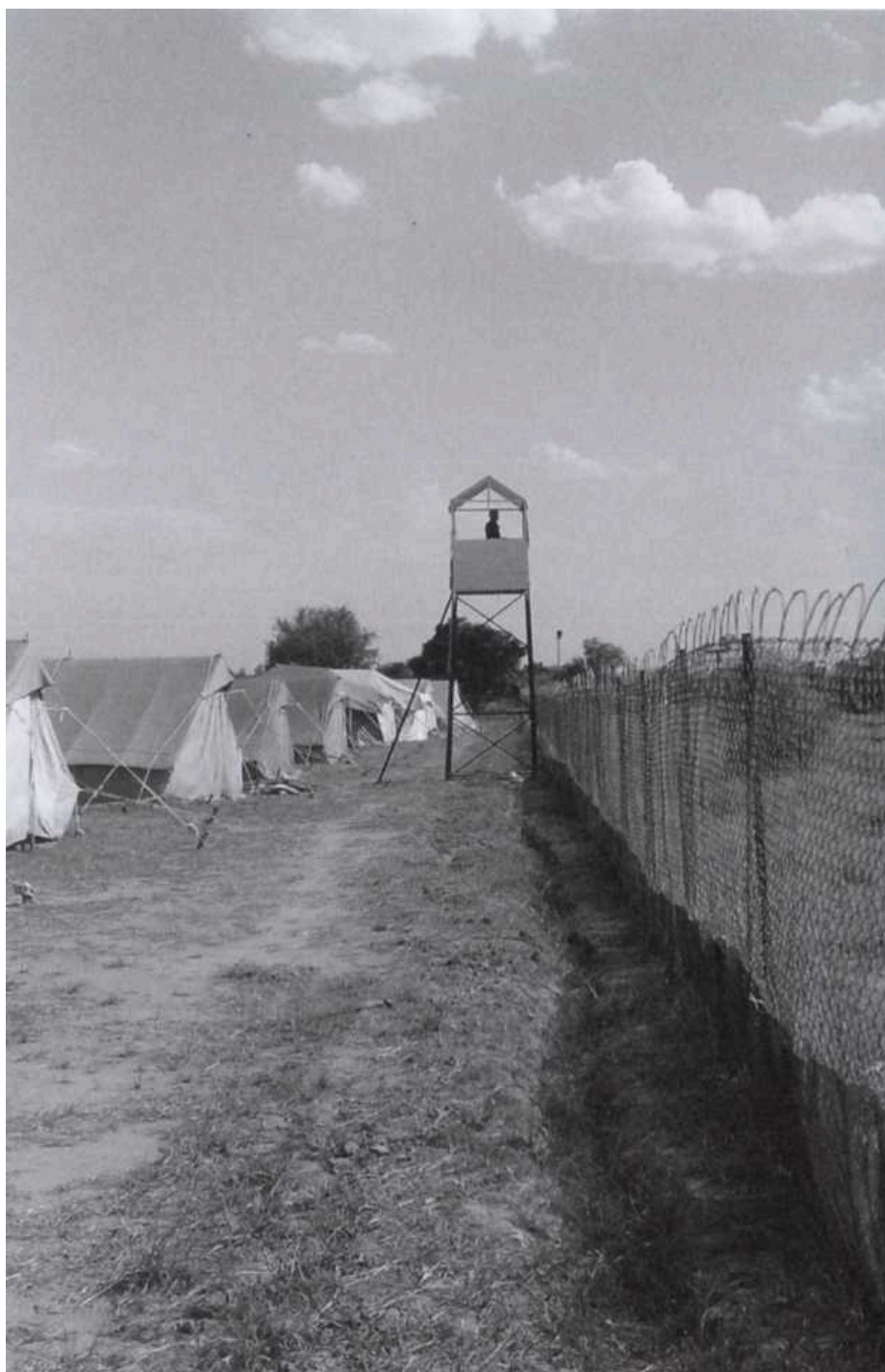
Za pierwszym razem Pakistańczycy pomalowali wieżyczki obserwacyjne na czarno, ale przy tamtejszych upałach strażnik wewnątrz czuł się jak w kuchence mikrofalowej. Później przemalowali je na biało.



Na płocie umieszczono specjalny rodzaj żyłkowego drutu kolczastego. Sforsowanie takiej zapory bez sprzętu wojskowego nie jest możliwe.



Punkt obserwacyjny w obozie: Pakistańczycy to dumny naród – mimo wielokrotnych próśb o układanie worków z piaskiem „na zakładkę” woleli robić to po swojemu.



Widok na obóz pod Pind Sultani. Tu wieżyczka jest już pomalowana na biało.



„Biały” przed wyjazdem w teren



„Biały” w otoczeniu ochotników z Frontier Constabulary



Mazhar szkoli rangersów.



„Biały” z ochotnikami Frontier Constabulary

Rozdział XI

Komandos przychodzi o kulach

Śnieg sypie całą drogę, kiedy w styczniu 2016 roku jadę autostradą z Gdyni do Poznania. Podróż przedłuża się z czterech do siedmiu godzin. Nie da się szybko jechać. Światła auta odbijają się od ściany płatków i widać niewiele poza maską. Od kilku tygodni umawiam się z Januszem Kopczyńskim vel „Szilu”, byłym komandosem Formozy, który po odejściu z wojska pracuje jako kontraktor dla kilku zachodnich firm. Pseudonim wymyślił kolega z grupy, Amerykanin, kiedy byli na misji w Iraku z Navy SEALsami.

„Szilu” ma prawie dwa metry wzrostu. Kuśtyka o kuli, kiedy spotykamy się w winiarni w centrum Poznania. Kilka tygodni wcześniej podczas przerwy w kontrakcie na ochronę statków na Sri Lance wpadł do odkrytej studzienki. Złamał sobie nogę i ma urlop w robocie. Traf chce, że na misjach nic mu się nie przydarza, a poważny wypadek miał na lądzie, gdy wracał z zakupami z niewielkiego sklepiku.

„Szilu” to drugi pseudonim. Prosi, żeby pierwszego nie używać, bo od razu wszyscy będą wiedzieć, o kogo chodzi. Janusz to Poznaniak urodzony na Dębcu, rocznik 1963. Pięćdziesiątka stuknęła mu cztery lata wcześniej, ale cały czas stara się trzymać formę. Teraz, kiedy pechowo uległ wypadkowi, tym bardziej. Jak najszybciej chce odrzucić kulę i normalnie chodzić.

Gdyńska Formoza, gdzie był nurkiem, a potem instruktorem, to nieprzypadkowy wybór – „Szilu” nurkował jeszcze przed wojskiem. Formoza jest pododdziałem wojsk specjalnych, jednostką dywersyjną płetwonurków bojowych pod dowództwem szefa Marynarki Wojennej. Siedzibę jednostki widać z miasta. Podwodni komandosi trenują w starej poniemieckiej torpedowni.

Janusz nurkował już jako młody chłopak. Od dziecka był wysportowany, ale kolejne dyscypliny porzucał dla miłości życia. W Poznaniu mieli nawet swój klub „Barakuda”, który działał jako przybudówka do Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej przy Zakładach Cegielskiego. Inaczej za komuny nie dało się ponurkować, a klub pod egidą ZSMP miał szanse na dotacje na sprzęt, choć

trzeba zaznaczyć, że wśród jego członków nie było aktywistów, a jedynie fanatycy nurkowania. Młodzi schodzili pod wodę na jeziorach w Lipie, koło Gniezna i w Powidzu. Janusz trenował też sporty walki i jak wielu kumpli dźwigał żelazo na siłowni. Po serii filmów z Bruce'em Lee w piwniczkach na blokowiskach powstały setki niewielkich siłowni. Podobnie młodzież szalała na punkcie walk wschodnich. Dzięki treningowi Janusz mógł dorobić na bramkach w poznańskich barach. Do interesu wciągnęli go kumple z siłowni. Jako nastolatek stał na bramce w dyskotecie w Parku Kasprzaka. Na piętrze budynku imprezownię miała Urszula Sipińska, a na dole można było napić się piwa w typowej ówczesnej kuflocie. Jak ludzie sobie popili, to roboty nie brakowało.

„Szilu”: Skończyłem liceum elektryczne i zacząłem pracę jako elektryk na wodociągach. Chciałem iść do misztala. Myślałem o plutonie specjalnym. Wtedy było tak, że żeby iść do armii jako pływacz, trzeba było zrobić wstępny kurs wojskowy. Na poborze już wiedziałem, że chcę iść do wojska na konkret. Nie jakiś kierowca czy piechur, ale pływacz w marynarce. Kolega mówił, że jak chcę do wojska, to jako pływacz, bo to jest elita. Nie będę robił byle czego. Niestety nie było etatów. Co prawda kolega mi powiedział, że jest nabór do plutonu specjalnego w milicji, ale to był stan wojenny i MO jednoznacznie się kojarzyła, więc dałem sobie spokój. Może to i dobrze, bo teraz po latach by mi emeryturę zabrali...

„Szilu” do wojska poszedł w styczniu 1985 roku. Od razu jako pływacz. Skończył z drugą lokatą szkołę nurków i miał możliwość wyboru jednostki. Trafił do Ośrodka Szkolenia Nurków Wojska Polskiego w Gdyni.

Za komuny w armii panowała „fala”. W gdyńskiej jednostce nikt specjalnie nie pastwił się nad poborowymi, ale dwóch dowódców dostało wyroki za znęcanie się nad „baniakami”. Ktoś ich sprzedał i armia zrobiła sądową pokazówkę.

„Szilu”: Zrobiłem specjalizację pirotechniczną, ale ciągnęło mnie do większej adrenaliny i chciałem iść na śmigłowce do ratownictwa. Wymyśliłem sobie, że będę ratownikiem pokładowym. Nie wiem, stety czy niestety, ale mnie nie puścili, bo miałem klasę mistrzowską i niezłe notowania u przełożonych. Wtedy tworzyła się grupa głębokowodna.

O nurkowaniu głębokowodnym mówimy, gdy człowiek schodzi poniżej sześćdziesięciu metrów pod powierzchnię.

„Szilu” pływał na *Lechu* i *Piaście*. To bliźniacze okręty ratownicze polskiej

marynarki. Ich głównym zadaniem jest zabezpieczanie podwodniaków. Jednostki w razie wypadków mogą też gasić pożary, prowadzić prace podwodne i podnosić wraki z dna morza. Na specjalnym wyposażeniu mają dzwon nurkowy, czyli komorę z wyrównywanym ciśnieniem służącą do transportu nurków na wymaganą głębokość. Zwykle wykorzystuje się ją do prac podwodnych, bo podstawową metodą ratowania okrętów podwodnych jest podawanie za pomocą rur sprężonego powietrza.

„Szilu”: Podczas pływania na *Lechu* i *Piaście* pracowaliśmy na dwóch wieżach Petrobaltiku. Marynarka zajmowała się pracami podwodnymi. Nurkowaliśmy na dwóch mieszankach, a lekarze robili na nas badania. Przy okazji testowaliśmy nowe tabele nurkowe głębokowodne. Lekarze robili z tego doktoraty. To były pierwsze saturowane nurkowania. Było nas wtedy siedemnastu w kraju. W sumie mam pięć tysięcy godzin pod wodą. Jedno nurkowanie głębokowodne to dziewięć godzin pod ciśnieniem. Wchodzisz pięćdziesiąt minut, zejście, dekompresja, a jak wychodzisz z wody – komora dekompresyjna. Jak wszystko zliczyć, to okazuje się, że operacja trwa dziewięć godzin, bo po takim czasie opuszczasz komorę i możesz normalnie oddychać.

Życie zaczyna się w Formozie

Jednak „Szilu” to niespokojny duch. Po głowie cały czas krążyła mu Formoza. W 1996 roku dostał się do elitarnej jednostki płetwonurków bojowych. Testy fizyczne były trudne: bieg – trzy kilometry w dwanaście minut; pływanie – pięćdziesiąt metrów w czterdzieści sekund, nurkowanie pod wodą – obowiązkowe dwadzieścia pięć metrów, czyli długość przeciętnego basenu, pompki, wymyki i brzuszki. Jednak prawdziwa selekcja zaczęła się podczas służby. Jeśli nie potrafisz działać w zespole – out. Nie współpracujesz z kolegami -jesteś potencjalnym zagrożeniem. W Formozie nie ma miejsca dla samotnych kowbojów. Nawet jeśli są najlepsi, to gdy nie działają w grupie, muszą opuścić jednostkę.

Podobnie jest z zaufaniem do kumpli z drużyny. Każdy musi ufać każdemu. Prosty test – składanie spadochronów. Jeden układa drugiemu. Nikt dokładnie nie wie, dla kogo składa czaszę.

„Szilu”: Wszystko robisz na zasadzie zaufania. I tak składało się trzydzieści czy pięćdziesiąt spadochronów. Potem jedynie metryczkę trzeba włożyć, kto składał, ale nie widziało się dla kogo. Zaliczyłem w sumie siedemdziesiąt pięć

skoków i musiało być pełne zaufanie do kolegów, bo to oni składali mój spadochron. Choć wiadomo, jak to w życiu. Na skokach raz złamałem nogę i raz skręciłem, ale to ryzyko zawodowe. Co prawda podczas skakania masz dwa spadochrony, ale z ratowaniem bywa różnie. Wiadomo, jak taka akcja działa na psychikę. Kolega miał ratowanie na ostatnim nalocie. Później się zablokował i przez miesiąc nie chciał skakać, a to trzeba od razu po ratowaniu lecieć i skakać. Chodzi o to, żeby za dużo nie myśleć o sytuacji, która się zdarzyła. Ratowanie zostawia trwały ślad w psychice. Jak lądujesz, to potem masz przemyślenia, a żeby tych przemyśleń nie było, trzeba zaraz lecieć w górę. Pach, pach, pach i lecisz znowu. Wtedy będzie łatwiej, bo jak człowiek zaczyna główkować i myśleć o tym, że w sumie cudem się uratował, to już może nie wsiąść do samolotu.

„Szilu” wie, o czym mówi. Sam się ratował, ale pod wodą. To walka o życie i już jedną nogą był na tamtym świecie.

– Byłeś na granicy życia i śmierci – mówię.

– To było, zanim trafiłem do Formozy, podczas usługi dla Petrobalticu. Do głębokiego nurkowania, na przykład na osiemdziesiąt metrów, trzeba się przygotować: zrobić treningi, test tolerancji, a jeżeli nie nurkujesz trzydzieści dni, trzeba zrobić dwie pośrednie głębokości. Azot zaczyna działać na układ nerwowy.

– Jak wygląda ratowanie?

– Czułem, że coś jest nie tak. Starłem się stamtąd uciec. Miałem retrospekcję życia. Takie krótkie klipy. Byłem na granicy omdlenia. To wynika z niedotlenienia mózgu.

Później zacząłem działać instynktownie. Włączył się już instynkt samozachowawczy. Jak jest taka stresująca sytuacja, to najpierw następuje kilka sekund paraliżu, a potem zaczynasz działać.

Instynktownie zacząłem robić to, czego się przez lata uczyłem. Po co są nocne marsze? Chodzi o to, żeby przy maksymalnym zmęczeniu robić to, czego się nauczyłeś wcześniej, jak automat. Podobnie jest z latami ćwiczeń w nurkowaniu. Jakoś udało mi się wyjść na powierzchnię.

– Długo się przełamywałeś, żeby ponownie zejść pod wodę?

– Po tym ratowaniu to sobie powiedziałem: chłopie, koniec z nurkowaniem. Więcej nie chciałem tego przeżywać. Jednak gdy ponownie wkładałem skafander nurka, to się przełamałem. Jak schodziłem pod wodę na głębokie nurkowanie, to myślałem, że zwariuję, ale poszedłem i było dobrze. Miałem krótkie

przemyslenia. W skokach jest podobnie. Najważniejsze, żeby się nie zablokować.

– Jak szybko po ratowaniu schodziłeś pod wodę?

– Nie czekałem. Chciałem od razu wymazać z głowy tę historię. Zgodnie z przepisami odczekałem czterdzieści osiem godzin i znowu zszedłem pod wodę.

W 1996 roku Polska jeszcze nie była w NATO, ale wojska sowieckie wróciły za Bug i wtedy zaczęły się pierwsze wspólne ćwiczenia z Amerykanami. Tego roku żołnierze Formozy mieli szkolenia z Navy SEALsami. Amerykanie nie dowierzali Polakom. Pierwszy wyjazd to wzajemne badanie. Ci z SEALs byli na tyle nieufni, że na manewry przyjechali ze starszym sprzętem...

Płetwonurkowie Formozy licznie zasilają najbardziej znaną polską jednostkę specjalną – GROM. Był nawet czas, że siedemdziesiąt procent grupy wodnej Jednostki Wojskowej 2305 stanowili żołnierze z Gdyni, choć gdy GROM powstawał, Formozę planowano rozwiązać. W tym czasie na salonach brylował dowódca GROM-u Sławomir Petelicki i to on był uważany za komandosa numer 1 w Polsce.

Wspomina były żołnierz Formozy: Konkurencja między jednostkami była tak duża, że mieliśmy zakaz kontaktów z chłopakami z GROM-u i ALFY z Urzędu Ochrony Państwa.

W Formozie służą tylko zawodowi płetwonurkowie. Jednostka ma specjalne zasady selekcji i doboru, bo żołnierze są szkoleni głównie do dywersji.

„Szilu”: Grupę stanowi dowódca, jego zastępca i czterech indyjan. Formoza nurkowała na obiegu zamkniętym, bo sabotaż rządzi się swoimi prawami. Nie ma mowy o jakichś głębinowych wyczynach. Woda jest jedynie środkiem przetrwania, schronieniem, a robota jest na lądzie – rozpoznanie i dywersja. Żołnierz Formozy ma dokonać sabotażu na tyłach wroga, ale ma się tam dostać od strony morza. Zasada jest prosta – dwa-trzy dni działania i znikamy. Demolka w porcie i ucieczka na okręt.

Do cywila to się nie nadajecie

Szkolenie komandosa – niezależnie, czy Formozy, GROM-u, czy ALFY – ma jeden cel, w którym mają pomóc skoki, nurkowanie i ekstremalne zadania – przygotowanie do życia w wielkim stresie i śmiertelnym zagrożeniu. Żołnierze

są regularnie poddawani testom psychologicznym. Nad marynarzami z Formozy czuwała psycholog, na którą specjaliści wołali „Kacha”. Dziewczyna świetnie знаła chłopaków, bo była z nimi na skokach, jeździła na narty, czasem imprezowała. Któregoś dnia komandosi ją zapytali, co jej wychodzi z tych testów, które tak skrupulatnie wykonuje i wprowadza do bazy komputerowej.

„Kacha” odpowiedziała: Nie będę się rozwodzić. Powiem jedno, chłopaki. Nie nadajecie się do życia w cywilu.

Wiele zmienił 11 września 2001 roku. Po zamachach w Nowym Jorku ewoluowały również szkolenia w Formozie. Specjalny nacisk położono na działania antyterrorystyczne.

Latem 2002 roku „Szilu” wyjechał na pierwszą misję do Iraku. Służył na ORP *Kontradmirale Xawerym Czernickim*, który wypływał w rejon Zatoki Perskiej. Polski okręt wspólnie z jednostkami kilku państw koalicji antyterrorystycznej operował w składzie V Floty Stanów Zjednoczonych. Zabezpieczał i chronił jednostki uderzeniowe.

„Szilu”: Na dwa tygodnie w morze i robiliśmy boarding, czyli sprawdzenie embarga między Irakiem a Kuwejtem. Działaliśmy z Navy SEALsami. Wszystko na morzu. Robiliśmy rozpoznanie, sprawdzenie embarga, wracaliśmy do portu i pięć dni wolnego. Tak przez siedem miesięcy. Za misję w Iraku dostałem Gwiazdę Afganistanu, bo wojna z terroryzmem zaczęła się w Afganistanie, a potem ustanowiono odznaczenie. Dlatego też taka jego nazwa.

Misje pozwalały dorobić, bo choć pływaczom i Formoza są elitą Wojska Polskiego, to w armii kokosów nie zarobisz. Pensja żołnierza zawodowego MW kształtowała się na poziomie dwóch i pół tysiąca złotych. W 2004 roku rządzący zaczęli mieszać w wojskowych emeryturach. Obniżyli etaty. Po dwudziestu latach w armii „Szilu” miał stopień bosmana sztabowego i musiał wybierać – zostać i ryzykować obniżenie emerytury czy uciekać przed zmianami. Podobny dylemat miało ośmiu żołnierzy Formozy.

Po odejściu z wojska „Szilu” zaczął dorabiać w ochronie. Można go było zobaczyć na bramkach gdyńskich knajp na skwerze Kościuszki. Robota nudna, ale jakiś pieniądz był. „Szilu” stał dwadzieścia cztery godziny w ochronie. Potem miał czterdzieści osiem godzin wolnego.

Były policjant CBŚ dodaje: Towarzystwo ze służb i wojska się znało. Przy okazji różnych akcji ludzie się poznawali, a gdy były jakieś fuchy w

ochronie, to chłopaki też wzajemnie się polecały. W Gdańsku agencję ochrony prowadził „Ciupaga”. To były antyterrorysta z Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku. On zwykle ściągał kumpli policjantów, ludzi z UOP-u czy późniejszej Abwehry [ABW – przyp. Autora].

„Szilu” też pracował dla agencji byłego antyterrorysty.

„Szilu”: Jeździliśmy razem na odzyskiwanie długów dla „Ciupagi”. Zналиśmy się na tej robocie. Nie trzeba było machać bronią, bo już sam nasz widok odstraszał. Użycie broni czy siły to jest porażka. Chodzi o to, żeby znaleźć jakąś drogę pokojową. Podczas współpracy z „Ciupagą” różne sytuacje były, a to jacyś bandyci chcieli gdzieś tam wjechać i trzeba było chłopaków naprostować. Zdarzało się kogoś gonić, bo uciekał. Różnego rodzaju sytuacje wynikają podczas negocjacji z dłużnikami.

Lata 2000–2005 w Trójmieście to wielka prosperita Prokomu Ryszarda Krauzego. Dla gdyńskiego biznesmena pracował cały legion byłych esbeków, GROM-owców, policjantów CBS, oficerów WSI i UOP-u. Armia Krauzego liczyła około stu pięćdziesięciu ludzi służb. Przodowali oficerowie WSI, bo generał Sławomir Petelicki cieszył się uznaniem w oczach Krauzego i trafił do rady nadzorczej Biotonu. Mógł praktycznie bez ograniczeń ściągać do pracy podwładnych z GROM-u i esbeków z wywiadu MSW.

„Szilu”: Jak zaczynałem w ochronie osobistej, to wielu chłopaków pracowało dla Krauzego. Mnie ściągnęli do Ciecha. Miałem wtedy trochę zakręt osobisty i różnych zajęć się miałem. Jeździłem w ochronie prezesa Lotosu Pawła Olechnowicza i obstawiałem ochronę wycieczek z Izraela. Wtedy posiadanie osobistego ochroniarza nobilitowało. Przynajmniej w pewnych kręgach.

W 2008 roku były żołnierz Formozy wrócił do rodzinnego Poznania. Miał kłopot ze znalezieniem nowej pracy. Startował do firm kontrolowanych przez Jana Kulczyka, ale żona miliardera wybrała znaną karateczkę.

„Szilu”: Po trzech miesiącach odebrałem telefon, że może przyszedłbym do ochrony Grażyny, ale uniosłem się honorem. „Teraz to spierdalajcie, weźcie sobie następną karateczkę” – rzuciłem do słuchawki.

Trafiła się lepsza i dużo spokojniejsza fucha w Krakowie. Miał chronić bogatą dziewczynę. Dwudziestoczteroletnia studentka miała ochroniarza, w którym się

zakochała. Jak się później okazało, przystojny mięśniak był wtyczką gangu pruszkowskiego, miał jej zawrócić w głowie, żeby wyłudzić gotówkę. Zaczęło się od niezobowiązującego romansu, ale dziewczyna naprawdę się zakochała. Dała mu numery do sejfów i PIN-y kart płatniczych. Oszust zaczął czyścić konta i sprawę trzeba było odkręcić. Rodzice zadzwonili do „Szilu”.

„Szilu”: Wziąłem jej ochronę i tak ugrzązłem na trzy lata. Bardziej odgrywałem rolę ojca i opiekuna niż typowego ochroniarza, bo w praktyce nie było żadnego zagrożenia. Dziewczyna była bogata i tyle. Nic więcej, ale z tego powodu mogli na nią jacyś goście polować. Praca z nią to wożenie paczek, zakupy w galeriach, pokazy mody, pilnowanie na imprezach i wypadki do Zakopanego. Wbrew pozorom ciężka robota. Po pijaku chyba z pięć razy mnie zwalniała. Ten okres wspominam tak, jakbym miał własne dziecko do pilnowania. Po tych trzech latach świetnie znam wszystkie galerie handlowe w kilku miastach.

Od Pakistanu po Somalię

Listopad 2010 roku. „Biały” był po pierwszym, siedmiomiesięcznym pobycie w Pakistanie. Zaprosił Janusza do Krakowa. Znali się ze wspólnej roboty dla „Ciupagi”. Miał do niego stuprocentowe zaufanie. Nie musiał go sprawdzać, bo wiedział, co potrafi były komandos z Formozy. Zaproponował mu wyjazd do Pakistanu. Liczył się czas. Ryzyko ogromne, ale szybko trzeba było podjąć decyzję.

Zgodnie z ustaleniami jeździli na dwumiesięczne zmiany. „Szilu” pojechał w drugiej obsadzie. Do Karaczi poleciał z „Desantem”, z którym wcześniej „Biały” przebywał przez siedem miesięcy w Pind Sultani na północy Pakistanu. Już na lotnisku zobaczył, w jakich warunkach będą pracować. Odebrał ich konwój – trzy hiluxy wypełnione pakistańskimi Sindhi Rangers. Żołnierze siedzieli na pace z karabinami maszynowymi gotowymi do strzału. Kiedy jechali do Tando Adam, między wszystkimi autami była łączność. Samochody mknęły autostradą na północ. To jedynie dwieście kilometrów, ale w konwoju nie przekracza się dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zresztą hiluxy na asfalcie zachowują się jak niezgrabne traktory. Wielkie toyoty są świetnie przystosowane do jazdy w terenie, ale na autostradę średnio się nadają. Podróż zajęła ponad trzy godziny. Na trasie był też spory ruch. Ciężarówki wypchane ludźmi bądź kozami potrafiły wlec się czterdziestką na pasie szybkiego ruchu. Pakistan rządzi się swoimi

prawami. Krótko mówiąc, to porąbany kraj, w którym niczego nie da się przewidzieć, a podczas wizyty w mieście trzeba mieć oczy dookoła głowy.

„Szilu”: Wiedziałem, dokąd jadę, ale nie wiedziałem, co dokładnie będziemy robić. Wiadomo, że w takim miejscu trzeba być non stop na stand by. Mieliśmy podwójne zabezpieczenia. Słyszałem, co się stało z Piotrem Stańczakiem, i najważniejsze było to, żeby takiej sytuacji uniknąć. Nie można było sobie pozwolić na chwilę wyłączenia, jak to jest w Europie. Na miejscu nawet nie tknąłem alkoholu. To z uwagi na bezpieczeństwo. Bezwzględnie tego pilnowaliśmy.

Najbardziej ryzykowne operacje, podczas których może dojść do uprowadzenia ochranianych osób, to wyprawy geologów po dane w terenie oraz konwoje na lotnisko. Polscy kontraktorzy byli w stałym kontakcie z pakistańskim wojskiem. Jednostki z Hajdarabadu i Karaczi donosiły o bieżącej sytuacji. Informowały, czy przejazd na lotnisko jest możliwy. Od tego zależało, czy można odebrać inżynierów. Nie zawsze na trasie było bezpiecznie. Zdarzały się dni, że Pakistańczycy informowali o strzelaninach między Sindhi Rangers a ekstremistami bądź zwykłymi bandytami. Ale to nie jedyne zagrożenia.



„Szilu” i „Desant” w obozie Geofizyki Kraków w otoczeniu żołnierzy Sindhi Rangers

w rejonie Sindh

Na ulicach mogły się też przytrafić bitwy pomiędzy partyjnymi bojówkami. Pakistańczycy mocno angażują się w lokalną politykę i wystarczy iskra podczas wiecu, żeby skończyło się wielką zadymą. Wtedy wyjazd trzeba było przesunąć albo od razu kombinować inną trasę.

„Szilu”: Mieliśmy w Karaczi taki pięciogwiazdkowy hotel Carlton. Jeśli inżynierowie przylatywali w nocy, to odbieraliśmy ich z lotniska i do rana czekaliśmy w hotelu. W nocy przyjeżdżał po nas konwój i rano przierzucaliśmy inżynierów do obozu pod Tando Adam. Sami jak najmniej afiszowaliśmy się na lotnisku i w mieście. Byliśmy trochę jak duchy. Pojawialiśmy się i znikaliśmy.

Podczas prac nad mapą złóż dla British Petrol pracownicy Geofizyki jeździli do odwiertów oddalonych nawet o siedemdziesiąt kilometrów od bazy. Poruszali się po okręgu wokół obozu. Do rekorderów jeździli dwaj inżynierowie. Aby zminimalizować ryzyko porwania, tylko jeden był biały, drugi to Pakistańczyk. Ekipy wyjeżdżające w teren były chronione przez dziesięciu żołnierzy Sindhi Rangers. Zawsze w patrolu był też jeden policjant, bo tylko policja ma prawo legitymować obcych. Rangarsi takiego prawa nie mają.

„Szilu”: Auta, które wyjeżdżały w teren, cały czas były monitorowane. Podobnie było z konwojami. Wszyscy mieliśmy kontakt ze sobą i z bazą. W wozach konwojujących siedziało dwóch żołnierzy w środku i dwóch na pace. W obu hiluxach.

Konwoje i wyjazdy do rekordera rządziły się twardymi prawami. Jeśli pakistański kierowca zapomniał wody do chłodnicy i w trasie zaczynała mu się gotować, to zostawał z awarią w polu. Musiał sobie radzić sam.

„Szilu”: Taka sytuacja mogła zagrażać osobom chronionym. Przecież nigdy nie wiadomo, czy na przykład kierowca nie jest w zмовie z porywaczami i to tylko pretekst do zasadzki.

Toyoty land cruiser i hilux, które jeździły w konwojach, nie były jakoś specjalnie wyposażone czy opancerzone. Na to nie było rady. Pojazdy miały jedynie zamontowane otwierane dachy. W przypadku ataku z użyciem granatników geolodzy i ochrona nie mieliby szans.

Gdy konwój wyjeżdżał poza bramę, w obozie cały czas pozostawała w

gotowości grupa szybkiego reagowania. W razie ataku na miejsce ściągano ekipę Sindhi Rangers. Do walki było gotowych stu dziesięciu żołnierzy.



Przed wyjazdem w konwoju

„Szilu”: Podczas ataku musielibyśmy przetrwać pierwsze uderzenie. Mieliśmy łączność z bazą i ponad setkę żołnierzy do dyspozycji. Tylko to nie jest tak, że od razu prosi się o pomoc. Trzeba zakładać, że atak może być pozorowany, a główne uderzenie będzie skierowane na bazę. Zawsze obowiązuje zasada: bronić się przy użyciu jak najmniejszych środków. Można się spodziewać jeszcze innego scenariusza, że główny atak będzie czekać na drodze odwrotu. Zawijasz VIP-a, a nie wiesz, że to uderzenie było jedynie rozpoznaniem, żeby sprawdzić, gdzie dokładnie jest osoba chroniona, i dopiero wtedy wróg uderzy. Zawsze jeździłem z mapami. Mimo GPS-ów całą trasę miałem w głowie i kilka dróg odwrotu.

To zasady taktyki jednostek specjalnych – nie można chronić tylko pierwszego pierścienia, bo grupa szturmowa może jechać incognito. Tak jest podczas ochrony generałów NATO w Polsce. Telewizyjne kamery pokazują jedynie osiłków w

ciemnych okularach ze słuchawkami w uszach, a w tym czasie szturmowcy w pełnym rynsztunku siedzą schowani w furgonetkach. W razie ataku to komandosi przyjmują na siebie uderzenie i muszą je odeprzeć. Ochroniarze w garniturach muszą jedynie chronić VIP-a i w razie zagrożenia uciec z nim w bezpieczne miejsce.

Były specials tłumaczy: Trzeba być przygotowanym na wszystko, bo może zostać wykorzystana każda słabość. Pamiętajmy, że chodzi o uprowadzenie albo całkowitą eliminację wroga. Wówczas nikt nie przebiera w środkach. Nigdy nie jechałem w teren bez mapy. Nie jest problemem używanie GPS-u, ale trzeba znać mapę. Najpierw trzeba się nauczyć na pamięć mapy, opanować drogi alternatywne, a nie że jedziesz na pałę przy włączonym GPS-ie. Nie na tym to polega...

Konwoje w rejonie Tando Adam odbywały się prawie codziennie. „Szilu” i „Desant” pracowali w identycznym trybie jak wcześniejsza zmiana. Zawsze jeden Polak spał, a drugi czuwał. Wiedzieli, że nie można pracować przy zmęczeniu, bo po dwóch-trzech dniach człowiek traci koncentrację, a w Pakistanie nie można sobie na to pozwolić.

„Szilu”: Staraliśmy się jak najbardziej dbać o żołnierzy i ochroniarzy. Zazwyczaj to biedne chłopaki z niewielkich wiosek, a służba w paramilitarnej policji jest jedyną szansą awansu. Oni nawet nie wiedzieli, że ktoś się nimi w specjalny sposób zajmuje. Pilnowaliśmy, żeby odpowiednią liczbę godzin spali. Jak była potrzeba, to był nawet wynajmowany hotel, żeby żołnierze mogli się wyspać. W Karaczi raczej nie ma turystów, więc nie ma problemu z wolnymi pokojami. Żołnierzom należał się odpoczynek i odciążenie psychiki, bo żołnierz nie może być zmęczony i wypalony słońcem. Nie może być spragniony. Załatwiłem też dla rangersów lodówkę, żeby mogli tam trzymać colę. Za to żołnierze nas szanowali.



Podczas patrolu w południowym Pakistanie żołnierze ochrony z Sindhi Rangers cały czas są w gotowości bojowej.

„Szilu” wie, co mówi. Jednostka specjalna uczy szacunku dla kolegów, bo od nich może zależeć twoje życie. Nie ma miejsca na żaden wyścig szczurów, bo w krytycznej chwili ktoś ci nie poda ręki. Identyczne zasady Polacy wprowadzali, współpracując z Pakistańczykami.



Pakistańscy robotnicy pochodzili z pobliskich wiosek. Praca dla Geofizyki Kraków to dla nich jedyna szansa na zarobek

„Szilu”: Dowódcę trzeba szanować i dowódca musi ciebie szanować. U nas nie było podziału na oficerów i podoficerów. Wszyscy byliśmy kumplami. Przychodził młody oficer i robił wszystkim kawę. Liczyła się wysługa w jednostce. Wszyscy się szanowali. Tu nie było fali, ale zdrowe zasady.

Mimo że kontrakt pomiędzy Geofizyką a British Petrol miał obowiązywać dwa lata, został zerwany po ośmiu miesiącach. Poszukiwania złóż w południowym Pakistanie były nierentowne, a dodatkowo Anglicy byli obciążeni gigantycznymi odszkodowaniami po katastrofie w Zatoce Meksykańskiej.

„Szilu”: Na szczęście spokojnie było. Nie mieliśmy żadnego ataku na konwój bądź na geologów wyjeżdżających w teren. Trzeba pamiętać, że rejon, w którym operowaliśmy, nie był tak bardzo narażony na ataki. Ekstremiści działali na północy Pakistanu, a do nas przyjeżdżali na urlopy i leczenie. W Karaczi raczej odpoczywali. Mimo że mieliśmy tego świadomość, to działaliśmy tak, jakby istniało najwyższe zagrożenie. Niczego nie lekceważyliśmy. Przyjmowaliśmy wszystko na zimno i zgodnie ze sztuką. Gdzieś w tyle głowy pozostawało, że pakistańscy żołnierze to muzułmanie. Mieli swoje dni święte i im też do końca nie można było ufać, choć bardzo nas wspierali. Dopiero po dwóch miesiącach, jak siedzisz w samolocie i wracasz do kraju, to czujesz, że

schodzi z ciebie napięcie psychiczne. Wcześniej nie da rady choć na chwilę się wyłączyć.

Kontraktorzy wrócili do Polski jesienią 2010 roku.

* * *

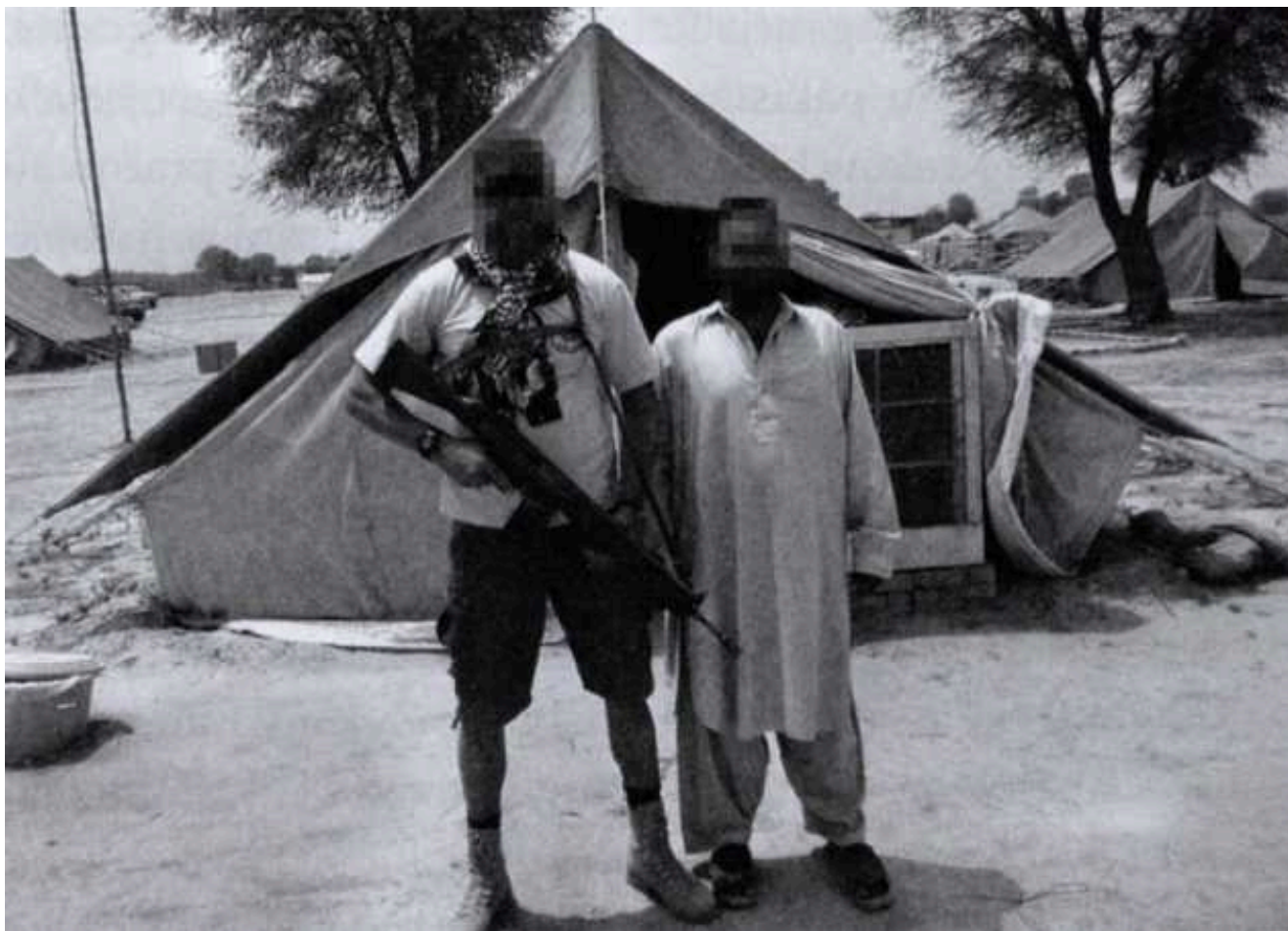
W tym samym czasie agenci CIA odkryli, że przywódca Al-Kaidy Osama bin Laden od wielu lat mieszkał w strzeżonym kompleksie w pakistańskim Abbottabadzie. To była sensacyjna informacja, bo przez lata sądzono, że terrorysta numer 1 ukrywa się na Terytoriach Plemiennych. Abbottabad leży niespełna dziewięćdziesiąt kilometrów na północ od Islamabadu. Dom, w którym przebywał terrorysta, stał pod nosem Pakistańskiej Akademii Wojskowej. 2 maja 2011 roku komandosi z Navy SEALs przeprowadzili tajną operację na terytorium Pakistanu. Dwoma niewidzialnymi dla radarów śmigłowcami przylecieli z amerykańskiej bazy w Afganistanie. Zaatakowali twierdzę bin Ladena. Zabili Saudyjczyka i jego ochronę.

* * *

W maju 2017 roku Agencja Reutera opublikowała nagranie, na którym sześciu pakistańskich robotników pracujących dla Geofizyki Kraków błaga o ratunek. Wieśniacy pracowali przy układaniu geofonów i zostali uprowadzeni w listopadzie 2016 roku niedaleko Dera Ismail Khan. To miasto leżące ponad trzysta kilometrów na południowy zachód od Islamabadu, nie na Terytoriach Plemiennych.



„Szilu” i Waluat w południowym Pakistanie



W obozie przed szkoleniem z pakistańskim pomocnikiem

Film był podobny do tego, na którym Piotr Stańczak prosił o uratowanie życia. Pakistańczycy siedzieli na ziemi, dwóch talibów celowało do nich z kałasznikowów.

Oświadczenie czytał Abdul Chalik: Żyjemy i mamy się dobrze. Apelujemy do naszej firmy, do rządu Pakistanu i do naszych rodzin, aby zagwarantowali jak najszybsze uwolnienie nas. W przeciwnym razie spotka nas taki sam los jak zagranicznego pracownika.



„Szilu” i „Desant” w otoczeniu szkolonych ochroniarzy z pakistańskiej PMC

Piotr Stańczak przed śmiercią wygłaszał prawie identyczny komunikat. Również był dobrze traktowany przez porywaczy. Dziś trudno powiedzieć, czy uda się uratować pakistańskich robotników. Ich sytuacja jest o tyle lepsza, że są rodakami porywaczy i też muzułmanami.

Należąca do PGNiG Geofizyka Kraków SA jest w stanie likwidacji. Aktualnie wyprzedaje swój majątek, by spłacić 21 milionów zadłużenia. Choć władze PGNiG zapewniają, że pomagają w odnalezieniu swoich podwykonawców, trudno brać te zapewnienia poważnie. Byłe szefostwo Geofizyki ma inne problemy na głowie niż sześciu porwanych Pakistańczyków. Pod koniec marca 2017 roku policja w Polsce zatrzymała sześciu byłych pracowników krakowskiej spółki, w tym członków zarządu. Są podejrzani o przekroczenie uprawnień i działanie na szkodę spółki Skarbu Państwa.

* * *

Kiedy na krakowskim Kazimierzu wiosną 2017 roku kończyliśmy rozmawiać z

„Białym” o jego kontrakcie w Azji, uśmiechając się, skwitował on krótko:
– Pakistan nie jest fajny...

Rozdział XII

Piraci w strefie wysokiego ryzyka

„Szilu” od trzech lat chroni statki przepływające przez strefę wysokiego ryzyka u wybrzeży Afryki. High risk area jest określona z każdej strony Oceanu Indyjskiego. Ciągnie się od Morza Czerwonego poprzez cieśninę Bab al-Mandab i Zatokę Adeńską, wzdłuż wybrzeża Erytrei i Dżibuti, aż po róg Afryki, czyli Somalię. Strefa dalej rozciąga się poprzez Komory w stronę Madagaskaru i równoległe do linii brzegowej Półwyspu Arabskiego, dochodząc, jak rzucony na wodę pieróg, do Malediwów. Jednak gdy piraci dysponują statkami-matkami, atak mogą przypuścić i u wybrzeży Indii. To, jak daleko od brzegu są w stanie uderzyć, zależy od łodzi, którymi dysponują.

Najgorszy pod względem uprowadzeń był rok 2008. Wtedy celami ataków stały się między innymi: francuski luksusowy jacht *La Ponant*, niemiecki kontenerowiec *Lehmann Timber*, panamski masowiec *Stella Maris* czy chemikaliowiec z Belize *Stolt Valor*. Uprowadzenia kończyły się, jak w przypadku *Stelli* i *Stolta*, wypłaceniem okupów sięgających dwóch milionów dolarów bądź odbijaniem jednostek przez komandosów. Uprowadzeni marynarze byli dobrze traktowani, bo porywaczy interesowało jedno – haracz. Początkowo piraci rekrutowali się spośród byłych rybaków, którzy stracili źródło utrzymania po rabunkowej eksploatacji łowisk u wybrzeży Somalii. Później tworzyły się bandy okupujące miejscowości na klifach Zatoki Adeńskiej, bo okupy za marynarzy to gigantyczne zyski. Władze nie panują nad gangami, bo od lat dziewięćdziesiątych w Somalii panuje anarchia. Ataki piratów udaremniają misje NATO i wielkiej koalicji antypirackiej. Od jesieni 2008 roku high risk area strzegą między innymi floty USA, Rosji, Indii i Francji.

Tylko w 2011 roku doszło do stu siedemdziesięciu sześciu ataków pirackich. Rok później, po wzmocnieniu ochrony statków, ich liczba spadła do trzydziestu sześciu, a w 2013 roku do siedmiu, ale żadnej jednostki nie porwano. Liczba uprowadzeń radykalnie spada, ale jak wynika z raportów ONZ i Banku Światowego, w ciągu siedmiu lat (2005- 2012) piraci wymusili czterysta

milionów dolarów. Sami jednak na tym nie zarabiają wiele, bo gros pieniędzy zabierają sponsorzy i prawnicy zajmujący się operacjami finansowymi.

Wraz z atakami masowo rosła branża firm ochroniarskich, które chronią statki handlowe. Na jednostkach pojawiła się nowa funkcja – oficer ochrony. Podobnie jak marynarze i kapitan, kontraktorzy muszą mieć specjalne certyfikaty. Firma ochroniarska jest zatrudniana przez armatora, który przeprowadza statki przez strefę wysokiego ryzyka.

Pierwszy statek, na którym zamustrował się „Szilu”, to masowiec *Orlęta Lwowskie* o 228 metrach długości. Płynął z pasażerami do Pakistanu. To jego ostatni rejs, później miał być zezłomowany. W Pakistanie, Indiach i Bangladeszu są największe cmentarze statków na świecie. *Orlęta Lwowskie* są „przerabiane na żyletki” właśnie w Pakistanie.

„Szilu”: Zadzwoił kolega ze Szczecina i tak się zaczęło. Zrobiłem kurs i praktycznie zaraz poleciałem do roboty. Później ściągnąłem też do pomocy „Białego” i „Desanta”, z którymi byłem w Pakistanie. Pływaliśmy z Brytyjczykami, bo to właśnie oni byli pierwszymi team liderami.



Burty statków pływających w obszarach zagrożonych atakami piratów są chronione żyłkowym drutem kolczastym. To jedna z form zabezpieczenia. Abordaż takiej jednostki nie jest możliwy z mniejszej i niższej motorówki.

Zwykle na wysokim statku przebywa team lider i dwóch operatorów. Gdy jednostka jest większa, obstawa wzrasta do czterech osób. Dzielą się wachtami, tak by non stop była zapewniona ochrona.



Tak z ziemi wygląda zabezpieczenie burt.

Tłumaczy były żołnierz i oficer ochrony: Na morzu są testy alkoholowe i narkotykowe. To jest dobre, bo chcę pracować z ludźmi, do których mam stuprocentowe zaufanie. W sytuacji zagrożenia życia człowiek pijany bądź na kacu popełni tyle błędów, że już cię nie ma. Przez czyjąś głupotę zdmuchnęli ciebie.

Bogacz z sześciuset dolarami w kieszeni

Przejście przez high risk area trwa z reguły od sześciu dni do dwóch tygodni.

Może się przeciągnąć, gdy statek zawija do portu. Potem jest przerwa na platformie i tranzyt na kolejnej jednostce.

„Szilu” : Zagrożenie niesamowicie spadło, bo podczas tych trzech lat piratów widziałem tylko raz. Nawet nie strzelaliśmy, bo to wymaga zgody kapitana. Najczęściej przez strefę wysokiego ryzyka płynęliśmy w konwojach. Ochraniały nas jednostki jemeńskie, omańskie, japońskie i amerykańskie. Każdy statek wysyła koordynaty do biura armatora. Jedna firma ustala czas konwoju i wtedy płynie pięć jednostek, które są prowadzone przez fregatę. Jednak nie każdy statek musi płynąć w konwoju. To decyzja armatora. Podczas rejsu w strefie ryzyka jest wiele okrętów patrolowych. Gdy mija cię fregata, to zdarzają się kontrole.



Manekin przy burcie statku

Jego kolega dodaje: Na statku z reguły nic się nie dzieje. Nie nadstawiasz bezpośrednio łba, jak w Iraku czy Afganistanie, więc kasa musiała spaść.

„Szilu” siedzi w tej robocie trzy lata. Do marca 2017 nie było żadnej próby porwania statku. Piraci w tym czasie nie zarobili ani dolara. Zagrożenie spadło, a co się z tym wiąże, drastycznie obniżono stawki ochroniarzy. Jeszcze przed kilkoma laty w ochronie statku można było zarobić siedemset funtów dziennie, później pensje spadły do dwustu trzydziestu.

Co z tego wynika? Z pracy w ochronie statków odchodzą byli żołnierze i antyterrorysty z Europy, a rynek przejmują ludzie bez doświadczenia albo żołnierze z Ukrainy i Hindusi. Ukraińcy pracują już za sześćset dolarów miesięcznie.

Opowiada były komandos, który zaliczył kilkadziesiąt rejsów w Zatoce Adeńskiej: Mam kolegę, majora z Ukrainy, który gdy zarobi taką kasę, to u siebie w kraju jest bogaczem. Polacy czy Brytyjczycy za te pieniądze w ogóle nie weszliby na statek. Byli żołnierze z Ukrainy są dodatkowo dyspozycyjni, bo potrafią być w gotowości na platformie przez dziewięć miesięcy, z czego przez cztery miesiące odrabiają odbyte wcześniej w Polsce kursy. To po wejściu na rynek Ukraińców i Hindusów tak mocno spadły stawki. Poza tym nic się nie dzieje i nie ma zagrożenia, to i nie ma potrzeby wydawać kasy. Najważniejsze, żeby team liderem był Brytyjczyk lub Polak.

Po zrobieniu specjalnych kursów „Szilu” pływał w brytyjskiej firmie jako team leader. Bywało, że miał podwładnych Hindusów lub Polaków. Nie mógł sobie sam dobrać ludzi. Na platformie przed rejsem dostawał jedynie kartkę z nazwiskami. Team leader koordynuje ochronę na całym statku i podlega bezpośrednio kapitanowi. „Szilu”, żeby zostać wodzem, musiał szlifować język. Codziennie kuł na pamięć słówka. Gdy zaczął śnić po angielsku, doszedł do wniosku, że już wystarczająco zna język. Testy zdał bez problemu.

W ochronie statków można wpaść w rutynę, bo zajęcie bywa strasznie monotonne. Zwłaszcza że na morzu nic się nie dzieje. Zwykle agent odbiera ochroniarzy w hotelu w Kairze. Potem jadą do Suez. Na jednostce okrętują się przy wyjściu z kanału. Jest pełny skład. Zaczyna się od zapoznania ze statkiem i próbnego alarmu. Ochroniarze nie mają broni, mogą ją mieć na wodach eksterytorialnych. Karabiny pobierają na specjalnej platformie w strefie wysokiego ryzyka na Morzu Czerwonym.



„Szilu” jako team leader na ochranianej jednostce ze swoimi podwładnymi

„Szilu”: Zawsze robimy próbne alarmy. Alert żółty oznacza, że mogą się pojawić piraci; czerwony, najpoważniejszy, to nakaz ukrycia się w cytadeli. Cytadela to maszynownia. Stamtąd jest możliwość sterowania statkiem, więc nawigacja nie stanowi problemu. Przez cały czas mamy też łączność satelitarną. Przy najbardziej niesprzyjających warunkach w ciągu trzech dni jesteśmy uwalniani. Napastnicy nie są w stanie sforsować metalowych i wodoszczelnych drzwi na statkach, dlatego cytadela jest naprawdę bezpiecznym miejscem.

Jednak zanim rozpocznie się procedurę alarmową, trzeba jasno określić, czy jednostka jest rzeczywiście atakowana przez piratów, czy może mija szmuglerów. Na piratów wskazują haki, drabiny i uzbrojenie, które służy do abordażu.

Tłumaczy oficer ochrony: Gdy zgłaszaliśmy piratów, od razu wylatywał helikopter.

Odkąd pojawiła się ochrona, nigdy nie doszło do ataku. Terroryzm to biznes.

Nie atakują, jeśli nie mają stu procent pewności, że im się uda.

O tym, kto trafia obecnie do eskorty statków, opowiada były komandos (też pływa): Miałem przypadki, że jedynym wymogiem była dobra znajomość angielskiego. W ten sposób pod moją komendę trafił były kierowca rosomaka, a nawet pisarz ze sztabu Marynarki Wojennej. Do ochrony statków przed piratami trafiają zupełnie przypadkowe osoby. Nigdzie się nie sprawdzili, a potem na Facebooku uprawiają lanserkę z bronią długą. Pokazówka, jaki to ze mnie wielki operator.



Gotowość bojowa podczas próbnego alarmu

„Szilu”: Teraz na statkach nie ma zagrożenia. Realne zagrożenie było w Pakistanie, stąd pewnie wynika przypadkowość osób, które trafiają do tej profesji. Zdarzało się, że na platformach w oczekiwaniu na rejs nie używałem języka polskiego, bo nie chciałem się przyznawać, że też płynam w ochronie.

Cały rynek się zepsuł.



Alarm. Ochroniarze na statku w gotowości bojowej

Pogorszeniu uległ nie tylko rynek, ale również warunki dla kontraktorów. Przed kilkoma laty oficerowie ochrony nocowali głównie w hotelach. Kiedy zagrożenie ze strony piratów zmalało, zaczęły się oszczędności. Korporacje adaptują kutry rybackie na pływające platformy hotelowe.

„Szilu”: Platforma jest jak statek miłości. Warunki bywają tragiczne. Zdarzyło mi się siedzieć miesiąc na sześćdziesięciometrowym kutrze przerobionym na hotel. Codziennie przeżywasz dzień świstaka. Kabiny przeładowane, żarcie do dupy, syf, brud i karaluchy. Na platformie byliśmy podzieleni nacjami, żeby nie dochodziło do scysji.

Pisałem raporty z załączonymi zdjęciami, ale nawet odpowiedzi nie dostałem. To jest twardy biznes. Po takim „wypoczynku” można dostać na głowę, bo

człowiek siedzi jak w więzieniu. Książki, filmy, siłownia i wielki upał. Jedyne plusy jest taki, że człowiek przez cały rok jest opalony, a dziewczyny lubią brąz. Ale jak przez dwadzieścia osiem dni jeden statek mnie wysadzał i zaraz płynąłem na drugi, to zwariować można.

Podczas rejsów ważna jest atmosfera na statku, która zwykle zależy od narodowości oficerów. Gdy na jednostce przeważają muzułmanie i jeszcze obowiązuje kastowość, Europejczycy mogą mieć problem z aklimatyzacją. „Szilu” w takim gronie przeżywał Boże Narodzenie na masowcu *Zirku*. Kapitan był Irakijczykiem, oficerowie z Egiptu, a załoga z Pakistanu. Nie było szans na świąteczną atmosferę. Rozmowy się nie kleiły, nie mówiąc o zastawieniu wigilijnego stołu.

„Szilu”: Nic nie mam do żadnej narodowości czy wyznania, ale po prostu pewne zachowania trudno tolerować, żyjąc w innej kulturze. Świąt na tym statku nie zapomnę do końca życia. Starłem się jedynie pracować – wachta i do kajuty. Nie było mowy o nawiązywaniu bliższych relacji. Nam najlepiej się pływa z Europejczykami, choć niezmiernie sympatycznie jest też z Filipińczykami. To zawodowi marynarze z dziada pradziada. Pływanie mają we krwi.

Rodzinna atmosfera panowała na filipińskich *Happy Penguin* i *Happy Bird*. Już same nazwy jednostek nastrojały optymistycznie, a do tego uśmiechnięci marynarze, którzy wydawali się nie mieć żadnych problemów.



„Szilu” na *Zirku*. Rejs był wyjątkowo mało przyjemny z uwagi na odmienną kulturowo obsadę jednostki - była to najgorsza w życiu Wigilia byłego komandosa Formozy.

Podobna sielanka była na niewielkim holenderskim holowniku. Mimo że płynęli przez strefę wysokiego ryzyka, klimat panował jak w domu. Załoga wspólnie z eskortą urządzała zawody w jedzeniu pancake'ów. Wygrywał całodniowy rekordzista, który pochłonął najwięcej placuszków.

„Szilu”: Wesoło było, ale nieraz piękny statek, a atmosfera do dupy. Wszystko zależy od ludzi... – kwituje.

„Biały” który również siedzi w tym biznesie, opowiada, że choć zaliczył dwieście dni operacyjnych, to czasem zdarzają się przedziwne sytuacje. Firma-matka potrafi zapomnieć o swoich wyrobnikach. Dwa tygodnie siedział na Sri Lance, bo Brytyjczycy myśleli, że akurat jest w kraju. Taki los...

„Biały”: Już w 2005 roku miałem propozycje pływania w ochronie, ale jakoś wtedy nie skorzystałem. Różni ludzie trafiają na platformy. Dobrze, jeśli płyniesz ze znajomymi. To prawie jak urlop, bo czujesz się pewnie z kumplami, z którymi już pracowałeś. Ale na nieznanym, szczególnie Polaków, trzeba uważać. Polak Polaka najbardziej oszuka.



Służba na *Happy Penguin* była jedną z przyjemniejszych. Filipińczycy to urodzeni marynarze. Byli bardzo mili dla polskich ochroniarzy.

Te słowa potwierdza były oficer CBS który obecnie pływa na statkach. Raz dał się wkręcić w szkolenia na wyjazd do Afganistanu. Za siedem tysięcy postrzelał sobie przez dwa dni pod Poznaniem i dostał bezwartościowy certyfikat.

„Szilu” w ciągu roku ponad dwieście dni przebywa na statkach za granicą.

– Jak twoja kobieta znosi rozłąkę? – pytam.

– Nie narzeka. My się ze sobą nie nudzimy. Nikt nikomu nie wchodzi w drogę. Byliśmy kumplami i jesteśmy kumplami. Mamy podobne spojrzenie na życie. Zwykła rodzina nas nie interesuje. My nie siedzimy w domu. Jestem jak chwast – gdzie mnie posadzisz, tam rosnę – tłumaczy.

* * *

Marzec 2017. U wybrzeży Somalii piraci porwali tankowiec *Aris 13*. Jednostka pływała pod banderą Sri Lanki. Została zaatakowana, gdy płynęła z ropą z Dżibuti do Mogadiszu, i odholowana w stronę brzegu. Podczas porwania na pokładzie przebywało dziesięciu marynarzy. Trzy dni później straż morską namierzyła piratów. Po krótkiej strzelaninie bandyci uciekli. To pierwsze od 2012 roku porwanie tak dużej jednostki w tym rejonie.



Gotowość bojowa w polskim teamie podczas rejsu przez Zatokę Adeńską

Epilog

Liczba polskich najemników czy – jak sami o sobie wolą mówić – kontraktorów nie jest znana. Nikt nie prowadzi statystyk obejmujących byłych wojskowych bądź policjantów, którzy zatrudnili się w PMC. Kiedy zbierałem materiały do tej książki, byli żołnierze wspominali mi, że może być kilkanaście takich osób w całej Polsce.

To pewnie prawda, bo o skali udziału Polaków w PMC świadczy chociażby liczba ofiar śmiertelnych podczas wieloletniego konfliktu w Iraku. Oficjalne dane podają, że na Bliskim Wschodzie zginęło trzech Polaków zatrudnionych w PMC. Gdy tymczasem Amerykanów poległo trzystu, a Brytyjczyków pięćdziesięciu dziewięciu. To świadczy o tym, że polskich najemników było stosunkowo niewielu, bo łącznie w Iraku poległo pięciuset pięćdziesięciu zagranicznych kontraktorów z PMC.

Podobnie wyglądają statystyki dotyczące Afganistanu. Według różnych danych, podawanych między innymi przez amerykański Departament Pracy, w wojnie z talibami zginęło ponad dwustu kontraktorów. Większość stanowią Amerykanie i Brytyjczycy. Oficjalnie wśród zabitych w Afganistanie pracowników PMC nie ma Polaków. Jedy- nym poległym służącym w obcym wojsku w wojnie z talibami i Al-Kaidą jest żołnierz Legii Cudzoziemskiej sierżant Konrad Rygiel.

Legia Cudzoziemska to oddzielna historia. Polacy tłumnie zaciągali się do niej w punkcie werbunkowym w Aubagne po otwarciu granicy z Francją. Szczególnie służący w 2. REP byli w awangardzie wszelkich działań wojskowych, w których brało udział NATO – od Iraku, poprzez Bałkany, Somalię, Rwandę, po wojnę z Al-Kaidą w Afganistanie. Legioniści rzeczywiście narażali życie pod obcą flagą.

Ostatnie lata to liczny zaciąg Polaków do ochrony statków przed piratami. Na jednostkach pływających u wybrzeży Afryki możemy znaleźć wielu byłych komandosów, policjantów i żołnierzy. Ale tu równie popularna jest lanserka z bronią długą w mediach społecznościowych, gdy tymczasem rzeczywistego zagrożenia nie ma. Tak niektórzy budują swoją nową legendę. Przynajmniej w sieci.

Boom na kontraktorów minął. Dziś nie zarabiają już takich pieniędzy jak kiedyś, a ryzyko jest identyczne. Po kontrakcie pozostaje też rysa, którą trudno wymazać – wojna to jedno, a życie w cywilu – drugie.

Mówi były szef GROM-u, pułkownik Dariusz Zawadka:

Znam wiele przypadków, że ludziom służącym na misjach całe lata zajmowało, zanim odnaleźli się w normalnym życiu. W kraju. W cywilu. Nie potrafili się odnaleźć. To takie błędne koło, które samo się nakręca. Człowiek wraca z misji. Nie ma pracy. Przez trzy miesiące nie zarabia i znowu musi szukać kontraktu za granicą. Rodzina też się przyzwyczaja do takiego trybu życia. Jest przygotowana, że trzy miesiące męża i ojca nie ma w domu, a potem na miesiąc wraca. Wszyscy zaczynają żyć tym trybem. Pojawiają się kłopoty, gdy kontraktor przyjeżdża i nie ma roboty. Nie ma pieniędzy i wszyscy zaczynają sobie nawzajem przeszkadzać, bo przez lata żyli w innym układzie. Kiedyś spotkałem Amerykanina, który pracował w firmie PMC. Mówił, że dziesięć lat pracuje na kontraktach i dzięki temu jego małżeństwo jeszcze trwa. Gdyby pobyl rok w domu, to dawno by się rozwiódł, bo nie potrafi zwyczajnie żyć z żoną.

W domu brakuje adrenaliny i pracy w zespole. Teamu kumpli, w którym się działa, bo inaczej nie da się przetrwać. Nie da się przeżyć. To najbardziej uzależnia...

Jak bumerang wracają słowa „Szilu”, któremu wojskowa psycholog powiedziała, że oni „nie nadają się do normalnego życia”.

Byli żołnierze i policjanci decydują się na kontrakty dla PMC, bo to dla nich czasem jedyny sposób na życie. Pamiętam kilka rozmów z byłym antyterrorystą, a potem oficerem CBS. Pięćdziesięciopięciolatek od prawie szesnastu lat jest poza służbą. Musiał odejść po konflikcie z przełożonym. Do dziś nie poukładał sobie życia po opuszczeniu policji. Przez kilka lat pływał jako ochroniarz na statkach u wybrzeży Afryki, a jesienią 2017 roku wyjeżdża do Afganistanu. Ma żal, że państwo zainwestowało miliony w jego wyszkolenie, a teraz nie jest nikomu potrzebny. Nikt nie chce wykorzystać jego doświadczeń, a chciałby chociaż szkolić młodych policjantów. Teraz jedynym wyjściem jest dla niego wojna...

Smutno tłumaczy: Nie mam rodziny i nic mnie nie trzyma w tym kraju. Jestem policyjnym emerytem, ale nie chcę siedzieć w domu. Jadę, bo nie wiem, co mógłbym robić innego...

Inne spojrzenie na przyszłość ma „Szilu”. Po wojazach w Pakistanie i Afryce kończy z życiem na walizkach i nadstawianiem karku za obce korporacje. Teraz stawia na siebie. Wkrótce otwiera szkołę nurkowania retro – amatorzy będą mogli spróbować swoich sił na sprzęcie, w którym schodzili pod wodę pierwsi nurkowie.

Spis treści

Wstęp	5
CZĘŚĆ PIERWSZA	9
Rozdział I. Zygmunt	10
Rozdział II, Ryszard z batalionu szturmowego	28
Rozdział III. Zygmunt w wietnamskim piekle.	62
Rozdział IV. Ryszard chce do Dżibuti.	71
Rozdział V. Zygmunt dostaje w twarz białą rękawiczką.	89
Rozdział VI. Ryszard wraca do Polski.	98
Rozdział VII. „Gizmo” idzie w koronę.	103
Rozdział VIII. Chłopcy w krótkich spodenkach.	124
CZĘŚĆ DRUGA	127
Rozdział IX. Kontraktorzy w Iraku i Pakistanie.	128
Rozdział X. „Wydma pustynna” w Krakowie.	145
Rozdział XI. Komandos przychodzi o kulach	199
Rozdział XII. Piraci w strefie wysokiego ryzyka.	218
Epilog	232